Part Code
ST1316
R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres

DIII
Z 5

DŻINGIS-CHAN ZMARTWYCHWSTAŁY

DR. STANISŁAW ZDZIARSKI

DŻINGIS-CHAN ZMARTWYCHWSTAŁY

STUDJA Z PSYCHOPATOLOGJI ROSYJSKIEJ

TOM I

Vince in bono malum
(Rom. XII. 21)

POZNAŃ 1919
NAKŁADEM I CZCIONKAMI DRUKARNI I KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.
im. F. Dzierżyńskiego
47415/2

Najdroższej pamięci Matki mojej
Karoliny z Hoszowskich pracę tę,
z Jej Ducha poczętą, poświęcam.

Od Autora.

Dziwnie smutne początki tej książki, jak smutna jest książka cała.

Orkan pseudo-rewolucji rosyjskiej oderwał podpisanego od badań nad literaturą ojczystą i przeniósł go w strony, z których pradziad jego — konfederat barski — powracał o kulach do kraju.

Jechałem do Piotrogrodu — pomówiony o moskalofilstwo przez indywiduum podłe,*) — jechałem spełnić trudny a ważny obowiązek informatora prasy polskiej w zaraniu życia pseudokonstytucyjnego rosyjskiego.

Na szczęście nie należałem do żadnej formacji politycznej, z tem też większą swobodą wolno mi było wypowiadać się otwarcie.

Nie łudziłem się ani przez chwilę małą co do możliwości »porozumienia« polsko-rosyjskiego. Bo i jakżeż — zapytywałem sam siebie — mogło się ono dokonać? Toć ojców naszych wieszali! A czyż za sam zamiar powstania zbrojnego nie wieszała ich tak samo Austrja?

Równocześnie zaś z drugiej strony cisnęło się na myśl z jakąś nieodpartą siłą drugie pyta-

*) Mowa tu o niejakim p. Stanisławie Kossowskim, obecnie profesorze gimnazjum niemieckiego we Lwowie.

nie: Co ma począć Polska, pozbawiona obronnych granic naturalnych? Bo że upadek swój winna przypisać przedewszystkiem fatalnemu położeniu geograficznemu, nie zaś grzechom zawinionym, czy niezawinionym — to niewątpliwe.

W ciągu tych rozmyślań mimowolnie oczyma duszy ujrzałem mnichów w żelazo zakutych, którzy w ciągu jednego tysiąclecia zdążyli wyniszczyć wszelki ślad Słowiańszczyzny między Łabą a Odrą, ba, z całą siłą, nieprzebierającą w środkach, prą obecnie na teren nadwiślański. I kiedy w mózgu poczęło świdrować nieodmiennie przeświadczenie, że w drugiem tysiącleciu wymazane zostanie imię polskie na całej przestrzeni, położonej na zachód od Wisły, z oparów krwi wynurzyła się twarz naszego chłopa z pod Tarnowa, zarzynającego mego pradziada, któremu były »niczem Sybir, niczem knuty.« Ha! Toż nawet Rosja nie poszczuła naszego ludu do walki bratobójczej! O tej »ręce« o której pomstę biła pod niebiosa skarga Ujejskiego w nieśmiertelnym »Chorale«, Polacy dzisiejsi jak gdyby zapomnieli, mimo słów wieszczych z »Grażyny,« iż »raczej za łeb gadu, niźli... prawicę uścisnąć,« choć im pieśń przypomina, czemu to od setek lat »Wanda leży w naszej ziemi«...

Z rozmyślań gorzkich nad dolą narodu mego, którym umiłował nadewszystko w świecie, z rozmyślań na dalekiej obczyźnie, wśród bezbrzeżnej tęsknoty za Polską, co dla mnie nic dotąd nie miała prócz kamieni, rzucanych pod

nogi, powstały ustępy, jakie złożyły się na tę książkę. I jakkolwiek pisane one były na kilka lat przed wojną, która — zdaje się — zmieniła świat cały nie do poznania, nie uważałem za wskazane nic w nich zmieniać.

Rewolucjonistom bowiem rosyjskim doby najnowszej tenże sam, co i ich towarzyszom z przed lat dziesięciu z górą, brak moralności, choćby najprymitywniejszej, tenże sam brak wiary rzetelnej w cokolwiek na świecie, brak religji, brak rodziny uczciwej, t. j. tego wszystkiego, bez czego niepodobna przystępować do jakichkolwiek reform. Tym i tamtym natomiast wspólne są środki i metody walki z istniejącym ładem społecznym, oraz posługiwanie się hasłami niemożliwemi do urzeczywistnienia, z których reforma agrarna jest pospolitym rabunkiem. Jak wreszcie po manifeście październikowym, tak też i teraz, sprawcami przewrotu w Rosji są żydzi (niejednokrotnie świeżo ochrzczeni), którymi powodowała żądza odwetu, zemsty na Rosjanach za długie lata ucisku, a równocześnie odwieczny ich pęd do szerzenia rozkładu wśród tych, którzy tym bezdomnym tułaczom użyczyli gościny. Trzecią wreszcie pobudką do wywołania obecnego przewrotu anarchistycznego był dla żydów interes pieniężny, ten cel ostateczny wszelkich poczynań żydowskich.

Że jednakowoż w Rosji nie przestrzegano nigdy dotrzymywania umów, przeto i teraz reformy, zamierzone przez budowniczych nowego po-

rządku na ziemi, prysną, jak bańka mydlana, cały zaś ruch anarchistyczny zostanie utopiony w potokach krwi przez powrotną falę monarchistyczną. Wreszcie prowadzone obecnie układy pokojowe z mocarstwami centralnemi będą złamane, boć z historji wiadomo, że Rosja nigdy nikomu nie dotrzymała żadnego traktatu, tak, jak go już złamała wobec czwórporozumienia w czasie obecnej wojny światowej.

Pod książką każdego badacza pogrzebane są na wieki uczucia mnogie, marzenia niezisczone, walki duszy, wysiłki, zwątpienia i tęsknoty serdeczne. Książka niniejsza pisana jest krwią i łzami. Dałem w niej, a przynajmniej starałem się i pragnąłem dać to, com uważał w duszy swojej polskiej za najlepsze. A nuż mnie zrozumieją nieszczęśnicy? Jeżelim zaś na kartach jej zbyt boleśnie zatargał ich trzewiami, nie złość, nie nienawiść ku temu mnie pchnęła.

Więc — żem gryzł sercem ciebie:

Słuszaj, Rossija!

We Lwowie, 24 grudnia 1917 r.

Dżingis-Chan zmartwychwstały.

Lat sześćdziesiąt[1]) minęło od tych okropnych wypadków, na widok których rozełkane serce poety polskiego rzuciło w twarz części narodu straszliwe słowa, gdy «syn zabił ojca, brat zabił brata»... Haniebna karta tych potwornych dziejów szarpnęła wnętrznościami Ujejskiego i naród dowiedział się, że

«Mnóstwo Kainów jest pośród nas...»

Słowa te powinni dziś Rosjanie powtarzać sobie co dzień, co godzinę. Ileż lepsze mają zastosowanie w chwili obecnej do tego wszystkiego, co w Rosji się dzieje? Jakby kto na nią rzucił przekleństwo lub, jakby miały do końca sprawdzić się wieszcze strofy Puszkina z «*Biesów*»:

«Chot' ubiej, slieda nie widno,
Sbiliś my, czto diełat' nam?
W polie bies nas wodit, widno,
Da krużyt po storonam...»

Pod płaszczykiem rozgłośnie-brzmiących haseł mających wszelkie pozory idei wolności, rozwinęły się w ostatnich czasach w Rosji najniższe namiętności w najrozmaitszych postaciach i formach.

Wprawdzie w chwili bieżącej przestępcy polityczni w rodzaju: anarchistów, bombistów i grabieżców zeszli przymusowo, lub w mniejszej części dobrowolnie ze sceny, a jednak fakt ten nie stał

[1]) Pisane w roku 1907.

się przyczyną uciszenia instynktów pierwotnych. Szaleją one dalej pod zmienioną z lekka postacią.

I jeśliby mnie kto zapytał, w jakiem stadjum znajduje się obecnie Rosja? — odpowiedziałbym mu bez najmniejszego wahania, że w fazie działalności występnej.

Dziw bierze, iż duchowieństwo prawosławne, śledzące z taką gorliwością bieg wypadków, nie znalazło dotąd czasu czy dobrych chęci dla wystudjowania tej orgji namiętności, jaka falą wzburzoną przewala się w jego oczach.

Bo i jakże zadziwiająca różnorodność owych fal niszczących?!..

Ani duchowieństwo, ani rząd, ani nikt z dzielniejszych członków społeczeństwa nie poczuł się do obowiązku zapobieżenia dalszemu wylewowi tych strug, położenia tamy, któraby powstrzymała rozhukane bałwany. Nikt nie troszczy się wcale o zapobieżenie grożącemu z tej strony niebezpieczeństwu, którego ewentualnych rozmiarów nie można na razie przewidzieć, skoro się nie wie, u jakich granic zatrzyma się zamęt w pojęciach ogólnych społeczeństwa rosyjskiego?...

Skłonność do przestępnej działalności można bez trudu zauważyć doskonale na wszystkich polach działalności polityczno-społecznej wszystkich warstw ludności.

Nie lepiej mają się rzeczy z dziennikarstwem, mającem być przedstawicielstwem opinji publicznej. W niem bowiem ze świecą w ręku trzeba szukać prawdy, tak przepojone jest do głębi kłamstwem i krętactwem, oszustwem i pornografją cyniczną nawet. Jeden z dzienników petersburskich wziął sobie za zadanie kontrolować domy rozpusty, oraz wszelkie przedsiębiorstwa natury podejrzanej i prowadzi to dzieło z niebywałym cynizmem.

A pośród uczącej się młodzieży, na równi szkół średnich z wyższemi, słyszymy coraz częściej o wypadkach kradzieży, trwonienia pieniędzy publicznych, niedotrzymywania słowa honoru itd. Przytem wszystek ten brud ma charakter skrajny, jaskrawy, złośliwie-cyniczny. Taką szkołę przechodzą przyszli obywatele państwa, ojcowie rodzin! «Od łyczka do rzemyczka» — jak powiada mądre nasze przysłowie.

Lecz im głębiej w niższe warstwy społeczne pójdziemy, coraz to większe zauważyć się daje rozprzestrzenienie zła występnego.

Robotnicy zmienili się z proletarjatu o zabarwieniu politycznem, w morderców i grabieżców obcego mienia, w huliganów najrozmaitszego gatunku i pokroju.

A już najgorzej jest stanowczo na wsi, która i tak dotąd była pogrążona w ciemnocie krańcowej, pijaństwie bezmiernem, oraz w nieuleczalnych chorobach płciowych, prowadzących bezwarunkowo do kompletnej degeneracji pokolenia. Dni niedawne przyniosły za pośrednictwem drutów telegraficznych z głębokiej prowincji, z gubernji środkowej Rosji zastraszające wiadomości o coraz liczniejszych świętokradzkich obrabowaniach cerkwi i zagarnięciu ziem cerkiewnych przemocą. Kosy, widły, grabie!... Węzły rodzinne rozluźniają się coraz to więcej wśród włościaństwa, gdyż straciły w jego oczach świętość sakramentu. Ledwo co dowiedzieliśmy się, że syn zamordował ojca wystrzałem z rewolweru gdy tuż telegraf przyniósł wiadomość o okrutnem zamordowaniu matki przez syna celem zrabowania zaoszczędzonych przez nią czterdziestu rubli.

A społeczeństwo owo, zajęte wyłącznie walką polityczną partyj poszczególnych, zdaje się niezauważać tych strasznych wylewów dzikości i barba-

rzyństwa, pozostaje ślepe na przejawy instynktów krwiożerczych i zwierzęcych namiętności. Nie zaprzeczam bynajmniej konieczności i pożytku starć myśli politycznej. Ale też nie mogę zrozumieć, że w Rosji uznano je za główny cel życia i działania. Co tam rozwój kultury, moralności publicznej, gdy górę wzięły żądze tygrysie! Naród 80-miljonowy zniżył się do poziomu bydlęcia drapieżnego...

Ale obecna «*smuta*,» która zakorzeniła się głęboko także pośród t. zw. inteligencji, zabiła w jednostkach indywidualizm doszczętnie. Zasadnicze hasło rewolucji rosyjskiej — stadowość i fanatyczna niecierpliwość — wzięły górę. I to śmią niektórzy chrzcić mianem «wielkiej epoki uświadomienia politycznego Rosji!»

«Towarzysze» przemocą wbijali w biedny mózg rosyjskiego «*mużyka*» święte hasła: wolności, równości i braterstwa, których on nie mógł zrozumieć, bo marzył tylko o ziemi. Co mu z równości? Chłop pragnie rzeczy realnych! W głowach prostaczków nastał chaos, który bez przesady da się porównać z biblijnym. I kiedy «pojęcia zasadnicze wolności» zostały przyjęte za dogmaty życiowe przez miejski i wiejski proletarjat, wówczas zaczęło się dziać to, co nazywano początkowo najfałszywiej w świecie «wielką rewolucją rosyjską».

Te masy «uświadomionego» proletarjatu godziły się tylko z myślą o ***konstytuancie,*** trwając w tem przekonaniu bezpodstawnem, że one właśnie są wykonawcami woli wszechludów państwa rosyjskiego.

Tłum zelektryzowany odurzającemi, jak alkohol, hasłami, których nie rozumiał zresztą absolutnie, szedł na zgubę pewną z krzykami: *Dołoj s prawitielstwom!* Śmierć tyranom! i tym wszystkim, którzy

śmieli nieukłonić się przed potężną wolą Jego Wysokości Międzynarodowego Proletarjatu, w skład którego weszli przedewszystkiem Żydzi, studenci rozmaitych wyższych zakładów naukowych, robotnicy fabryk Putiłowskich, kursistki, oraz szereg osób bez określonego zawodu lub z określonym zawodem, lecz bez praktyki.

Niestety! minęły owe zacne czasy, kiedy od pustych krzyków waliły się w gruzy mury Jerychonu!...

Ileż w tym «ruchu wolnościowym» było złudzeń, ileż pustych dźwięków, ile ofiar niepotrzebnych?...

Pan Nosar-Chrustalew, głowa widoma rządu rewolucyjnego, przewodniczący osławionej «Rady deputatów robotniczych», nie zdążył uwięzić hrabiego Wittego. Obawa przewrotu minęła, ale «*smuta*» nie ustała bynajmniej w imię walki stadowej o ciasne klasowe interesy. Śmiem twierdzić, że walkę taką, o jakiej dopiero co wyraziłem się może zbyt dosadnie, prowadzą pospołu wszystkie stronnictwa polityczne rosyjskie, ile ich tylko jest. Walczy: rząd, kapitalizm, mieszczaństwo, proletarjat, inteligencja, na wszystkie strony, a wszyscy toczą bój bez planu i celu określonego, jako że w Rosji całej niema teraz myśli politycznej, którąby mogła doprowadzić do zjednoczenia. Znowuż brak myśli muszą zastąpić namiętności, wybujałe w swoich przejawach.

Wprost boję się przypuszczenia, jakie niedawno na myśl mi się nasunęło. Boję się, iżby wobec skrępowania myśli politycznej — nie trzeba było ożywiać organizmu państwowego, który nad miarę schorzały i potrzebuje gwałtownie lekarza, nie legendarną «żywą wodą» narodowo-państwowej rewolucji.

Jakaż przyczyna tak smutnego stanu rzeczy?— mimowoli nasuwa się pytanie.

Odpowiedź na to nie trudna.

Tylko przyczyna nie jedna tutaj, tylko nie szukać tego w czasach ostatnich.

Na to, że Rosja zeszła z drogi, jaką naznaczyła jej misja cywilizacyjna, złożyło się wiele powodów.

O setki lat wstecz trzeba się posunąć. Historja da nam wyjaśnienie tego, czego jesteśmy świadkami.

Jaki mianowicie jest typ czysto rosyjski i czy on jest w ogólności?...

To pierwsza kwestja.

Otóż — takiego typu nie ma i być nie może nawet. Antropologowie nie mogą go oznaczyć.

Dlaczego? — Odpowiedź bardzo prosta i bynajmniej nie skomplikowana.

Wszakże wówczas, gdy narody, tworzące dziś plemię rosyjskie, osiadły były na dobre w granicach obecnego swojego rozsiedlenia w wieku III. i IV. po Chr., przeszła przez nie nawała Gotów i Herulów, w r. 376 Hunów, w r. 557 Awarów, a w ciągu IX. stulecia przebywali tu czas pewien w przechodzie z nad Wołgi w dolinę Dunajową — uralscy Madiarowie. Przypomnę wreszcie długowiekową niewolę Złotej Ordy, która brała z ziem ruskich haracz *in natura*, w postaci kobiet i dziewcząt ruskich, wyludnienie Rosji po bitwie nad Kałką, na północy zaś krzyżowanie się nagminne z plemionami fińskiemi. Ba, krzyżowanie to nie ustawało nawet przez cały ciąg wieku XIX. podczas kolonizowania Syberji, Mandżurji, kraju kirgizkiego, Turkiestanu (1864), Samarkandy (1868), Chiwy (1873), Kokandy (1876), Aschabadu (1881), Merwy (1884)

i Murghabu (1885). Za kolumnami wojsk ciągnęli koloniści rosyjscy, jak kruki na żer... Czyliż wreszcie nic nam nie powiedzą brzmienia nazwisk rodowych?... Toż świadectwo ich jest wiarygodne, a tyle wymowne!...

Czyliż zatem wobec tego nie wyda się o wiele prawdopodobniejszem określenie, iż całe plemię ruskie nie jest tyle słowiańskie, ile przedstawia konglomerat slawizowanych Turańców, Tatarów, Finów i rozmaitych innych drobniejszych plemion mongolskich, czego zresztą dowód niezaprzeczalny znajdziemy zarówno w pomiarach antropometrycznych, jak niemniej w stosunkach bytowych, w języku, wierzeniach ludowych, wreszcie w podziale kastowym narodu i formie absolutystycznej rządu, co wszystko jest niezaprzeczalnie pochodzenia i typu azjatyckiego — *par excellence.*

Metryk rodowych niepodobna sprawdzić, ale za to pozostały do dzisiaj świadectwa w języku i obyczaju tego, który uważa się za Rosjanina z krwi i kości, chociaż nim nie jest bezwarunkowo.

Co to znaczy: załatwić się z kim po rosyjsku? — pytanie takie proste.

Znaczy: Wyrżnąć po gębie tak, żeby człowiek ujrzał wszystkich Świętych, wybić zęby, rozpruć brzuch komu — ot — to po »russku«. W roku 1906-tym w Petersburgu szedł pewien jegomość z żoną pod ramię i niechcący potrącił przechodzącego ucznia gimnazjum. Bezzwłocznie przeprosił go najgrzeczniej w języku francuskim. Był to przyjezdny, który nie władał dostatecznie językiem rosyjskim. I co mu na to odpowiedział ów niedorostek-gimnazjasta? — »Ty po francusku, a ja tobie po rusku!« I jak nie uderzy jegomościa pięścią w twarz,

a kolanem z tyłu, tak »*inostraniec*« wywalił się na ziemię jak długi. Tłum śmiał się. Oto — jak człowiek »*russkij*« załatwia się grzecznie. Zupełnie znać w tem kulturę mongolską.

Jak zaś »*istinno-russkij*« wyraża się, tego nie powtórzę, bo boję się przyzwoitych uszu moich łaskawych czytelników. Takich przekleństw, wyzwisk i obelg nie zna słownik żadnego z europejskich języków! A każde z nich tłustsze, bardziej prostacze, brutalne, brudne. To mówi ustami »*nastojaszczawo*« Rosjanina duch rasy mongolskiej. To głos krwi przodków, co ongi hulali po stepach za końmi tabunnymi, a potem pławili się we krwi spokojnych mieszkańców siół napadniętych, których rzezano okrutnie, podpaliwszy wprzód ich mienie.

Albo ów przedsmak poganizmu... Jeżeli »*russkij czełowiek*« w czemkolwiek dozna niepowodzenia, w tej chwili zwala całą winę na djabła. On nigdy nie winien niczemu — tylko »*bies*«. Jego, być może, »*lieszyj*« zwiódł na manowce, być może, że »*bies poputał*«, ale on osobiście niewinny, jak baranek. Są znowu tacy, którzy sądzą, że każdemu nieszczęściu winni są Niemcy. Któż zabraniał Rosjanom być na tyle silnymi duchem, co owe »*prachwosty*«-Niemcy!? Mnie się zdaje, że najlepiejby — tych wszystkich djabłów i Niemców pozostawić w spokoju, a raczej przejrzeć się w zwierciedle samym sobie...

Wiele tu winien ten bat tatarsko-kozacki, co przez lat tysiąc chłostał Rosjan bez miłosierdzia?!...

Niepodobna ściśle tego określić. Ale że ta nahajka zostawiła na licu narodu niestarte piętno mongolszczyzny — to rzecz niezaprzeczona! A razem z tą cechą, która była również nabyta drogą dziedziczności, wchłaniał naród rosyjski bizantynizm zepsuty, choć w najlepszym gatunku. Lecz nie bizantynizm stylowy. Fałsz i obłuda człowieka rosyj-

skiego — to coś bardzo płaskiego i pospolitego, chociaż on tem szczyci się przy lada nadarzonej sposobności.

Mnie samemu zdarzyło się zetknąć z kimś, należącym do sfer pseudo-arystokratycznych, który na uczyniony zarzut kłamstwa odparł z prostotą naiwną: »A któż wam kazał wierzyć w prawdziwość moich słów?...« Żaden Rosjanin nie wymaga, by mu wierzono na słowo. Zresztą *»czestnoje słowo«* jest u Rosjan niczem.

Przytoczę dwa fakty z niedalekiej przeszłości dla ilustracji tego, co powiedziałem.

Wybitny dygnitarz państwowy dał słowo honoru, iż uczyni pewną grzeczność. Czy przez zapomnienie, czy też przez opieszałość, przyrzeczenia nie dotrzymał. A gdy został zapytany o przyczynę złamania słowa honoru, odparł ze zdziwieniem: »Kto dał słowo honoru, ten może je cofnąć«...[1]) Iście wschodnie pojęcie!

A teraz fakty historyczne, którymi kiedyś będzie operować dziejopis kultury rosyjskiej.

Podczas kampanji wyborczej do drugiej Izby państwowej komitet »październikowców« w Jekaterynosławiu pragnął pozyskać głosy na rzecz swoich kandydatów zapomocą upajania wyborców wódką. Stary to i znany całemu światu wybieg. Klasyczny przykład takiego sposobu wyborów, w danym wypadku do *»dworjanskawo sobranija«*, zdarzył się za Aleksandra I. Podczas jednej ze swoich licznych podróży spotkał on orszak cudaczny. Oryginalność zadziwiła cesarza. Licho ubitą drogą ciągnął długi korowód wozów i powozów, w których leżały, śpiąc snem sprawiedliwych, indywidua w mundury szlacheckie odziane. Aleksander I zdumiał się. I cóż

[1]) W oryginale: »Kto dał czestnoje słowo, możet wziat' obratno.«

to być może? — pomyślał. Przystanąwszy tedy zapytał:

— No... i cóż to za ludzie?

Naówczas jeden z pijanych podniósł głowę, spojrzał błędnemi oczyma na Aleksandra I i rzekł:

— My... nie ludzie... my... to... kurska szlachta...

Szlachta kurska, nie uważająca się za ludzi, oddała naturalnie głosy swoje na tego, kto ją tak zacnie ugaszczał.

Wyborcy wszelako w Jekaterynosławiu okazali się przebieglejszymi. Pili na umór...

— Pijcie, *gołubczyki* — zapraszali ich »październikowcy«. Pijcie na zdrowie!... Na sławę Rosji!... My was tak kochamy, jak rodzone dzieci, że nie wiemy nawet, czemby was ugościć...

— Boże-ż mój! — odpowiadano — toż my za was choćby w ogień, a pójdziemy wszyscy...

A kiedy upewniono się, że wyborcy sympatyzują z »październikowcami«, nie obwijano już niczego w bawełnę:

— Głosujcie na naszą listę! Przecież widzicie, że my oprócz dobra, niczego innego nie pragniemy dla was...

— No... tak... dobrze... — przebąkiwano. — Bądźcie spokojni!... Wasze zdrowie!...

Włościanie, wypiwszy wszystko do dna, głosowali na blok lewych. Przykładów takich znam ze dwadzieścia.

Jak lat stó temu, tak i obecnie bizantynizm przejawia się u narodu rosyjskiego w najgorszej formie. Pospolitego oszustwa nie poczytuje się za złe. Owszem, można się chwalić, jak to się kogoś »*pieriechitriło*«.

Przyjmowano od drugich wszystko złe i to w najpodlejszym gatunku, nie zdając sobie sprawy z tego, że Rosji nie podobna wcisnąć w zapoży-

czone ramki. Niemcy, którzy czas długi rządzili Rosją, starali się, jak mogli, przystosować ją do Europy. Rosjanie jednakowoż chcieli być koniecznie mędrszymi od tych »*inorodców*«-przybyszów (zapomnieli, iż dynastja ich jest nawskroś niemiecką,) i starali się o oryginalność pomysłów na gwałt. Takimi też owe pomysły były... Wymyślono je, jakby dla ośmieszenia się. A twórcą ich było t. zw. »*narodniczestwo*«, które chciało Rosję oddzielić od Europy murem chińskim, twierdząc, iż przyjdzie »*ex Oriente lux!*« I taka światłość przyszła rzeczywiście w następujących postaciach: a wszystkie iście azjatyckie, nie wyczuć w nich Zachodu!...

Koleje żelazne, dorożki, tramwaje jeżdżą w całym cywilizowanym świecie po stronie lewej. Jakże to można? — pomyśleli Edisonowie rosyjscy. I ustanowiono porządek przeciwny. W Rosji jeździ się po prawej stronie. Koleje żelazne całego świata mają rozmiary szerokości toru jednakowe. W Rosji mózgi siliły się na oryginalność i wymyśliły tor szerszy. Dlatego — powiadano — żeby na wypadek wojny sąsiedniemi kolejami nie można było dostawić wojska. Ładnie! Ale zapomniano o jednej najważniejszej rzeczy, mianowicie o tej, że osie wszystkich wagonów w świecie są rozsuwalne. Tak samo postąpiono z numeracją domów. Liczby nieparzyste idą w Rosji po stronie przeciwnej, niż w Europie. Pensję pobierają tu urzędnicy 20-go każdego miesiąca. Kalendarz zachowano stary, bo i jakżeż przyjąć nowy — powiadał mi jeden z wysokich dygnitarzy cerkiewnych — kiedy kalendarz to rzymski. Zapomniano trochę o papieżu Juljuszu... Słowem — odrzucono wszystko, co trąci choćby odrobinę Zachodem, kulturą europejską. »*Ex Oriente lux!*« — powiedzieli sobie »narodnicy«. I ta *lux* szł

Ale jak? To można doskonale obserwować, n. p. na autonomji szkół wyższych.

Ideę autonomji szkół wyższych zapożyczyli Rosjanie, jak wiele innych rzeczy, z Europy. Ale nie rozpatrzyli się w gotowym materjale, nie rozważyli, o ile on nadaje się do przystosowania w stosunkach rosyjskich. Rosjanie zapomnieli, iż są niemowlętami kulturalnemi wobec Zachodu i zapragnęli odrazu być dojrzałymi ludźmi. Zapomniano, że samorząd możliwy jest tylko wśród narodów kulturalnych, że uniwersytety europejskie przywykły do niego, bo istnieje on u nich lat tysiąc z górą. A takie zapomnienie mści się!

Boć chyba nie może być najmniejszej wątpliwości, iż wszystkie te, tak często powtarzające się przestępstwa, jakich widownią jest wyższa szkoła rosyjska, niemożliwe są do pomyślenia w jakiemkolwiek państwie europejskiem! I jeśliby powiedział kto Anglikowi, Francuzowi lub Niemcowi, że głównym celem uniwersytetów rosyjskich nie jest nauka, a wszystko inne, co komu podoba się żywnie — to mózg Europejczyka nadarmo siliłby się na wytłumaczenie sobie takiego nadzwyczajnego symptomatu. Tę anomalję objaśniłby on albo chorobą umysłową, albo jakiemś nieporozumieniem, ale nigdy stanu takiego nie uważałby za prawidłowy.

Ale w Rosji lata całe (1904—1906) mijały bez wykładów uniwersyteckich. Nauka stała się martwą literą.

Mniejsza o profesorów! Toć zachowanie się studentów zwróciło na siebie uwagę całej Europy. Epopea chaosu uniwersyteckiego szła krokiem Gigantów w ostatniem trzechleciu, aż dosięgła granic nieprawdopodobnej dzikości. Rosyjskie uniwersytety przekształciły się na przytułki propagandy rewolucyjnej w najskrajniejszych jej formach. Audy-

torja, w których rozbrzmiewały ongi słowa nauki, zostały obrócone na hale meetingowe. Zamiast wykładów profesora, rozlegają się z katedry słowa kłamliwych obiecanek agitatorów-apostołów rewolucji. A ci mówią młodocianym słuchaczom o wysokiem posłannictwie, jakie na nich włożył »*naród*«, o tem, że nauka — to głupstwo ostatniorzędne, że rozum — to idjotyzm, wymyślony przez burżujów! I tam, gdzie do niedawna mieściły się świątynie nauki, tam założono fabryki bomb, składy mauzerów i dynamitu! Ba, nawet zażądano, iżby w kolegjach profesorskich zasiadali delegaci studentów z głosem równym głosom profesorskim. Tak rozumieją Rosjanie autonomję. A profesorowie na to patrzą i milczą...

Zapytajcie Rosjanina »czystej krwi« — jak w jego języku brzmi wyraz tylekroć nam wszystkim drogi, »ojczyzna?«. Rosjanin pomyśli i powie wam zamiast jednego dziesięć wyrazów. A będzie się to nazywać: »*narod*«, »*otieczestwo*«, »*rodina*« i jak tam im nie na imię. Ale ideowego pojęcia n a s z e j »ojczyzny« oni nie znają! A przecież dla tego, żeby kochać ojczyznę, nie trzeba specjalnych powodów. Ona matką każdego z nas. To wiele! Gdzież jednak Rosjaninowi szukać tej ojczyzny? Czy pośród Baszkirów i Kałmuków, czy wśród potomków Złotej Ordy, czy wśród Czukczów i Finów lub Niemców przybyszów?

Duch rosyjski wyobraził sobie tę »ojczyznę« zupełnie inaczej, tak jak żaden naród cywilizowany!

Pospólstwo, przedstawiające większość zaludnienia Rosji, rozumie jedynie słowa, streszczające się w krótkiem a dobitnem: »*Samodierżawije, prawosławije i narodnost*«, oraz w haśle »*Za wieru, Caria i otieczestwo!*« Dla pospólstwa to hasłem politycznem, to dewizą jasną! To ma być symbolem jedności Rosji, przodowania Rosjanom przed innymi

Biblioteka Wojsk. Zakł. Pol.

narodami, zamieszkującymi państwo. Formule tej hołdują tysiące, mało — miljony ciemnych »*muży-ków*«.. I mają sobie ją za Pismo święte.[1])

Zapytajcie Rosjanina »czystej krwi« — co to jest wolność? Odpowie wam zaraz, bez namysłu i z zapałem zacznie objaśniać wyraz »*swoboda*«. Ależ — ta »swoboda« — tak daleka co do idei od naszej »wolności«, jak to sobie tylko pomyśleć można. Bo ta »swoboda« równa się tabunnemu koniowi, który wszystko stratuje, równa się huraganowi, niszczącemu, co po drodze swojej napotka. Ta »swoboda« — to dzikość nieokiełznana, to możność robienia, co się komu podoba — bezkarnie, nie tego, co można, co przyniesie pożytek. Rosyjska »swoboda« — to rozpętany instynkt żywiołowy stada, które wszystko zniszczyć potrafi. Bo za niem moc, za niem siła brutalna, za niem żądza krwi i ruin.

Zapytajcie Rosjanina »czystej krwi« — co to jest moralność?

Moralność — będzie brzmieć odpowiedź — to jest tak, jeśli nasze żony i córki oddają się innym dla błyskotek lub pieniędzy, to jest, jeśli dygnitarz ukradnie rządowe pieniądze, to jest, jeśli Hurko do spółki z Lidwalem dostarczy zboża dla okolic nawiedzonych głodem, to jest, jeśli morderca posła Herzensteina, kolegjalny asesor p. Juśkiewicz-Kraskowskij, nie zostanie wydany władzom sądowym finlandzkim, to jest i t. d.

Mało tego wszystkiego! Powiem nieco więcej. W Rosji handel niewolnikami kwitnie w całej pełni! Pomimo zaprzeczeń Petersburskiej Agencji telegraficznej śmiem twierdzić stanowczo, że z powodu klęski głodowej chłopi sprzedają swoje córki. Cena dziewcząt w gubernji kazańskiej waha się między 70 a 100 rublami. Dziewczęta pełno- i niepełnoletnie skupuje hurtem jakiś handlarz żywym

[1]) Obecnie hasło powyższe zmieniono na »Ziemla i wolja!«

towarem »*dlia otprawki na Kawkaz*«.. A stamtąd powędrują one niebożęta w lupanary tureckie, perskie azjatyckie... Handel niewolnikami zakwitł w Rosji, chociaż ona przystąpiła do konwencji międzynarodowej. Ale lud nędza do tego zmusiła, bo głód to wielki pan, jak powiedział jakiś poeta rosyjski. Tak — sprzedawszy córkę na hańbę XX. wieku, przynajmniej ocali się rodzinę od śmierci głodowej! Jaki los spotka te dzieci?... W każdym razie nie gorszy od śmierci z tyfusu głodowego lub cyngi... Ale ktoby się o to troszczył?!.. Czasu niema i pieniędzy. Bez przesady tak właśnie wygląda moralność w Rosji.

Pominąć wolimy milczeniem panujący wśród Rosjan nagminnie we wszystkich warstwach społecznych bezład płciowy, stanowiący cechę nieodłączną każdej hordy pierwotnej. Ba, ale bezład ów wycisnął swoje niestarte piętno nawet w dziedzinie religijnej! Wszakżeż pośród miljonów odszczepieńców od cerkwi prawosławnej istnieje poważna liczebnie sekta «skopców», kastrująca chłopców «*dla zbawienia duszy!*» Albo ileż to tysięcy mieszka w Rosji takich «świętych starców», którzy szczyt religijności upatrują w orgjach z nagiemi kobietami w łaźni i takich, którzy z pobudek *religijnych* uprawiają pederastję?..

Mongolszczyzna, zmieszana z bizantynizmem, wytworzyła nakoniec z pierwotnością natury rosyjskiej — właściwą wszystkim ludom wschodnim — krańcowość poglądów niezmierzoną.

I jeśli się mówi w ogólności o rewolucji, jaką obecnie[1]) Rosja przeżywa — popełnia się gruby błąd. Rewolucja jest — to prawda. Ale jaka? Właściwie mówiąc, są dwie rewolucje. Jedna skrajnie

1) Pisane w r 1907.

prawa, druga — skrajnie lewa. Obie mogłyby sobie podać ręce, gdyż walczą jednakowemi środkami. I obie kończą groźbami...

A oto przykład: «*Russkoje Znamia*» wydrukowało bez najmniejszej przeszkody ze strony «*Komiteta po diełam pieczati*» następującą odezwę, którą przytaczam w dosłownym przekładzie:

«Wobec pogróżek, które otrzymali Kruszewan i Puriszkiewicz, zawiadamiamy, że za ich nietykalność odpowiedzialni są Żydzi: Winawer, Hessen, Kiesewetter i Miliukow»...

Tyle głosi list otwarty «*Sojuza Russkawo Naroda*», chociaż p. Kruszewan, o ile mi wiadomo, jest zaasekurowany na kwotę stu tysięcy rubli w żydowskiem towarzystwie, wypłacającem sumy, chociażby asekurant padł w czasie pogromu. Żydzi, dowiedziawszy się o tej pogróżce, podobno postawili straż przyboczną przy Kruszewanie. Oto, do czego prowadzi skrajność poglądów politycznych?..

Albo przykład drugi, jeszcze bardziej rażący.

Właśnie leży przedemną odezwa bombastyczna p. t. «*Kto za kawo?*» — cała napisana wierszem. Dostało się w niej wszystkim stronnictwom. Nie przebaczono nawet partji «odnowieńców», która «trzyma z Żydem i Polakiem». «Kadetów» wydrwiono nazwą «*narodnoj szwabody s żydowskim chomutom*» popierającej «wszystkich, oprócz russkich, a także grabież i w niektórych wypadkach truciznę i nóż.» Dostało się i «październikowcom» i monarchistom nawet. Konkluzja zaś głosi, że «my, jako ludzie *korennyje russkije*, złączyliśmy się w związek, bośmy Bogu posłuszni, cesarza czcimy, a Żydów, Czuhońców i Polaków znać nie chcemy. A także nie poprzemy naszych oszustów. Słowem — kochając kraj — dbajmy tylko o siebie!» Wielkoduszną tę

odezwę kończy patetyczny frazes: «*Procz kramoła!— Ruś idiot!..*»

To objaw dzikości prawicy skrajnej. Rzeczy te były drukowane i rozdawane publicznie za wiedzą władz policyjnych. Takich odezw nie ośmieliły się ogłaszać nawet organy rewolucji najczerwieńszej.

Pamiętam dziś jeszcze doskonale, co mówili po zwołaniu pierwszej Izby państwowej wszyscy przed przyjazdem do Petersburga posłów kaukazkich. Mówiono o Ramiszwilim, Dżeparidzem, Gamartellim, jako o pierwszorzędnych działaczach politycznych. Po długiem oczekiwaniu synowie Wschodu ukazali się w sali Pałacu Taurydzkiego. Nastąpiło początkowo rozczarowanie do nich. Mówili źle po rosyjsku, wprost śmiesznie. Ale to głupstwo! Posłowie kaukazcy, pomimo swoich skrajnie lewicowych przekonań politycznych, orjentowali się w sytuacji znakomicie i słusznie uważali Dumę państwową za meeting wszechrosyjski. Wszedłszy tedy w porozumienie z socjalną demokracją poczęli uprawiać politykę demagogiczną, zaczynając od podjudzania mas proletarjackich do nienawiści ku inteligencji, ku sferom uświadomionym politycznie.

A i w drugiej Izbie państwowej nie było bynajmniej lepiej. Blok skrajnowców z lewa uważał Dumę państwową za trybunę, której zadaniem służyć za platformę dla rewolucjonizowania tłumów bezmyślnych.

Druga krańcowość: — socjalni demokraci, chociaż wiedzieli doskonale, iż wyborcy nie szli na lep ich szumnych obiecanek, przeceniali swoje siły i środki działania i zdążali do pospolitej demagogji. Ta zaś — wprowadzona w życie — odbiłaby się niewątpliwie najszkodliwiej na losach Rosji.

Rosji — niestety — brak jednego!

Brak człowieka, któryby miał tyle odwagi cywilnej, żeby rzucić całemu narodowi w twarz, iż w sercu jego brak miłości ojczyzny, że ta wolność, jakiej pragną skrajnowcy, grozi zgubą, że trzeba iść *per aspera ad astra*... Ale — człowieka takiego niema...

To też Rosja ostatniemi wypadkami, jakie w niej zaszły, zadała ostatni cios socjalistycznym mrzonkom. Socjalizm zdyskredytował się zarówno w teorji, jak i w praktyce. Ludność zobaczyła, że nie może od socjalizmu wyglądać niczego więcej, ponad puste hasła, doktrynerstwo oraz krasomówstwo meetingowe. Rozczarowanie było najzupełniejsze...

Powiedział kiedyś znany historyk Scherr, iż przykład Komuny paryskiej z r. 1871 — powtórzy się. Słuszności bezwzględnej nie miał. Nie miał, ale i miał ją po części. Nie miał dlatego, bo twierdził, iż rewolucja ta powtórzy się w całej Europie, że obiegnie kolejno wszystkie państwa. Miał rację z drugiej strony w swojem przewidywaniu, bo powtórzyła się w Rosji. Ale chyba nie może być najmniejszej wątpliwości, iż tutaj naśladownictwo takiego przykładu zakończy się. Cała Europa dojrzała, dokąd prowadzi «taki» r u c h w o l n o ś c i o w y, jaki przez trzy lata wstrząsał organizmem państwowym Rosji. Wytrzeźwiono się wszędzie momentalnie z mrzonek, czego jaskrawym dowodem ostatnie (r. 1907) wybory do parlamentu niemieckiego.

Setki lat walczyli bohaterowie «świętej Rosji», mieczem i kułakiem. Byli nawet i tacy, którzy odważnie wołali: — *Podawaj nam niebiesnuju siłu! My i s etoj siłoj sprawimsia!*..

Gigantami chcieli zostać, a duch «russki» trwa nadal, nieskąpany w kulturze europejskiej. W Rosji zapomniano najzupełniej, że jest siła, silniejsza

od przemocy brutalnej, która niszczy, że jest siła, budująca gmachy trwałe wolności. A nią moc kultury zachodniej. Dopóki na wszystko będzie się patrzeć z punktu widzenia azjatyckiego, wszystko to, co nawet zbudowałoby się złem (a skłonność do zła jest cechą hordy pierwotnej), skazane jest na ruinę. Złem nie stworzono nigdy w dziejach świata dobra. I gdzież dziś potęga Tamerlanów, Złotej Ordy, chanów krymskich, padyszacha?...

Ruch wolnościowy rosyjski lat pierwszych konstytucji zetlił się na własnem ognisku, bo chciał dążyć do dobra «*naroda*» — zbrodnią!

I jak tu nie powtórzyć wieszczych słów Horacego, których dotąd Rosja nie przypomniała sobie:

«Vis consilii expers mole ruit sua»...

Duch Dżingis-chana zmartwychwstał w czynach swoich nieodrodnych potomków, którzy, opanowani dziką żądzą zniszczenia, wiodą rozmyślnie państwo do mogiły, żeby w niej pogrzebać je własnemi rękoma.

Przemówiła dusza, pozbawiona idei twórczej, wyłoniona z krańcowego nihilizmu narodowego, ze szpiku porażonego chorobą nieuleczalną, z krwi zgangrenowanej, rozkładającej się w żyjącym jeszcze organiźmie, cierpiącym bóle fatalne, a w boleściach tych rozszalałym do ostatecznych granic.

To odzew siły burzącej żywiołu mongolskiego, który zmieszany z elementami słowiańskimi, dał wytwór niestylowy, chociażby w swojej dzikości pierwotnej:

»Bo narodu duch zatruty, to dopiero bólów ból!..«

Literatura rosyjska a rewolucja pokonstytucyjna

I.

Maksym Gorkij

Są prawidła, mające zastosowanie powszechne, nie uznające różnic plemiennych ani rasowych, prawidła ogólno-ludzkie.

Słusznie utrzymywał Comte, że jednostka ludzka jest tylko pojęciem oderwanem, — zmysłowem, realnem atoli dopiero społeczeństwo, którego fluktuacjom jednostka musi ulegać w przeważnej części wypadków. Ale bodaj, czy gdzie w tym stopniu, co w Rosji sprawdziła się słuszność zasady, że życie a poezja — to jedno? Przynajmniej w literaturze rosyjskiej lat pierwszych konstytucji!...

W uległości wszelako owej zaznaczył się wybitnie duch narodowy i stopień kultury, aż nadto rażąco. Wystarczy zestawić ruchy rewolucyjne polskie z pseudo-rewolucją rosyjską, ażeby owa różnica wystąpiła na jaw w całej jaskrawości. Bo — podczas gdy celem pseudo-rewolucji rosyjskiej było zupełne zniesienie władzy monarchicznej i zastąpienie jej jakimś bliżej nieokreślonym i bodaj czy możliwym do określenia rządem anarchistyczno-bosiackim, to nasze rokosze miały na celu umocnienie władzy królewskiej. Toż samo pod względem społecznym, co i politycznym. Bo gdy w Rosji marzono o całkowitej niwelacji społecznej, takiej, która wciągała nawet »b o s i a k ó w« w szeregi obywatelskie, my zadowoliliśmy się jedynie równouprawnieniem wszystkich stanów i daniem im najzupełniejszej pełni tych praw, jakich dotąd nie posiadały, — i to nie pod naciskiem stawianych przez nie żądań, ale z własnej woli.

I jeszcze jedno! Podczas gdy myśmy starali się — zgodnie z prawami natury — tworzyć indywidualności najwspanialsze, iżby przez nie dążyć do uszlachetnienia gatunku, Rosjanie trzymali się metody odwrotnej. Zniszczyć wszystkich, co wzbili się ponad strychulec pospolitości! — oto było hasło narówni reakcjonistów, jak, a bodaj w większym znacznie stopniu, — rewolucjonistów...

Ba!... I gdzież nie szukano przyczyn »rewolucji«, co wstrząsnęła państwem rosyjskiem, nie mniej silnie od straszliwych klęsk, których doznało na dalekich polach mandżurskich?

W jakie czasy nie poszło się, żeby odnaleźć jej początki, jakich ludzi nie wspominało się przytem?..

Bielinskij, Czernyszewskij, Dobroljubow, Gogol, Dostojewskij, Czechow...

Litanja nazwisk, dzieł, czynów — bez końca,— bez miary... a każde z nich znamienite, każde z nich czcigodne!...

Nie ulega wątpliwości, że wszyscy ci poszukiwacze mają — każdy z osobna — potrosze słuszności. Rewolucja bowiem z lat pierwszych konstytucji — to punkt kulminacyjny tego przewrotu umysłowego i społecznego, jaki zapoczątkowała nieliczna, lecz wielce utalentowana garstka pisarzy w połowie XIX. wieku, kiedy to w Rosji, odgrodzonej wybujałem »narodniczestwem«, jakby murem chińskim od Europy, zaczęły przenikać hasła wolnościowe wraz z romantyzmem radykalnie realistycznym francuskim — w czasach, w których »Dorfgeschichten« Auerbacha rozgłośnem echem odbiły się w świecie umysłowym, a nie mniej też silnie podziałały na tęskniących za czemś upragnionem i z niecierpliwością z dnia na dzień oczekiwanem...

Rosję ogarnęła trawiąca gorączka... Czekano cudu opatrznościowego, wierzono — co więcej — iż cud ów stać się musi nieodmiennie!..

Na tronie zasiadał Mikołaj I. Pomiędzy polityką rządu a dążnościami idealistycznemi społeczeństwa zachodziły krańcowe różnice.

Ultra-konserwatywna, patrjarchalna niemal władza, nie dopuszczała chociażby promyka lepszej przyszłości. Starała się — co gorsza — przyćmić nawet teoretyczne marzenia myśli wolnościowej. Państwo było niejako symbolicznym znakiem, jak smok apokaliptyczny.

I ten właśnie anormalny stosunek pomiędzy rządem a kulturalną warstwą ludności nie pozostał bez wpływu znaczącego na kształtowanie się pojęć społecznych.

Zaczęto uważać państwo za coś przeciwnego społeczeństwu.

Antyteza państwa i społeczeństwa wywołała pogląd sceptyczno-anarchistyczny na ustrój państwowy, na formalną stronę państwowości.

Taką postawiono zasadę...

A tymczasem żywioły, usposobione anarchistycznie, zdążyły wytworzyć idealizm wśród socjalistycznie nastrojonej inteligencji.

Celem socjalistów rosyjskich w piątym dziesiątku lat ubiegłego stulecia było, ni mniej ni więcej, jak tylko zniszczenie państwa. Nie myślano o możliwych do przeprowadzenia reformach, lecz o całkowitem »przekształceniu« życia w duchu wolności i prawdy takiej, którąby nie wchodziła w kompromisy z rzeczywistością. Szukano prawdy bezwzględnej. Poglądy krańcowe brały górę...

W kołach młodzieży, skupiającej się około Pietraszewskiego, chciano decydować o możliwych spo-

sobach, które mogłyby doprowadzić do urzeczywistnienia ideałów »nowego życia«. Ale na ogół nie można było dojść do zgody. Zdania były podzielone...

Tymczasem dekabryści i »Pietraszewcy» powrócili z wygnania do kraju. Słowianofile bratali się z »zapadnikami«. Wszystko, co było w Rosji wybitniejszego z Czernyszewskim, Aksakowem, Samarinem i Turgenjewem na czele, roiło świetne nadzieje, iż dojście do porozumienia rządu z narodem jest bardzo bliskie.

Nadzieje te tęczowe prysnęły, jak bańka mydlana, rychlej, niźli się tego spodziewano.

W roku 1857 Dobroljubow wspomina z gorzką ironją, jak to dwa lata temu »wszystko używało, wszystko pragnęło iść naprzód«. A jednak w ciągu owych dwu lat »wiele nadziei okazało się pustą mrzonką, górny nastrój ducha zniknął, publiczność opuściła ręce i bodaj czy nie uważa swej misji za skończoną, oddawszy się rozprózniaczeniu i zabawom«. Nie lepiej było z kierownikami opinji publicznej, o których powiada Dobroljubow, »że nie chcą wykroczyć poza teoretyczne pojęcie tego, czego potrzeba«.

Z tego rozczarowania i utraty wszelkiej nadziei reform ustawodawczych, pracy postępowej władzy państwowej, zrodziła się nieograniczona, choć nieuzasadniona zarazem, wiara w »narod«[1]), oraz w »młode pokolenie«, w zbliżenie się, jeśli nie całkowite zlanie duchowe, obydwu tych żywiołów, wreszcie w prawdziwość i możność wprowadzenia w czyn ideologji rewolucyjnej. Natomiast nie łudzono się co do niesposobności twórczej poszczegól-

[1]) Słowa tego nie wolno wiązać z ideowem pojęciem odpowiedniego terminu polskiego!...

nych warstw społecznych ani przez chwilę krótką.

Wiara w »narod«, głoszona niemal na każdej stronnicy »Sowriemiennika« przez Dobroljubowa, znajdowała silne poparcie w teorjach ekonomicznych Czernyszewskiego. Poddawszy surowej krytyce politykę ekonomiczną burżuazji, przeciwstawiał jej Czernyszewskij teorję warstw »pracujących« domagającą się organizacji wytwórczości na zasadach wolności i samodzielności kooperacji robotniczych. Plany jej zresztą widział Czernyszewskij gotowe za granicą.

W polityce w ogólności zakwitł kult Saint-Simona.

W literaturze przyszedł na pomoc Pisarew, człowiek o świetnem piórze, obdarzony śmiałą paradoksalnością myśli. On to zaczął głosić hasła indywidualizmu radykalnego, wysuwając na czoło swego programu ideały wolności osobistej. I od niego dowiedziano się w Rosji, że cele literatury są w ogólności zupełnie różne od tych, do jakich ona dotąd dążyła. Literatura zasadzała się — według Pisarewa — na usilnem dążeniu do uwolnienia każdego człowieka od tych kajdanów, jakie nakładają ciężar gniotący na oryginalność myśli, od przesądów kastowych, autorytetu tradycji itp.

A jednak! — jaśniejsze, pogodniejsze jutro nie zdawało się nadchodzić...

Przyszło owo zapowiadane »nowe pokolenie«, na którem tyle budowano. Ale i ono żyło pogrążone w apatji ogólnej, niezdolne do niczego pozytywnego.

Pod ziemią jednakowoż wrzało...

Z tej właśnie krańcowej rozpaczy, z tego gorączkowego wyczekiwania chwili: — rychło-li świt się ukaże na firmamencie państwowym? — powstało

pokolenie pisarzy, nie pozbawionych w licznych wypadkach dużego talentu. Tylko, że talent ten zmarniał, bo z góry był na śmierć przeznaczony. Taki los zgotowały mu okoliczności, nastrój chwili, otoczenie i tradycja, odziedziczona po Pisarewie, a przedewszystkiem owe fatalne warunki, w jakich było przeznaczonem żyć, działać i tworzyć młodemu pokoleniu pisarzy rosyjskich. Że oddziałały na taki stan rzeczy także właściwości plemienne umysłów— to nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Literatura rosyjska lat pierwszych konstytucji jest okazem psychopatologicznym, nadającym się raczej do badania lekarskiego, niżli literackiego.

»Bohema« — to typ wcale nie nowy. Wytworzył się on w beletrystyce rosyjskiej na dobre jeszcze w siódmym dziesiątku lat zeszłego wieku, że już przemilczę objawy wcześniejsze. I bodaj czy nie najpierwszym i najwybitniejszym przedstawicielem cyganerji literackiej był Lewitow, który w niezapomnianych »Stiepnych oczerkach» i w »Gorie sioł, dorog i gorodow« dał nietylko istną galerję proletarjuszów inteligentnych i półinteligentnych, ale bodaj, czy nie przeczuł, w jakim kierunku typ ten będzie się rozwijać w przyszłości? A w ślad za Lewitowem, którego bez wahania można nazwać rosyjskim Dickensem, poszedł potężny talent Dostojewskiego, Lieskow, (choć tego zamroczyła tendencja) i inni.

Całą tę plejadę pisarzy, która dała wiele dzieł potężnych, godzi się uważać z punktu widzenia literackiego, psychologiczno-estetycznego i historycznego. Stawiali sobie trwałe pomniki sławy.

Z zupełnie innego stanowiska musimy patrzeć na ich spadkobierców ideowych. Bynajmniej nie z powodu, jakoby twórcy współczesnej «bohemy«

byli jednostkami zwyrodniałemi, nienormalnemi, lecz jedynie z powodu kierunku, jaki w tej najmłodszej literaturze objawia się stale.

Gorkij, Andriejew, Mereżkowskij i jak im tam na imię — to ludzie niewątpliwie niepośledniej miary, jako talenty pisarskie. Ale — jeśli im tak wysoką przyznajemy zaletę, godzi się wymagać, żeby odpowiedzieli zadaniu, jakiego zwykło się i musi nawet żądać od umysłów nie codziennych.

Czy warunkom tym odpowiedzieli? W całości, czy w części tylko?

Na tak postawione pytanie można z góry odpowiedzieć, bez wahania najmniejszego, krótkiem słowem: »Nie!«

Wystarczy wmyśleć się w objawy ducha umysłowości rosyjskiej przez chwilę dłuższą, ażeby ogarnęło nas przerażenie. Napróżnoby szukać w nich jakiejś idei twórczej! Natomiast ujrzymy co krok ideę niszczycielską, siłę wszechniszczącą. Rząd rosyjski na równi ze społeczeństwem rosyjskiem wytężał się jedynie w kierunku niszczenia obcych narodowości, ich języka i kultury.

Wśród zadżumionej atmosfery rozhukanego nacjonalizmu zjawiają się jednostki o charakterze marzycielsko-mistycznym, w istocie rzeczy będące utopistami społecznymi, którzy, zamiast zajmować się ziemią i ludźmi, błąkają się w światach teozofji mistycznej, która zaprowadziła Sołowjewa do przepowiedni o przyjściu Antychrysta, o końcu rodzaju ludzkiego. Duszę i myśli filozofa ogarnęły mroki nieprzejrzane pesymizmu.

Współczesny mu Tołstoj stał się w dziedzinie duchowej nie reformatorem, ale... anarchistą. Doktryna jego o niesprzeciwianiu się złemu, które nie zwalczane musi samo zginąć, ma w sobie coś z nir-

wany, coś z pokory, batożonego bydlęcia pociągowego.

Umysł genjalny, choć wypaczony mocno, głosił w swoim czasie — nie należy zapominać — zasady, rzekomo na czystym chrystjanizmie oparte, w rzeczy samej będące dowolną jego parafrazą, społeczne — o tendencji wybitnie antyspołecznej. Patrjotyzmu zaś nie odczuwał wcale. Wszak był zrusyfikowanym Mongołem ze Złotej Ordy! »Patrjotyzm jest uczuciem nienaturalnem, nierozsądnem i szkodliwem«... wyrokował starzec nieszczęsny, któremu było niedostępnych wiele pojęć, żeby tylko wymienić postęp i cywilizację, uważane przez niego za »zamach na dobro ludu«.

Ażeby dać należyte pojęcie o anarchizmie, jaki zawładnął niepodzielnie duszą i umysłem Tołstoja, niepodobna powstrzymać się od przytoczenia kilku bodaj jeszcze jego zasad, z których okaże się w całej pełni paradoksalność oraz naiwność zdań, przezeń głoszonych:

— »Kapłani psują każdą religję, są to fałszywi nauczyciele«; — »Nie powinno być na ziemi żadnych państw, albowiem świat jest państwem jedynego Boga, który nakazuje miłość i zgodę«; — a tuż zaraz obok tego apostolstwa protest przeciwko tym, którzy o miłości nie chcących słyszeć anarchistów wieszali na szubienicach. Stąd asumpt do ataku na państwo współczesne, uznane przez Tołstoja za złe, gdyż zasadza się na przemocy, narzucającej społeczeństwu wolę jednostki lub — w najlepszym razie — kilkudziesięciu wybrańców. Wszak on to pierwszy zachęcał do stawiania oporu biernego rozporządzeniom władzy. Broń rządu stępi się nakoniec — głosił prorok z Jasnej Polany — a wówczas nastanie nieodzownie Królestwo Boże na ziemi..

Tylko nie takie Królestwo Boże, o jakiem marzyli niegdyś: posępny autor »Psalmów przyszłości« lub genjalnym duchem wieszczym natchniony twórca strof płomiennych: »Króla Ducha«.

Im, pokornym zwiastunom nowych epok, obca była wszelka wyniosłość. Nie pychą chcieli zwyciężać, lecz łaską Ducha św. na nich zlaną.

Tołstoj był tedy anarchistą, różniącym się o tyle od innych, że gdy tamci pragnęli zniszczyć nawet chreścijanizm, on użył go jako oręża anarchicznego, ideę chrześcijanizmu wykoszlawił, wybierając drogę do poprawy swego narodu i rządu nie przez prawo i moralność publiczną.

Ba, żądza mesjaniczna Tołstoja wcielenia prawa Bożego na świecie nie posiada ani odrobiny pokory i prostoty prawdziwych apostołów, natomiast aż nadto wiele próżności, właściwej ludziom najpospolitszym. Apostoł ten bowiem, krytykujący pałace, a sam mieszkający w pysznym pałacu, głoszący komunizm, a sam żyjący z pracy rąk chłopskich, miażdżący przekupnych urzędników i biorących łapówki wysokich dygnitarzy, a sprzedający za wysokie honorarja autorskie własną pracę, jest tylko apostołei idei... papierowych, których sam nie próbował nawet przeprowadzić w życiu swojem, jakkolwiek eksperyment tego rodzaju nie byłby mu dał się wcale odczuć materjalnie.

Uczynkami swojemi przeczył Tołstoj tak jaskrawo, że jaskrawiej byłoby już aż nadto trudno, doktrynom swoim, ujętym w formę literacką. Doktryna bowiem jego, wcielona w formę artystyczną, nabiera charakteru — bezwzględnej negacji wszystkiego, doprowadzonej do absurdu.

Na pierwszy plan wybija się u niego olbrzymia pycha człowieka, starającego się za każdą cenę pokryć ją pozorami pokory i prostoty. Pośród sek-

ciarzy Rosji wieku XIX można bez trudu znaleźć silniejszych od niego, u których słowa zostały zadokumentowane czynami.

Tołstoj natomiast przyswoił sobie formę encyklik papieskich! Ale mniejsza nawet o to! W encyklikach jego bowiem widoczna jest odrazu antyteza chrześcijanizmu rzetelnego. Z urodzenia anarchista — Tołstoj a l i m i n e odrzucił wszelki ład i porządek, głosząc powrót do natury, do stanu półdzikiego, w którym znajdujący się człowiek ma za cały ubiór spodnie i koszulę brudną, przewiązaną w pasie łykiem!

Indywidualność tego rodzaju, jak Tołstojowska, mogła wyniknąć tylko ze społeczeństwa, stoczonego na wylot anarchją wiekową. To też doczekał się, może wbrew przeczuciom, jakie mieli inni, iż posiew nauki jego był iście tragiczny w swoich plonach. Tołstoj głosił miłość bliźniego, a szczepił i propagował nienawiść wzajemną, której wybuchów bestjalskich przyszło mu być świadkiem; potępiał patrjotyzm, a ujrzał orgje nacjonalizmu wybujałego; zalecał ludowi pracę, a lud ten rzucił się do mordów i grabieży, strejków masowych i ogólnego zniszczenia!...

Tołstoj nie bujał w obłokach, nie zabawiał się stosowaniem praktycznem niedoścignionych nigdy ideałów. Jak dla każdego »n a r o d n i k a«, tak też i dla niego chłop, dobrobyt materjalny, zrównanie się z chłopem w życiu codziennem, stanowiło a l f ę i o m e g ę głoszonej całej Rosji nowej ewangelji. Tylko, że ewangelja ta nie była niczem innem, jeno kodeksem pojęć, będących pospolicie w użyciu u ludów pierwotnych, obdarzonych, na swoje nieszczęście, nieokiełznaną, nie znającą granic naturą, oraz nie posiadających rzetelnej kultury.

Doktrynerstwo Tołstoja było zaraźliwe nie tyle żeby rozszerzało hasła, wysunięte na czoło strony ideowej utworów sędziwego pustelnika z Jasnej Polany, ile że napoiło sobą innych pisarzy, mniej utalentowanych i skonsolidowanych w sobie, w dodatku w chwili, w której krystalizacja pojęć i poglądów zaczynała się w nich dopiero. Stąd poszło — uznawanie ideałów w »bosiactwie« przez Gorkiego, w szumowinach społeczeństwa i brudach rynsztokowych przez Andriejewa, stąd herezja religijna Mereżkowskiego. Wszyscy oni uznali siebie za nieomylnych, za wyrocznie, od których sądu niemasz odwołania. Doktrynerstwo stało się grobem ich talentów. Poza nie wyjrzeć szerzej nie umieli, ani otrząsnąć się z niego bodaj na małą chwilkę.

To też, jeżeli porównamy ostatnie utwory tej grupy pisarzy »młodej Rosji« z Tołstojowską »Sonatą Kreuzera«, powinowactwo ideowe okaże się niezaprzeczone i bardzo bliskie. Tołstoj, biorąc za punkt wyjścia w swoich rozumowaniach założenia etyczne, doszedł do ostatecznej negacji bytu. Gorkij, Andriejew, Skitalec, Arcybaszew i inni z ich szkoły — wyszli z założeń czysto społecznych, które im duch czasu na myśl nasunął, i doszli do tegoż samego wyniku końcowego, co ich mistrz.

Tylko, że podczas gdy Tołstoj głosił samobójstwo ludzkości dobrowolne i stadowe, uczniowie jego uznali społeczeństwo rosyjskie za żywioł nieomylny, upoważniony do ferowania wyroków sprawiedliwości, do wykonywania morderstw masowych w imię ideałów anarchistycznych.

Ale pomimo to — bohaterowie tak Tołstoja, jak i młodego pokolenia pisarzy rosyjskich, mają jedną wspólną zasadę: powszechnego zniszczenia. Środki tylko, jakimi należałoby je wykonać, są różne.

I jakżeż to rozpaczliwie beznadziejne, jeżeli za jedyny sposób uratowania społeczeństwa uznali — ogólne zniszczenie — stary Tołstoj na równi z »młodą Rosją!« Dwa światy różne, ale duch w nich żyje jeden.

Doktrynerstwo, początkowo wyłącznie literackie, znalazło wnet podatny i nadzwyczaj urodzajny grunt w życiu politycznem »narodu« rosyjskiego, zwłaszcza pierwszych lat konstytucyjnych. Pędziły ku temu niezbłagane »f a t a«...

Naród, mający wrodzoną predylekcję do wszelakiego doktrynerstwa, jak każdy n a r ó d p i e r w o t n y, do przyjmowania wszystkiego na wiarę, że tak jest, a nie może być bezwarunkowo inaczej, wydał cały szereg pisarzy jednego i tego samego kierunku, doktryna bowiem przyprawiła ich o ślepotę nagminną, ale taką, że nie mogli wyjrzeć poza ciasne ramki szablonu, w jaki popadli.

Szablon ten jest też najwybitniejszą cechą współczesnej literatury rosyjskiej, rewolucyjnej z natury rzeczy. Nie trudno przekonać się o tem. Wystarczy wziąć do rąk którykolwiek tom »S b o r n i k a Z n a n i j a«, »F a k e ł«, lub »M i r B o ż i j« i przeczytać choćby parę stron pierwszej lepszej napotkanej tam nowelki czy dramatu, a wszędzie słowa nasze znajdą potwierdzenie. We wszystkich odnajdziemy wypadki najsmutniejsze, przeżyte faktycznie, choć wyniesione na piedestał bohaterstwa. Literatura ta, nastrojona na wspólny ton, głosi, iż zbawienie Rosji leży w gwałtownem zburzeniu tego wszystkiego, co budowały mozolnie wieki długie. Da się do niej zastosować przewybornie maksyma łacińska: »Q u o d f e r r u m n o n s a n a t, i g n i s s a n a t!« lub jeszcze lepiej kozackie: »Ogniem i mieczem!« Jeśli zniszczenie, to już takie, żeby nie pozostał kamień na kamieniu!...

Zaczęto śpiew hucznie hymnem bratobójczym, co obiecywał niemożliwe do urzeczywistnienia ideały anarchistyczno-socjalne, wzywając:

»Wstawaj, podimajsia raboczij narod!«...

Po zbyt krótkim czasie hymn ten zmienił melodję z triumfatorskiej w pogrzebową, kiedy okazało się, że

»My żertwoj pali borby rokowoj«...[1]).

* * *

Pierwszych przebłysków myśli rewolucyjnej można bez trudu dopatrzeć się już w utworach, powstałych bezpośrednio tuż przed ukazaniem się manifestu październikowego. Rzecz inna, że myśl ta spleciona jest na razie z teorjami nihilistycznemi w ogólności, zarówno na punkcie politycznym, jak i społecznym, jak wreszcie (o ironjo!) seksualnym. Seksualizm zwłaszcza stanowić będzie nieodłączną cechę utworów Gorkiego, jak gdyby stanowił fundament wszechświata conajmniej!...

Z tego też względu dramat aż nadto słaby i rozwlekły, jakim są niewątpliwie »*Dzieci słońca*«, zasługuje na uwagę, specjalnie odnośnie do idei owych, jakie rozsiane w nim zostały aż nazbyt hojnie i stanowią poniekąd pierwszy etap w ewolucji nihilistycznych poglądów Gorkiego.

Podług Gorkiego bowiem — »starcy rzadko bywają sprawiedliwi... Prawda zawsze po stronie nowonarodzonego«.

I jakżeż takiemu rozumowaniu nie przeciwstawić znanego naszego przysłowia: »Mądrzejsze jaje od kury«?

Cóż?... kiedy wzrok Gorkiego przyćmiony potokami krwi... »Tam, gdzie była przelana krew, nigdy nie wyrosną kwiaty... Tam rośnie tylko nienawiść...

[1]) »Padliśmy ofiarą walki fatalnej.«

Kiedy słyszę cokolwiek obraźliwego, surowego, kiedy widzę czerwoność, w duszy mojej zmartwychwstaje trwoga i w tej chwili przed oczyma ukazuje się zezwierzęcony, czarny tłum, zakrwawione oblicza, strugi ciepłej czerwonej krwi na piasku... U nóg moich — młodzieniec z rozbitą głową... pełza kędyś, po twarzy i szyi jego leje się krew... podnosi głowę ku niebu... widzę jego mętne oczy, otwarte usta i zęby, pofarbowane krwią... głowa jego upada twarzą w piasek«...

To zapewne obrazek z pogromów inteligencji, dokonywanych przez czerń pijanych rezunów... Czy jednakowoż takiemu zezwierzęceniu tłumów nieoświeconych nie była winna w przeważnej części tak zwana inteligencja? — Pytanie takie samo przez się nasuwa się, kiedy tutaj słyszymy, jak Misza proponuje Fimie, iżby poszła do niego na utrzymanie, ofiarując jej piętnaście rubli miesięcznie z taką otwartością, jak gdyby chodziło o dzierżawę kawałka pola:

— »Pomyśl, za kogo ty możesz wyjść za mąż? Za robotnika, a on cię będzie bił, jak nasz ślusarz swoją żonę... Ja zaś urządzę ciebie skromnie, ale czyściutko, dostatnio i w ogólności — zajmę się twojem wykształceniem«...

Przypuszczałby kto może, iż Fima odrzuci z oburzeniem taką propozycję? Gdzie tam! Odrzuca ją co prawda, ale z powodów, nie mających nic wspólnego z moralnością. Wprawdzie rzeźnik Chrapow przyrzekał jej sto rubli miesięcznie, ona jednakowoż nie mogła zgodzić się na to, gdyż on jest już za stary dla niej. Gdyby wszelako Misza dał jej 75 rubli miesięcznie i należytość roczną poręczył z góry wekslem, bez wahania zostałaby jego utrzymanką...

Czyliż tedy można dziwić się smutnej refleksji Heleny, kiedy pod koniec aktu pierwszego powiada:

— »Jakże możliwe jest takie życie, kiedy dokoła nas wszędzie dzicy ludzie? To okropne: im tęższy człowiek, tem więcej wokoło niego hańby«...

Cóż tu wiele mówić o stopniu moralności dziewczyny z ludu, jaką jest Fima, kiedy inteligentna panienka Melania wyznaje bez ceremonji:

— »Posłuchajcie — powiada do żony Pawła Fiodorowicza — ja kocham waszego męża!... Ja go tak kocham... gotowam pójść do niego za kucharkę, za służącą... Wy — także, widzę! — wy przecież kochacie malarza... wam Paweł Fiodorowicz niepotrzebny... Chcecie? — na kolana upadnę. Oddajcie mnie jego! Będę nogi wasze całować... Mam pieniądze... wybuduję mu laboratorjum... Pałac wybuduję! Będę mu służyć, żeby wiatr go nie dotknął... będę u drzwi siedzieć dniami i nocami... ot! Po co wam jego? A ja go — jak oblubieńca Bożego kocham«...

Tutaj, z wyjątkiem jednej bodaj Lizy, owładnięci są wszyscy zepsuciem krańcowem, mającem swoje źródło w popędach płciowych:

— »Wyście wszyscy — ślepi, powiada chorowita Liza. Otwórzcie oczy: to, czem żyjecie, wasze myśli, wasze uczucia, są — jak kwiaty w lesie, pełnym mroku i gnicia... pełnym okropności... Wyście pijani pięknemi słowami i myślami, nie widzicie tego, a ja — widziałam, jak wyrwała się na ulicę nienawiść, i ludzie, dzicy, rozbestwieni, z zadowoleniem zabijali się nawzajem.. Kiedyś gniew ich spadnie na głowy wasze!... Życie pełne zwierząt! Dlaczego mówicie o przyszłych radościach, dlaczego? Po co oszukujecie sami siebie i innych? Pozostawiliście ludzi daleko za sobą w tyle... wyście osamotnieni, nieszczęśliwi, maleńcy... czyliż niezrozumiała jest dla

was ohyda takiego życia?... Przecież okrążeni jesteście wrogami... wszędzie zwierzęta!... Trzeba wytępić gwałtowność... zwyciężyć nienawiść... Zrozumiejcież mnie, zrozumiejcie!«...

Gdzież tutaj jednak szukać rozsądku, kiedy wszystko żyje wyłącznie zmysłami rozszalałymi, kiedy Melanja, odtrącona już przez Protasowa, prześladuje go z uporem dalej swojemi wynurzeniami miłosnemi, zniżając się do poziomu tak niskiego, że wstręt tylko wywołać jest w stanie, a ani odrobiny współczucia:

— »Weź mnie do siebie! — narzuca się błagalnie. Pozwól żyć koło siebie, byle tylko widzieć cię każdego dnia... słyszeć cię... Jam — bogata, zabierz wszystko! Urządź sobie gabinet dla swojej nauki... basztę wybuduj! Wyjdź na wyżyny i — żyj... a ja w dole, pod progiem, dzień i noc będę stała i nikogo nie puszczę do ciebie. Wszystkie moje domy, ziemie — wszystko sprzedaj... i wszystko weź sobie! Tak, tak! I zabierz mnie, żebym zawsze widziała ciebie... Nie mów ze mną, nie trzeba! Tylko popatrz na mnie czasem... tylko uśmiechnij się do mnie! Gdybyś miał psa... przecież uśmiechnąłbyś się do niego... popieścił czasem?... taką ja będę.. zamiast psa!«.

A kiedy Protasow pod wpływem tych wynurzeń zachwiał się i żona objawia mu wyraźnie chęć rozstania się z nim, przychodzi do tragedji..

Jeżeli w utworach Sołłoguba i Briussowa rozpętanie instynktów płciowych dochodzi do krańców ostatecznych, to nie bez winy jest w tym psychopatologicznym objawie także i Gorkij, który w dramacie p. n. »D a c z n i k i« dał obraz ponury, ale prawdziwy, degeneracji moralnej, jakiej uległa Rosja z początków XX. stulecia. Tutaj wszystko — brat i siostra, mąż i szwagier, kuzyni bliżsi i znajomi —

żyją jedynie myślą o uzyskaniu sumy największej wrażeń czysto zmysłowych. Cynizm zaś postępowania ich, a nawet rozmów potocznych przeraża wprost swoją potwornością tak dalece, że odnosi się wrażenie, jakoby osobami działającemi nie byli tutaj ludzie, ale obłąkańcy, nawiedzeni jakimś straszliwym szałem, w których, poza pożądaniem cielesnem, nie żyje żadna myśl inna.

Żona adwokata Basowa, młoda, bo zaledwie 27-letnia kobieta, nie znalazła szczęścia w małżeństwie, jako że — dodamy od siebie — nie umiała go w niem poszukać. To też marzy otwarcie o stosunku z pewnym literatem: »Pamiętam — zwierza się bratu — wyszedł na estradę, tak silny, stanowczy... na głowie rozwichrzone, gęste włosy, twarz szczera, śmiała... twarz człowieka, który wie, co kocha i co nienawidzi... zna swoją siłę... Patrzyłam na niego i drżałam z radości, że są tacy ludzie... Dobrze było! tak! Pamiętam, jak energicznie potrząsał głową, jego bujne włosy ciemną falą spadały na głowę... i natchnione oczy jego pamiętam«... I tak ją ta wizja czysto zmysłowa opanowuje, że hamować ją musi brat jej Włas, kiedy mówi z półuśmiechem: »Marzysz o nim, jak pensjonarka o nowym nauczycielu. Strzeż się, moja siostro! Pisarze, jak słyszałem, są największymi mistrzami pod względem uwodzenia kobiet«. Przestroga ta wszelako mija się z celem, skoro Barbarze Michajłownie zdaje się, że »ukochanie kobiety — to tragiczny obowiązek mężczyzny«...

Skoro zatem kwestje seksualne stanowią ośrodek życia rodzinnego, czyliż dziwić się można żonie lekarza Dudakowa Oldze Aleksiejewnie, iż nie wie, co odpowiedzieć dzieciom na pytanie: jak żyć należy? Cóż ona im powie? Gdybyż przynajmniej sama wiedziała!... A tu na dobitek dzieci stawiają

tak zawiłe pytania, »na które niema odpowiedzi ani u mnie, ani u was, ani u nikogo! Jakże strasznie trudno być kobietą!« — kończy rozpaczliwym gestem.

Cóż,... kiedy okazuje się, że o życiu i złączonych z niem zadaniach nie mają pojęcia na równi z kobietami — mężczyźni, skoro dowiadujemy się od kandydata adwokackiego Zamysłowa, że »Sonia i Zimin upewniali go, iż życie dane jest człowiekowi dla codziennego stosowania w rozwiązaniu różnych społecznych, moralnych i innych zadań, ja zaś przekonywałem ich, że życie — to sztuka!»...

Wogóle — ile głów, tyle tu poglądów na cele życia. I bodaj, czy nie najrozsądniejsze jest zdanie w tej mierze Riumina, który »jest przeciwny wszystkim tym niemądrym, niepotrzebnym próbom, zmierzającym do zerwania z życia barwnej szaty poezji, która ukrywa jego grube, często potworne formy... Trzeba upiększać życie!

Trzeba przygotować dla niego nowe szaty, zanim zrzuci się stare... Powiadacie często — życie! Co to takiego — życie? Kiedy o niem mówicie, ono wstaje przedemną, jako ogromny, bezkształtny potwór, żądający wiecznie ofiar, ofiar ludzkich! Ono z dnia na dzień pożera mózg i mięśnie ludzkie, pożądliwie pije jego krew. Po co to? Nie widzę w tem sensu, ale wiem, że im dłużej żyje człowiek, tem więcej widzi wokoło siebie brudu, podłości, prostactwa wstrętnego... i coraz więcej pragnie piękna, światła, czystości... Nie ma sił wypędzić z życia zła i brudu — zatem nie odbierajcie mu prawa widzieć to, co zabija duszę! Przyznajcie mu prawo odwrócenia się od objawów, obrażających go! Człowiek pragnie zapomnienia, odpoczynku... spokoju pragnie człowiek!«.

Z wyjątkiem Riumina wszyscy tutaj utonęli duchowo mniej lub więcej w bagnie moralnem.

Życie straciło dla nich sens, gdyż sami pozbawili je sensu. Rozprawiają tylko, rozprawiają nad tą kwestją i na tem koniec, bo brak im wyraźnych, silnych, celowych pragnień...

Pragnienia wszystkich zestrzelają się w jedno ognisko, kiedy nawet stary stryj Basowa, zamożny kupiec Dwojetoczije nie waha się wyznać bezwstydnie:

— »Co się tyczy kobiet, byłem bardzo szczęśliwy... zawsze u was, w Rosji, miałem je... bardzo łatwo u was żonę komu odbić! Źli z was mężowie... Przyjadę, bywało, popatrzę tu — tam — widzę — rozumiesz, kobieta godna uwagi, a mąż jej, jakiś niedołęga w czapce... No i w tej chwili dostaniesz ją do rąk... ho, ho!«... Postępując w myśl nabytego doświadczenia, próbuje bałamucić żonę swego kuzyna Barbarę Michajłownę. Ot, byle wszystko zostało w rodzinie!

Wszystko tu cyniczne, pozbawione odrobiny wstydu. Zwłaszcza kobiety idą w tej mierze o lepsze z mężczyznami, opowiadającymi sobie aż do znudzenia sprośne anegdoty. Taka np. Julja Filipówna nie wstydzi się wcale chlać alkohol: »I jam wypiła — powiada szczerze — ale to mnie nie wprawia w dobry humor, przeciwnie... Kiedy wypiję kieliszek mocnej wódki — zdaje mi się, że jestem poważniejsza.. żyć mnie — gorzej... i chcę się uczynić coś szalonego«...

Cóż myśleć wobec takiego wyznania o cnocie, obowiązkach małżeńskich, dochowaniu wierności? Toż to na to — n a p l e w a t'!... Czyż więc dziwiłby się kto, jeśli kobietom żyje się źle, bardzo źle, co gorsza, że nie wiadomo im, co należy uczynić, ażeby życie stało się lepsze, trochę tylko znośniejsze bodaj?...

— »Nie wiem, — powiada Julja Filipówna — co to rozpusta, ale jestem bardzo namiętna. Ogromna

taka, potężna namiętność ku mężczyźnie jest we mnie. Jestem przystojna — w tem całe moje nieszczęście. Już w szóstej klasie gimnazjalnej nauczyciele spoglądali na mnie takim wzrokiem, żem czegoś wstydziła się i rumieniła, a im to sprawiało zadowolenie... Potem wtajemniczały mnie mężatki... Ale najwięcej obowiązana jestem — mężowi. To on wypaczył moje pojęcia... on wywołał we mnie uczucie namiętności do mężczyzny«...

A kiedy starej, siwowłosej wdowie Marji wynurza się Włas ze swojemi uczuciami, ona chętnie oddałaby się jemu, bodaj chwilowo:

— »Kocham go!... Dla was to śmieszne? Tak... kocham go... Włosy siwe... a żyć chce się! Przecież — głodna jestem! Nie żyłam jeszcze... Moje zamęźcie było trzechletniem doświadczeniem... Nie kochałam nigdy! I, ot, teraz... wstyd przyznać się.. tak pragnę pieszczoty! wielkiej, silnej pieszczoty — i wiem — że późno!«...

Kto wie wreszcie, jak byłyby się skończyły zalecanki Riumina do Barbary Michajłowny, gdyby ona nie była spostrzegła się w porę, iż potrzebna jest tylko dla tego, ażeby umilić kochankowi życie, nie otrzymując nic w zamian za to, boć w zaklęcia miłosne przestała wierzyć dawno.

A przecież cały ten pęd ku zmysłowości trzeba w danym wypadku przyjąć za wybuch jakiś instynktów, przetrwałych jeszcze gdzieś z epoki kamienia łupanego, skoro zdaniem nawet takiego spokojnego Susłowa »człowiek jest przedewszystkiem typem zoologicznym«:

— »Gdybym była filozofem — powiada Julja Filipówna — powiedziałabym kobiecie: zbliżając się do mężczyzny, moja kochana, bierz z sobą tęgie polano. Mówiono mi także, iż u jednego plemienia dzikiego istnieje taki miły zwyczaj: zanim męż-

czyzna zerwie kwiaty zadowolenia, bije kobietę pałką po głowie. U nas, u ludzi kulturalnych, czyni się to po weselu«...

Ostatecznie do tragedji nie dochodzi, choć mężczyźni sądzą, że »kobiety — są zawsze jeszcze niższą rasą« i »stoją bliżej zwierzęcia od nas«.

Całkiem słusznie! Wszakże wśród zwierząt nie może dojść do tragedji na punkcie etycznym lub moralnym! W dodatku zwierzęta mają organizmy zdrowe, tutaj zaś osoby działające, jak słusznie wyraził się Dudakow, są chore na »ogólne zakażenie krwi«...

Z dramatem p. n. »Barbarzyńcy« załatwimy się krótko. Jest on bowiem aż nadto słaby, nie przynosi powtóre niczego nowego do charakterystyki poglądów Gorkiego.

Główne motywy też same — zarówno w warstwach inteligentnych — rozpusta i pijaństwo, jak w warstwach niższych — więcej pijaństwa, mniej rozpusty:

— »Osłabłem — wyrzeka mąż Duńki. Zniszczyła mnie żona... żona, brat... Z początku — niczego była... żyliśmy dobrze... ładna ona... A potem — nudno mnie, — powiada. I zaczęła wódkę pić, a ja z nią także... I ja... cóż począć? Wdała się w rozpustę... zacząłem ją bić wtedy... tak. A ona — uciekła... Miałem córkę... i córka uciekła w piętnastym roku«...

Wódka i rozpasanie płciowe stały się tutaj jak gdyby kanonem życiowym najwyższym, boć o niczem innem panie z inteligencji mówić nie potrafią.

Jedyny Stefan głosi hasła, a może tylko frazesy, o »wielkim ogniu rozumu«, o »nowem życiu i o walce«, ale po to tylko chyba, aby one, nie znajdując echa w sercach, zostały zagłuszone cyniczną propozycją podróży do Paryża, uczynioną przez

Cyganowa młodej mężatce Nadieżdie, choć — tym razem wyjątkowo — bez powodzenia. I tak dalej w koło aż do przesytu — orgja brudu, cynizmu i namiętności najniższych.

Tylko nad tem wszystkiem góruje zapowiedź Gorkiego, który od tej chwili miał oddać swoje pióro już zupełnie wyraźnie na usługi, t. zw. »rewolucji«, zapowiedź, która — niewątpliwie wbrew przewidywaniom i intencjom autora sprawdziła się aż nadto rychło i aż nadto dosłownie:

— »Sami ludzie powinni być, jak z żelaza, jeżeli chcą zmienić koryto życia... My nie dokonamy tego, my zburzyć możemy ożyłe, pomóc w rozkładzie martwemu, ale nie my, jak widać, stworzymy coś nowego, nie my!«...

Niepodobna tedy nie podkreślić faktu zastanawiającego, iż niewiara owa, tak wyraźnie tu zaznaczona, w twórcze siły pseudo-rewolucji, pozwoliła przecież Gorkiemu stać się piewcą teroru czerwonego, jakkolwiek nie miał wątpliwości co do niwelacyjnych jego dążności.

Zanim wszelako Gorkij wystąpił otwarcie w charakterze urzędowego nieomal chwalcy ruchu anarchistycznego, — wydał jeszcze jeden obrazek, nihilistyczny w swojem założeniu i stanowiący niejako punkt przełomowy, od którego ideały bosiackie milkną, ustępując miejsca apoteozie pseudo-rewolucji.

Ale nawet w tak króciutkim szkicu, jakim jest »Dziewczynka«, słychać wyraźną zapowiedź nadciągającej burzy:

Dniem i nocą wewnątrz domu, zamieszkałego przez uboższą klasę wyrobniczą, snują się ludzie, odziani ledwo nawpół w brudne łachmany, a ciemne ich dusze równie są nagie i brudne, jak ciała ich.

Z okien domu wydostaje się nieprzerwanie, powoli i gęsto, jak dym pożarny, szum życia.

Gdzieś niedaleko od leżącego na ziemi pisarza, z pomiędzy stosu pustych beczek i połamanych skrzyń, dał się słyszeć dźwięk kołysanki, nuconej dziecięcym głosem. To na jednej z pak siedząca maleńka dziewczynka trzymała na rączkach kawałek starej łyżki, owiniętej w czerwoną szmatkę, który jej służył za lalkę. Ponad dziewczynką zaś w powietrzu unosiły się, na kształt smug dymu, krzyki, łajania, pijany śmiech i płacz, a promienie zachodzącego słońca, oświecające odłamki beczek i paczek, nadawały im podobieństwo do resztek jakiegoś większego organizmu, zniszczonego bezlitośną ręką wandala.

Na widok nieznajomego dziewczynka drgnęła i schowawszy do kieszeni swoją drewnianą lalkę, zaproponowała mu swoje usługi miłosne za cenę kilkunastu kopiejek i to takim tonem, jakiego nie powstydziłaby się zawodowa ladacznica. Poeta uciekł, unosząc w swojem sercu spojrzenie jasnych dziecięcych oczu.

Czyliż wobec tego, że dzieci nieletnie nędza zmusza do handlu własnem ciałem, — pozwala się Gorkij domyśliwać — nie jest potrzebny przewrót stosunków społecznych?

* * *

Program swój polityczno - społeczny wyraził Gorkij tuż w przededniu pseudo-rewolucji w »bajce«, zatytułowanej »T o w a r z y s z u!«.

Działo się to w mieście, nie określonem bliżej, ale napewno w Petersburgu. Mnóstwo cerkwi podnosiło ku niebu swoje pstre, błyszczące kopuły. Lecz mury i kominy fabryczne były wyższe od dzwonnic i świątynie, przytłoczone ciężkiemi fasa-

dami bazarów, ginęły wśród konturów ścian-olbrzymów. I kiedy dzwony cerkiewne wzywały na nabożeństwo — ich dźwięki miedziane ginęły w ciasnocie ulic.

Domy były monumentalne i niekiedy ładne nawet, ludzie natomiast potworni. Od rana do nocy snuli się po ulicach i pożądliwemi oczyma szukali ci chleba, ci rozrywek, inni wreszcie, ustawieni na skrzyżowaniu się ulic, baczyli ciągle, iżby słabi bezwarunkowo poddawali się woli silnych.

Silnymi nazywano bogatych, wszyscy zaś wierzyli, iż jedynie pieniądze dają człowiekowi władzę i swobodę. Wszyscy pragnęli władzy, gdyż byli wszyscy niewolnikami, dostatek bogatych wywoływał zawiść i nienawiść biednych, nikt nie znał piękniejszej muzyki od dźwięku złota i dlatego każdy był wrogiem drugiego.

Nad miastem świeciło słońce, ale życie było zawsze ciemne i ludzie, jako cienie. Nocą okna płonęły od światła, ale wówczas wychodziły na ulice głodne kobiety, niosące na sprzedaż swoje pieszczoty i ciało, zewsząd donosił się zapach rozmaitych potraw i zewsząd błyskał zły wzrok głodnych, a nad miastem płynął cicho przytłumiony jęk nieszczęścia...

A pośród tej biedy i poniżenia, po suterenach domostw, chodzili marzyciele, pełni wiary w człowieka, przepowiadając bliskie wyzwolenie. Ludzie zaś ciemni przysłuchiwali się z zapałem nowym naukom, które wnikały w głąb ich nędznego życia, hasłem zaś, które łączyło wszystkich tych parjasów, było słówko: »Towarzysz!«

Nie było ono dla nich nowością. Ale teraz dopiero odezwało się innym dźwiękiem. Wymawiając je czuli, że słowo to zdolne jest zjednoczyć cały świat w walce wspólnej o wolność i prawa człowiecze. I kiedy ono wrosło w serca niewolników —

oni przestali być niewolnikami i założyli głośny protest.

A wtedy życie całe stanęło, gdyż oni stanowili siłę, dającą ruch życiu! W wodociągach zabrakło wody, ogień zagasł, całe miasto pogrążyło się w mrokach nieprzejrzanych i silni stali się słabymi, jak dzieci, a strach ogarnął ich dusze, że nie wiedzieli, gdzie szukać schronienia przed zemstą tłumów? Milczenie złowrogie zaległo ulice, gdyż człowiek-niewolnik okazał swoją władzę i moc. Dnie stały się dniami rozpaczy silnych, noce wydały się, jak wiek, długie, głód przyprawił ich o cierpienia, jakim dotąd ulegali tylko nędzarze, po których stronie teraz była siła...

Nędzarzy, owych niewolników pracy ciężkiej, zjednoczyło hasło »towarzysz«. Nawet w oczach ladacznicy ulicznej zabłysły łzy radości na dźwięk tego hasła. Ale na krótko, bo po zaułkach ogromnego miasta gromadziły się tłumy ślepe uzbrojonych ludzi...

To gniew przemocy — konkluduje Gorkij — zbierał swoje siły celem zgniecenia fali sprawiedliwości, pragnąc zgłuszyć na wieki słowo »Towarzyszu!«.

Nie inna idea przebłyskuje w szkicu p. t. »O Sierom«, chociaż właściwszy, jak się przekonamy, byłby tytuł »O Czarnym, Czerwonym i Szarym«, gdyż o tych trzech usymbolizowanych postaciach tutaj mowa.

»Na ziemi toczą ze sobą spór Czerwony i Czarny — zaczyna się opowiadanie. Żądza nieugaszona władzy nad ludźmi — to siła »Czarnego«. Gwałtowny, zły, rozpostarł nad światem swoje ciężkie skrzydła i rzucił na ziemię lęk przed sobą. Chce, żeby wszyscy ludzie stali się jego sługami. Spokój utrzymuje żelazem, złotem i kłamstwem, a imieniem

Boga posługuje się tylko dlatego, żeby uzyskać od Niego potwierdzenie swojej władzy nad ludźmi. I z zimną krwią powiada: »We mnie siła, to jest — jam jest dusza i rozum życia, jam władcą wszystkich ludzi!«. Kto przeciw niemu, ten przeciw życiu, to zbrodniarz!... Na hak z nim!...

Jakżeż inny jest drugi bohater opowieści Gorkiego!...

Siła »Czerwonego« — to pragnienie ujrzenia życia wolnem. Ona to oświeca ponurość życia współczesnego groźnym blaskiem prawdy, cichem (?!) światłem miłości, głosi zrównanie wszystkich takie, »żeby nikt nie był podwładnym«, gdyż »władza dla władzy jest występna«.

Przynajmniej krótko i węzłowato. Wiekowa kwestja została rozwiązana przez Gorkiego na poczekaniu.

A że — niestety — wyznawców takich teorji czekają rozmaite przykre konsekwencje, więc i my z Gorkim musimy powędrować do »Więzienia«.

W czasie zaburzeń ulicznych, młody student Misza dostał się za kratę. Sama cela, porządki więzienne, strażnicy, milczenie bez końca, wszystko to nie wydało się mu od pierwszej zaraz chwili ani ciężkiem, ani strasznem, wobec ponurych opowiadań o więzieniach, jakich nasłuchał się w swojem życiu niemało. Na samo wspomnienie o owych opowiadaniach uśmiechał się pogardliwie, kwalifikując opowiadających jako zdeklarowanych neurasteników. Przyjemność prawdziwą sprawiała mu świadomość, że nie odczuwa ciężaru więzienia, że serce jego uderza równomiernie i spokojnie.

Zresztą zaledwie dwie osoby zmartwią się jego aresztowaniem: naprzód tedy stara jego gospodyni, która zapewne nie pomyśli, ażeby przysłać mu bie-

liznę, pościel i obiad, a nadto siostra w Kałudze nastraszy się porządnie. Ją wszelako uspokoi rychło szwagier. Poza nimi nikt się o niego nie zatroszczy.

Ależ bo Misza był wcale pospolitym studentem! Mało czytał i jeszcze mniej widział. Aż do rozpoczęcia studjów uniwersyteckich życie jego upływało nudnie w surowym domu siostry i jej męża i Misza czuł się zupełnie obcym wśród owych studentów, którzy swobodnie i z zapałem omawiali rozmaite kwestje społeczne. Ogólna fala niezadowolenia z życia tknęła wprawdzie i jego duszę i obudziła w niej nieokreślone pragnienie protestu. Nie miał jednak jeszcze czasu, aby zrozumieć, w jaką właściwie stronę należałoby ów protest skierować. Obecnie, kiedy uważał się za bohatera, przeżywał z chciwością młodzieńca nieznane wrażenia, zapełniając niemi młodzieńczą, prawdziwie bogatą siłę wrażliwości. Pomimo to wszelako, kiedy powracał z codziennej półgodzinnej przechadzki na podwórzu więziennem, nagle topniały wszystkie jego marzenia, wszystkie uczucia, a powstała w sercu niezwykła pustka i młodzieniec drętwiał w jakimś półśnie pogrążony.

O rozpacz wprost przyprawiał go brak rozmowy z ludźmi... Jedynym człowiekiem, z którym mógł w nocy pogawędzić, był stary, ospowaty dozorca, nazwiskiem Oficerów, syn nieprawy jakiegoś oficera. Kiedy jednakowoż opowiedział raz Miszy, jak zdradził jednego więźnia, który zamierzał wyłamać kratę więzienną, jak pilnie dozorował swego siostrzeńca, skazanego za morderstwo, — noce bezsenne obejmowały głowę studenta.

Z więźniami politycznymi nie było sposobu porozumieć się. Byli to, jak się zdawało na pierwszy rzut oka, robotnicy. Rośli, silni, licho odziani,

spoglądali na wszystko ponuro, ukradkiem. Na chudych, wygłodniałych twarzach tych ludzi malował się wyraz jakiejś mocnej nieugiętości i coś, co przypominało gonione wilki, było w nich jakby wyrzeźbione. Miał wielkie zainteresowanie i poważanie dla tych ludzi; zauważył też, że i aresztanci kryminalni przypatrywali się im z takiem samem zainteresowaniem. Nawet dozorcy i cały zarząd więzienny, zachowywali się wobec nich z ostrożnością i szczególnymi względami.

Miszy podobał się osobliwie pewien człowiek, coś w rodzaju politycznego, o którym mówiono, że często »bywa« w więzieniu, a nie »siedzi«.

— »Ten człowiek niczego się nie boi — oświadczył raz Oficerów. — Każdemu potrafi powiedzieć prawdę w oczy, prokuratorowi, dyrektorowi. Raz tu przyjechał wice-gubernator — temu to już dał porządnie. Ja — powiada — myślę tak a tak; pan znowu myśli inaczej — to wszystko swoją drogą — ale szanować się musimy nawzajem, bo ja jestem człowiekiem... a i pan także jest człowiekiem... poza tem wszystko inne jest niepewne. Mundur niczego nie dowodzi! Dostał za to tydzień więzienia celkowego, ale on śmiał się z tego, mówiąc: To absolutnie niczego... nie dowodzi... to jest poprostu wielkie głupstwo!... no, bo i czegóż więzienie celkowe mogłoby dowieść?... I słusznie dorzucił Oficerów. Jeżeli ja panu powiem prawdę, a pan mnie za to w pysk — to przez to prawda nie przejdzie na pańską stronę«.

Pod wpływem ohydnych bójek, jakie staczali pomiędzy sobą więźniowie kryminalni, »czyn bohaterski« Miszy zmalał teraz w jego oczach, przedstawiał się mu niedorzecznym. On zaś sam przedstawiał się sobie, jako komiczny studencina, wymachu-

jący niezręcznie ramionami, wśród tłumu ludzi zawstydzonych swoją niemocą, zmieszanych łatwością, z jaką ich ubezwładniła brutalna, mechaniczna, lecz dobrze zorganizowana siła. A dalej nasunęło się własną mocą pytanie, czy w owym demonstrującym tłumie byli ludzie? I odpowiedź wypadła przecząco. Nie — to nie są ludzie! Po ziemi chodzą dziwnie litośni wykonawcy obcej woli. Ledwie pojmują to, co wykonują obojętnie, a żaden z nich nie ma odwagi, żaden nie ma dość siły na wymówienie dumnego ludzkiego słowa: Nie chcę! Więzienie nosi w sobie każdy z tych ludzi, a wszystko to, co ich otacza, jest również więzieniem...

Bo życie — rozumował dalej Misza — jest twarde i nielitościwe, życie jest walką niewolników o wolność i panów o władzę.. i dlatego życie nie może być miłem i spokojnem, nie może być dobrem i pięknem, dopóki są panowie i niewolnicy. Dopóki władcy życia będą oddawać się wybrykom swojej potęgi, a niewolnicy wybrykom swojej uległości poddańczej, dopóty życie nie będzie sprawiedliwe ani piękne. Życie będzie napełnione przerażeniem i srogością, dopóki ludzie nie zrozumieją, że w równym stopniu szkodliwe i haniebne są: panowanie i niewola.

Takiem rozumowaniem popadł w sprzeczność z samym sobą. Wszakżeż on w gruncie rzeczy nie był ani panem, ani niewolnikiem!...

Nie inną ideą przesiąknięty jest obrazek p. t. »*Sobaka*«, zajmujący dwie stronniczki druku. Bo Gorkij lubi czasami wyrażać się lakonicznie, pozwalając czytać dowoli między wierszami. Istotnie — krótkość jest niepospolitą zaletą, tem większą dla wielomównego z natury Maksyma.

Rzeczywiście »Sobaka« — pies to pospolity, ale autor włożył w niego symbol potężny w rozumieniu własnem.

Autor szedł raz polem. Był wieczór wonny, cichy, księżycowy, rozkoszny. I spotkał psa ze spuszczonym ogonem, najeżoną sierścią na grzbiecie. Pies był wynędzniały, głodny. Po kilku dniach ujrzał go znowu. Pies leżał martwy, a nad cielskiem jego unosił się rój czarnych much. Z wyciągniętą szyją i wyszczerzonemi, żółtemi zębami, spoglądał pies martwem, suchem okiem w stronę miasta. Autor rzucił psu parę słów pochwały, że postąpił jak mędrzec, uznawszy, iż czas mu zdechnąć i że »odszedł precz od życia« we właściwej porze. »Jakżeż chciałbym wyrazić tę samą pochwałę — powiada na zakończenie obrazka — mnóstwu ludzi pół-umarłych, zatruwających życie nasze wonią swojej zgnilizny, jakżebym chciał, żeby sobie z ciebie psie, wzięli przykład?!«.

I któż to ci, którym Gorkij radzi postąpić za przykładem owego psa?...

Nie trudno domyślić się. To ci, którzy nie chcą pójść na lep bosiackiej propagandy anarchizmu, pomni ideałów przeszłości i dlatego »zatruwają« życie rozmaitym apostołom wolności, o jakiej nawet w wolnej, republikańskiej Ameryce słuchać nie chciano.

Burżuazyjni Jankesi!

Nie znaleźli oni łaski w oczach pisarza, który chciał chorobę społeczną Rosji uleczyć morzem płomieni. Gorkiemu marzy się wizja rozkoszna w »Królestwie nudów«. Nie może znieść powagi i sztywności Amerykanów, ich zabaw wesołych, parków przestronnych, zalanych potokami światła elektrycznego. »Chciałoby się, — wyznaje szczerze — pdopalić wspaniałość tę całą!«...

Co się tyczy wesołych, przyzwoitych zabaw ludowych, to i w tej mierze ma Gorkij odmienne gusta. I — jak przystało na »russkawo czełowieka« konkluduje:

— »Chciałoby się zobaczyć człowieka pijanego, z wesołą twarzą, któryby szedł, potrącał przechodniów, śpiewał, wrzeszczał, szczęśliwy, że oto upił się i wszystkim dobrym ludziom szczerze tego życzy«...

Tymczasem w republikańskich Stanach Zjednoczonych tego rodzaju indywidua podchmielone pakują do aresztów. Nie tak, jak w Rosji-matuszce!... To też Amerykanie budzą w Gorkim wstręt nieopisany. Wszakżeż to — pospolici zjadacze chleba:

— »Chciałoby się — woła — podpalić całą tę wspaniałość i wściekle wesoło tańczyć, krzyczeć i śpiewać wśród bujnego igrzyska różnobarwnych języków, żywych płomieni, na upajającej słodko uczcie zniszczenia martwej wspaniałości ubóstwa duchowego«...

Najsilniej wyraziła się ta nienawiść do kultury światowej w »Mieście Żółtego Djabła«, gdzie Gorkij propaguje wprost, bez najmniejszych ogródek, anarchizm. Oburza się naprzód w tym utworze na pomnik wolności, potem na samo miasto i jego mieszkańców, na kolejkę powietrzną, na restaurację, słowem, na wszystko — nie wyłączając stójkowych, żujących ustawicznie tytoń. Podczas czytania tego utworu ma się wrażenie, jakoby mieszkańcy Nowego Jorku byli ludźmi bezdusznymi, jakby w ich piersiach zamiast serca był kilogram złota... Miasto martwe... przeklęte!... Miasto złota!...

Znamienity podróżnik znalazł w niem jednego tylko »człowieka«...

I cóż to był za »człowiek«?

— »Pod latarnią stoi młodzieniec i co chwilę potrząsa głową, zacisnąwszy silnie swoje mocne

zęby. Zdaje się mi, że wiem o czem myśli, czego pożąda? Pragnie mieć ręce olbrzyma o strasznej sile i skrzydła u ramion. A to dlatego, żeby kiedyś wznieść się ponad miastem, zapuścić w nie ręce, jako dwie olbrzymie dźwignie stalowe i zmieszać w niem wszystko w kupę śmiecia i pyłu: cegły i perły, złoto i mięso niewolników, szkło i miljonerów, błoto, idjotów, świątynie, zatrute błotem drzewa i te głupie, wielopiętrowe »drapacze nieba«, wszystko, całe miasto razem, w cieście z błota, z krwi ludzkiej — zamienić w ten pierwotny chaos, z którego powstało«...

I gniewa go jedno głównie. To złoto, złoto i jeszcze raz złoto, które przewala się tutaj bałwanami oceanowemi! Ono przyprawia go o nienawiść dziką do tych wszystkich, którzy posiadają cokolwiek. Przeklęci niech będą oni wszyscy co do jednego! Błogosławiony za to niechaj będzie ten, co nie zaznał dobrobytu, ten, co ciężko w pocie czoła pracuje na chleb powszedni. Jego bowiem jest, a przynajmniej będzie królestwo na ziemi. On pójdzie odważnie burzyć wszystko, niszczyć wszystko, tak, jak to ongi czynił wódz Hunnów Atylla lub okrutni Rzymianie, co spełniając przepowiednie proroków, nie zostawili w nieszczęsnem Jeruzalem kamienia na kamieniu... Za takie Jeruzalem uważa Gorkij dzisiejszą Rosję...

Tego czesnemu nędzarzowi przecież — powiada — wrodzony jest popęd do niszczenia wszystkiego!... »Człowiekowi przysługuje prawo zemsty, prawo do tego dają mu ludzie«... »Gdzie — kończy z emfazą — mówi się tylko o pracy niewolników, tam niema miejsca na pracę twórczą. Niszczyć, grabić, palić i mordować!«

Zemstą okrutną winni odpłacić się ludzie by dlęta!

Ciąg dalszy »Miasta Żółtego Djabła« — trzy opowieści. O jednej z nich o »Królestwie nudów« (Carstwo skuki) mówiłem wprzód.

»Mow« — to straszliwa fantazja, będąca warjantem wyrażonych już poprzednio myśli. Oto obrazek:

— »Tłum rozwścieklonych wyrodków, uzbrojony w ogromne kleszcze, noże, piły i we wszystko, co można sporządzić z żelaza, zbił się w kłąb chrabąszczy, w mroczny wicher szaleństwa nad ciałem kobiety, którą chwycił pożądliwemi rękoma, powalił na ziemię w brud, w kurz i rwie jej piersi, kraje ciało, pije krew, gwałci i ślepo, zgłodniale, bez ustanku znęca się nad nią...

— »Co to za kobieta — nie dojrzeć: bo jest przywalona, pokryta ogromnym brudno-żółtym tłumem ludzi, którzy wpili się w nią ze wszystkich stron ciałami, przylgnęli wszędzie, gdzie tylko było miejsce dla gąb żądnych i ssą soki z każdej pory ciała. Zęby ich zgrzytają, dzwoni żelazo w ich rękach. Jęki bólu, krzyki rozczarowania, rzężenie głodnego gniewu — wszystko to zlewa się w hymn pogrzebowy nad trupem zabitej zdobyczy, rozszarpanej, zgwałconej tysiącami gwałtów, powalanym całą różnobarwnością brudu ziemskiego«... itd. itd.

Pomimo całej swojej grozy, utwór powyższy nie może uczynić na czytelniku wrażenia.

Ostatni wreszcie utwór — »Czarli Men« — to historja myśliwca amerykańskiego. Wywołuje nudę i nic ponadto. Gorkiemu wogólności nie powiodło się uchwycenie typów amerykańskich tak, jak »bosiackich« rosyjskich, w których odtwarzaniu doszedł do precyzyjnej wprawy.

* * *

Ileż to razy zwykło się słyszeć zdanie, że literatura t. zw. »ruchu wolnościowego« lat pierwszych

konstytucji jest pozbawiona wszelkiego artyzmu, co gorsza, poszła na służbę pustych słów i nic nie znaczących frazesów tanich.

Wielu utrzymuje, że djalektyka i retoryka nowego, dotąd jeszcze nie narodzonego ustroju państwowego, jest plagjatem zachodnio-europejskiej ewangelji proletarjackiej, której tezy postanowiono wiernie i ściśle zastosować w Rosji, nie zważając na to, czy zastosowanie takie przyniesie pożytek lub szkodę?...

Powiadają nakoniec, że rosyjskie pojęcie proletarjatu jest, jak nić »babiego lata«, lżejszem od puchu i różni się krańcowo od takichże pojęć zachodnio-europejskich, podług których rosyjski »bosiak« lub »brodiaga« bezdomny nie mógłby być zaliczony w szeregi parjasów społeczeństwa.

Czy jednak przez usta tych wszystkich sceptyków nie mówi uprzedzenie?...

Czy w ten sposób nie zamykamy oczu przed skarbami nowej Golkondy, odkrytej w podziemnych kopalniach nowej prawdy, nowego rozsądku i rozumowania?...

Bo przecież przywódcy owego »ruchu wolnościowego« utrzymywali z całą stanowczością, że zarówno w ich działalności społecznej, jak i literackiej, jest nietylko wiele oryginalnego, — ale nawet niema w niej nic starego. Wszystko tam nowe, gdyż i życie Rosji zmieniło swoje dawne łożysko.

Nie podobna nie przyznać wielkiej oryginalności Gorkiemu zarówno wówczas, gdy będzie pisać apoteozę »bosiactwa« w nowelach lub dramatach, jak wtedy, gdy będzie tworzyć filozofję »bosiacką«, kiedy napisze artykuł o sędzi pokoju, czy też traktat, poruszający sprawę pokojowej polityki świata, czy jeśli wypowie mowę na meetingu. Zawsze po-

zostanie sobą, wiernym głoszonym przez siebie ideałom, doprowadzonym do absurdu ostatecznego.

Najlepiej wykaże się prawdziwość mojego twierdzenia na książce Gorkiego, która — jak sam powiada — ma »być wesołą i dla wszystkich przyjemną«...

Zamiar bardzo chwalebny!... Weselić serca w dzisiejszych wcale nie wesołych czasach...

— »Czuję — powiada Gorkij w przedmowie do tego arcydzieła — że dotychczas niemało (?!) przeszkadzałem ludziom żyć spokojnie i szczęśliwie. Zwracając uwagę na ciemne strony życia, obrzuciłem czyste jego serce bryzgami błota życiowego, ale teraz uznaję swój błąd. I to przeświadczenie skłania mnie do podjęcia próby, czy zdołam obmyć zbrudzone serce czytelnika w strudze nieszkodliwego śmiechu? Oto skromny cel mojej książki«... kończy skromny autor.

A potem następują (Sbornik Znanija, tom XIII. i nast.) cztery wywiady (dwa nadto obiecał Gorkij dać później, ale dotąd nie spełnił przyrzeczenia), zatytułowane: »Król, który wysoko dzierży swój sztandar«, »Przepiękna Francja«, »Car« oraz »Jeden z królów rzeczypospolitej«.

Co to właściwie jest? Jaki to rodzaj literatury pięknej?

To ani powieści, ani nowele, ani opowiadania. Wogóle tego nie można podciągnąć pod żaden rodzaj belletrystyki. Tak samo nie można tych produktów zaliczyć do rzędu monografij, traktatów lub szkiców historycznych, ani do badań filozoficznych. To zupełnie nowy, dotąd niewidziany gatunek utworów literackich, dla którego nie możemy zdobyć się na odpowiednie a trafne określenie.

Ale chyba będzie najlepiej, jeśli się da autorowi możność samookreślenia się:

— »Wielka Francjo, coś była wodzem cywilizacji świata, czyliż pojmujesz hańbę swojej działalności?

— Ukochana moja! Przyjmij też moje splunięcie krwią i żółcią w twoje oczy!«...

Oto ideowa zawartość utworu Gorkiego, na który z taką niecierpliwością czekała Rosja cała.

»Splunięcie!«... Jak to brzmi dumnie, hardo! »Splunięcie!«...

I jakże musi być wielkim a sławnym ów hardy proletarjusz, który potrafi spluwać tak dzielnie!

Pierwsze »interwiew» z »Królem, co dzierży wysoko swój sztandar«.

To cesarz Wilhelm II.

Kiedy Gorkij przybył do pałacu cesarskiego, przeprowadzono go do gabinetu monarchy. Nieprzywykły bywać w tak wysokich apartamentach, wziął Gorkij mistrza ceremonji za lokaja. Ale sytuacja wnet wyjaśniła się, a mistrz ceremonji nie obraził się, ale nadto pouczył znakomitego gościa o ceremoniale dworskim, oraz o tem, jak ma zachować się w chwili przybycia cesarza.

»Jego wysokość — opowiada Gorkij — weszła silnym krokiem istoty, upewnionej, że pałac zbudowany mocno... Oczy ani drgną, są takie, jakiemi powinny być oczy istoty, przywykłej patrzeć w przyszłość«.

Wielki autor zapewne ukłonił się monarsze, a Jego Cesarska Mość »miłościwie poruszył wąsami«...

Zaczęła się rozmowa: — »Czem mogę pana uszczęśliwić?« — »Przyszedłem, żeby wypić parę kropli z oceanu Waszej mądrości!«... — »Mam nadzieję, że nie ogłupieję po tem«... — »To niemożliwe dla Was, Wasza Cesarska Mość.«... I tak dalej ciągnie się

djalog »wesoły i przyjemny dla wszystkich« — przez całych stron dziesięć:

— »A co sądzi Wasza Cesarska Mość o sprawie pochodzenia boskiego władzy królewskiej?«

— Wszystko co można! Naprzód jest ona niewzruszona i tylko jedynie prawdziwa, gdyż jest cudowna! Następnie — miljony narodów uznawały przez lat tysiące władzę jednego człowieka — i tylko idjoci mogą ją odrzucać... Nie mogę wyobrazić sobie, żeby te wszystkie miljony składały się z idjotów. Byłbym złym władcą, gdybym tak mało cenił swoich poddanych. I jako, że tylko Bóg może czynić cuda, jasnem staje się, że jestem wybrańcem Jego dla Jego siły i swoich zalet«...

Lecz za co to znęca się tak rosyjski »król myśli« nowoczesnej nad cesarzem niemieckim?

— »Czerwony błysk socjalizmu przyprawia o strach wszystkich porządnych mieszkańców ziemi, socjalizm chce pożreć duszę społeczeństwa kulturalnego — jego własność.

Ale co właściwie Gorkiemu do socjalizmu? Co jemu do Hekuby, a Hekubie do niego? Przecież dla niego niema miejsca w panteonie Marksa i Engelsa, boć sam stworzył własną boźnicę socjalistyczną! A w niej na jednej stronie — sam przecież powiada, było napisane czarnemi literami: »Anarchja«, na drugiej »Ateizm«, na trzeciej »Zniszczenie własności osobistej«, a na ostatniej »Zwierzęcość«...

— »Nieraz, po rozmowie z człowiekiem, tak gorąco pragnie się po przyjacielsku pogłaskać psa... z szacunkiem pokłonić się słoniowi« — kończy Gorkij swoją filozofję.

Myśl to bynajmniej nie nowa. Słyszymy ją tutaj nie po raz pierwszy. Powiedział ją nam jeszcze w parku new-jorskim. Od bestjalizmu pospoli-

tego, jaki tkwi w czołobitności przed zwierzętami, od własności prywatnej przechodzą zwyczajni socjaliści do anarchizmu. I doszedłszy do proletarjatu — zatrzymują się. Ależ oni, według Gorkiego, są naturami połowicznemi, zdolnemi do kompromisów! Inaczej robi Gorkij, bo idzie od własności prywatnej znacznie dalej, niźli tamci, dalej, niż wszelki socjalizm, chociaż z litości uważa socjalistów za ludzi »rozumnych«.

Drugie splunięcie przeznaczył Gorkij republikańskiej Francji, również dla rozweselenia serc czytelników.

Chodził długo po ulicach, zanim ją znalazł, zanim dowiedział się o jej adresie i mieszkaniu. »Przepiękna Francja« mieszkała w komisarjacie policyjnym, u którego drzwi stało dwu stójkowych »w spodniach, uszytych z czerwonego znaku wolności«,

— Czy pan mówi po francusku? — zapytała obrzucając go wzrokiem »znawczyni mężczyzn« i odpowiadając dygiem wyuczonej artystki na ukłon Gorkiego.

— Nie, pani — odparł jej znakomity podróżnik — mówię tylko prawdę... (Jak gdyby nieznajomość języka francuskiego dawała patent na mówienie prawdy!...)

Wypowiedziawszy jeszcze parę banalnych frazesów, ofiara Gorkiego usiadła obok niego, spojrzała mu zalotnie w oczy i zaczęła »pięknie mówić o miłości, o poezji, o wolności, o Niemczech i o Rosji«. I jakąż wkońcu przebiegłość okazała:

— Jam kobieta, potrzebuję męża! — odpowiedziała na zarzuty wielkiego Maksyma »co do dania pieniędzy Rosji«. I jak żona biblijnego Putyfara, starała się nakłonić go do popełnienia grzechu.

Ale Gorkij okazał się »wyższym ponad świat i namiętności«...

— I czyliż to Francja? — zapytał sam siebie. — Ta bohaterka święta, której wizerunek rysował się w mojej wyobraźni spowity w płomień(?!) dzielnych myśli, wielkich słów — równości, braterstwa i wolności?

Koniec końców był taki, że Gorkij wstał, ukłonił się pięknie w milczeniu pani Francji.

— Pan już odchodzi? — zapytała zdziwiona niepomiernie i jakby zasmucona.

— Nie mam tutaj co robić! — odparł Gorkij bez namysłu, grzecznie.

Lokaje nie wyprowadzili natychmiast gościa z buduaru Rzeczypospolitej. Byli zbyt dobrze wychowani w porównaniu z przybyszem ze Wschodu barbarzyńskiego. Ale kiedy Gorkij wyszedł na ulicę, pomyślał sobie w głos:

— Nie zobaczyłem tej, którą pragnąłem ujrzeć. Widziałem tylko cyniczną kokietkę, która za pieniądze oddaje się z zimną krwią złodziejom i katom...

Dokończenie utworu jest olbrzymim kubłem nieczystości, jakie Gorkij wylewa na Francję za to, że poważyła się dać pożyczkę rządowi rosyjskiemu bez zgody Dumy państwowej.

Trzeci z kolei wywiad p. t. »Car«. Takich utworów możnaby pisać codziennie tysiące. Bo pod tytułem nie widać nic oprócz trzech rzędów kropek. Lakonicznie i krótko.

Splunięcie ostatnie z rzędu w stronę demokracji amerykańskiej. Gorkiego przyjął na posłuchaniu »Jeden z królów rzeczypospolitej«.

»Stalowi, naftowi i wszyscy inni królowie Stanów Zjednoczonych — opowiada Gorkij — zawsze wprawiali w podziw moją wyobraźnię«. Jak z dalszego ciągu okazuje się, Gorkij wyobrażał sobie

tych, którzy »mają mnóstwo pieniędzy«, jako właścicieli trzech żołądków i »mniej więcej stu pięćdziesięciu zębów«. Zdawało mu się, że miljarder nie robi nic innego od rana do nocy, tylko je gęsi, indyki, prosięta i wszystko, co tylko możliwe do pomyślenia. A jeżeli żuje tytoń, to naturalnie w najlepszym gatunku i po dwa funty odrazu. Jeśli zaś zażywa tabakę, to nie inaczej jak funt na jeden raz.

Jednakże — niestety! — ani jedno z powyższych przypuszczeń Gorkiego nie sprawdziło się.

Bo oto okazało się, że miljarder amerykański jada tylko dwa razy dziennie i to skromnie, jak każdy śmiertelnik przeciętny. Zadziwiające!... Natomiast wyszło na jaw coś zupełnie innego. Wielbłądowi amerykańskiemu trudno przeleźć przez uszko igły do Królestwa niebieskiego.

Oto jak rozumuje u Gorkiego miljarder:

— Pomrzemy wszyscy — bogaci i ubodzy, bankierzy i zamiatacze ulic. W ogrodach rajskich, być może, robotnicy z kopalni węgla zostaną cesarzami, a cesarz będzie zamiatać miotłą ze ścieżek ogrodów liście opadłe i papierki z cukierków, któremi będziecie raczyć się codziennie...

Wkońcu rozmowa przeszła na socjalizm. I oto, — co oświadcza republikański bankier Gorkiemu:

— W głowie socjalisty — ateizm, w jego brzuchu — anarchizm. Dusza jego okryta skrzydłami djabelskiemi szaleństwa i złości... Dla walki z socjalizmem koniecznością jest posiadać więcej religji i żołnierzy. Religji — przeciwko ateizmowi, — żołnierzy — przeciw anarchji.

— A jaki sens w tem, żeby być miljonerem? — zapytuje pod koniec audjencji Gorkij.

Miljarder zaczął jąkać się i poruszać bezradnie nogami, zamiast odpowiedzi. — To przyzwyczajenie — zawołał, oddychając silnie. — Jakto przyzwycza-

jenie? — zapytałem. — Być miljonerem to przyzwyczajenie... — Pomyślałem — opowiada Gorkij — i postawiłem mu ostatnie pytanie: — Czy pan sądzi, że brodiagi, palacze opjum i miljonerzy są jednakowem zjawiskiem? — Widocznie to obraziło go. Wytrzeszczył oczy, zabarwił je żółcią na zielono i odrzekł sucho: — Sądzę, że pan jest źle wychowany... — Do widzenia! — powiedziałem«.

Ostatnie słowa bankiera mówią same przez się bardzo wiele. Bankier demokratycznej Ameryki nie mógł żadną miarą pojąć, że ma przed sobą znakomitego twórcę rosyjskiego i założyciela nowej gałęzi beletrystyki ideowej, inicjatora nowej szkoły literackiej, które j zadaniem oplwanie wszystkiego.

Gorkij idzie »ciągle naprzód« i »ciągle wyżej« bardzo szybkim krokiem i plwa na wsze strony obficie. Niebawem, w najbliższej przyszłości, nie zostanie dla nowego pokolenia pisarzy rosyjskich wolnego miejsca, w które możnaby splunąć. Wszystko będzie oplwane!...

Zapewne Gorkij może nie spostrzegł się nawet, w której mianowicie chwili stał się z socjal-demokraty rosyjskiego rzecznikiem anarchji? Że określenie dalszej działalności literackiej Gorkiego mianem anarchistycznej nie jest wcale przesadzone, to postaramy się uzasadnić pokrótce.

Zbrodnia — pod jakimkolwiek pozorem byłaby popełnioną, politycznym lub prywatnym, pozostanie mimoto zawsze zbrodnią. Stronnictwo zaś, walczące zbrodnią, chociażby o cele najwznioślejsze, nie jest niczem innem, jak tylko stronnictwem anarchistycznem. Wobec tego zaś, że obowiązkiem każdego rządu jest karanie zbrodni, to też na państwie i jego organach ciąży obowiązek każdy ruch anarchistyczny uśmierzyć siłą — bezwzględnie. Stąd też w każdem państwie stronnictwo, propagujące mord

i zbrojne krwawe zamachy, traci prawo do równorzędnego traktowania ze stronnictwami legalnemi, a więc samo stawia się poza szranki normalnego, społecznego i politycznego współżycia. Kto nie przestrzega w swojem działaniu granic legalności, nie może być traktowany na równi z innymi. Tem mniej anarchja rosyjska, pierwszych lat konstytucji, kiedy źródłem natchnień tej partji była nienawiść społeczna i klasowa.

Gorkij zaś od pierwszych dni po manifeście październikowym wywiesił na swoim sztandarze hasła nienawiści społecznej, dochodzące do krańcowości, a równocześnie w licznych utworach swoich począł apoteozować czyny anarchistyczne, otaczając je nimbem cnoty prawdziwie obywatelskiej.

Ale nawet teraz nie wyłączy z treści swoich dramatów orgjazmu płciowego, jakkolwiek skutkiem tego upodli do reszty pseudo-»bohaterów« wolnościowych. Wszelako teraz przynajmniej będzie wierny prawdzie historycznej, skoro wiadomo powszechnie, jakie wyuzdanie płciowe jednoczyło »towarzyszy«-bombistów z »towarzyszkami«...[1])

Tragedja p. n. »W r a g i« rozgrywa się w owym smutnym czasie, kiedy to Rosję całą ogarnęły nieszczęsne w następstwach swoich strejki robotników fabrycznych. Kradzieżom i grabieżom nie było końca i bliska była chwila, o której napomyka stary wojak Koń, — »dzisiaj ogórki rwą, a jutro głowy będą sobie nawzajem urywać«. I gdybyż masa robotnicza była to z głodu czyniła przynajmniej! Okoliczność ta mogłaby wytłumaczyć wiele występków.

[1]) Informacje w tej mierze znaleźć można w korespondencjach moich petersburskich, drukowanych w latach 1906—1907 w „Słowie“ (warszawskiem), w „Gazecie lwowskiej“ z r. 1907, wreszcie w artykule p. t. „Bez nadziei jutra“, drukowanym w „Przeglądzie polskim“ z roku 1907, tom 164 str. 489—514.

Głód bowiem — to wielki pan, jak powiada pewne mądre przysłowie. To też zadziwiająco trafną jest refleksja Konia, kiedy powiada, że »aniołowie nie jedzą, a szatan przeciwko Bogu powstał przecież!«...

Robotnicy, obałamuceni hasłami przewrotowemi, zmienili swoją pozycję w ten sposób, że zaczęli stawiać coraz to nowe żądania pracodawcom, jakgdyby ci byli obowiązani ulegać we wszystkiem tym, którzy zawdzięczali byt ich przedsięwzięciu. To też i tutaj żądają od dyrektora fabryki Michała Skrobotowa, iżby wydalił majstra Diczkowa, grożąc w razie odmowy strejkiem. Niepodobna zatem odmówić najzupełniejszej słuszności poglądom Skrobotowa, kiedy powiada właścicielowi fabryki: — »Rzecz w tem, że ustępstwa psują ich... Dzisiaj żądają wypędzenia majstra, a jutro zachce się im, żebym powiesił się dla zadowolenia ich... Spróbowaliśmy pogadać z zadżumionymi gentelmenami, kiedy ich jest około dwu tysięcy, a nadto zawraca im głowy wasz brat różnemi wolnościami i jacyś idjoci proklamacjami... Ot, zawsze ten proletarjat!... On tam — żąda!... Dawniej mnie prosił pokornie... Nie, wiecie, z Rosji nie wyjdzie nigdy nic porządnego! Już to prawda! Kraj anarchizmu! Organiczny wstręt do pracy i zupełna niezdolność do utrzymania ładu... Brak szacunku dla ustaw.. Weźcie Anglo-Sasa, on przed prawem — trup... Niema lepszego materjału do stworzenia państwa. Anglik chodzi przed prawem jak tresowany koń w cyrku, na tylnych nogach. Poczucie prawa ma w kościach, w muskułach... Mózg rosyjski nie tryska światłem rozumu, kiedy weń padnie iskra wiedzy — on tleje i kopci«...

To też Skrobotow radzi stanowczo: nie ulegać żądaniom robotniczym i bezzwłocznie zamknąć fabrykę. Niechaj tłum trochę przegłodzi się, to i ostygnie w zapałach. Bo po zamknięciu fabryki

kobiety wmieszają się w sprawę: zaczną się szlochy i płacze, a one działają na mężczyzn upitych mrzonkami, niczem spirytus denaturowany. Mężczyźni w mig otrzeźwieją. Surowa to wprawdzie metoda, ale wymaga jej życie!...

W zasadach tych umacnia Michała Skrobotowa jego młodszy brat Mikołaj, który rozpatruje wszystko z czysto teoretycznego punktu widzenia.

— Koniecznie musimy trzymać się silnie zasad, jeżeli kultura jest nam droga. Fabryka — to maleńkie państwo.... W każdem państwie nieodzowna jest silna władza, która okala różnorodność interesów ludności żelaznemi obręczami ustaw... I władza tylko wówczas jest władzą silną, jeżeli ściśle utrzymuje podwładnych w ramach raz na zawsze wypracowanych przez siebie norm.

— I któż to zbuntował robotników? — zapytuje żona właściciela fabryki Polina Bardinowa. I przychodzi do trafnego wniosku, że wszystkie żądania, jakie stawiają robotnicy, nie są bynajmniej ich własnemi żądaniami, a jedynie hasłami, rzuconemi wśród masy, przez garstkę socjalistów. I nie dziw, że w porównaniu z socjalistami zachodniej Europy, nie może zrozumieć socjal-demokratów rosyjskich. Zagranicą bowiem socjalizm zna granice możliwości i działa otwarcie, w Rosji zaś pseudo-socjalizm, będący w istocie swojej anarchizmem, podszeptują robotnikom - analfabetom kryjomie agitatorzy.

Cóż dziwnego, że podszepty te znajdują posłuch w masach ciemnych?... Przecież w narodzie nie posiadającym samodzielnej, rasowej filozofji życia bodaj, w narodzie, który rad chwyta wszelkiego rodzaju nowinki wprost z powietrza, a bezkrytycznie najzupełniej, socjalizm znaleźć musi najżyźniejszy grunt dla rozwoju. Tem więcej wśród

Rosjan, których właściwością rasową jest krańcowość poglądów wprost pierwotna!..

Ale — godzi się zarazem zapytać — skąd ów prosty robotnik ma brać przykład życia uczciwego, skoro widzi, jak niemoralnie prowadzi się żona jego dyrektora, Kleopatra. »To bardzo podła kobieta — powiada o niej nawet Jakób Bardin. Nie dlatego, że ma wielu kochanków... ale dlatego, że w jej piersiach siedzi, zamiast duszy, stary, zły pies... Niewielki pies z oblazłą sierścią. Żądny. Siedzi i wyszczerza zęby... Już syta, wszystko jadła... ale jeszcze chce czegoś... A czego? — nie wie«... Skąd ma ten robotnik brać przykład, jeśli widzi codziennie brata właściciela fabryki pijanego kompletnie?...

Kiedy więc energiczny Michał Skrobotow obwieścił robotnikom, że majstra nie wydali i zamyka fabrykę, zostaje raniony śmiertelnie wystrzałem rewolwerowym. »Uświadomieni« robotnicy rosyjscy uważali zbrodnię pospolitą za jedyny argument swoich żądań..

Mord skrytobójczy, dokonany na Michale Skrobotowie, staje się powodem dwu tragedji, właściwie jednej — rodzinnej, drugiej — robotniczej.

Pierwsza z nich zaczyna się z powodu niefortunnego pomysłu Zachara Bardina, który przerażony morderstwem, okazuje się nietylko skłonnym do ustępstw na rzecz robotników, ale, co gorsza, nie zatrzymuje ruchu fabrycznego. Więc jakąkolwiek jest w gruncie rzeczy wdowa po zamordowanym Kleopatra, niepodobna mimo to odmówić jej słuszności, kiedy wyrzuca Bardinowi, iż puszczenie w ruch fabryki w chwili, w której leży na katafalku człowiek, co stracił życie przez zamknięcie fabryki, jest wprost znieważeniem trupa. Tymczasem Bardin nie może powiedzieć na usprawiedliwienie takiego niedorzecz-

nego postąpienia nic więcej ponad to, że puścił w ruch fabrykę pod warunkiem, że robotnicy wydadzą z pośród siebie mordercę. Co gorsze, uczynił to samowolnie, nie zasięgnąwszy w tej mierze zdania wdowy i brata zamordowanego. Kompromis zresztą ze zbuntowanymi był najzupełniej niepotrzebny wobec tego, że nieboszczyk wysłał był bezpośrednio przed swoim zgonem depeszę do miasta z prośbą o przysłanie wojska. I ta depesza właśnie była głównym motywem postąpienia Zachara Bardina, którego zdaniem — za przybyciem wojska »nastrój robotników podwyższy się. I Bóg wie, co może się stać, gdyby fabryka była zamknięta. Zdaje się mnie, że postąpiłem rozsądnie... możliwość krwawego starcia obecnie znikła«.

Cóż więc dziwnego, że na widok takiego braku stanowczości w postępowaniu osób starszych kuzynka żony Bardina, młodziutka Nadia sympatyzuje jawnie z robotnikami tak, że aż Zachar Bardin musi przerwać jej rezonerskie wywody uwagą, którą raczej sam do siebie zastosować był powinien, skoro zdaje sobie sprawę z tego, iż »lud nasz jest prostacki, niekulturalny... i jeżeli wyciągnąć do niego palce, chwyta za całą rękę... W nim wiele bydlęcej pożądliwości i jego nie należy bałamucić, lecz kształcić«... Taka jednakowoż samowiedza nie wzbroni Zacharowi wypowiedzenia za chwilę uwagi zdumiewającej, iż ci robotnicy »zabili człowieka i patrzą takiemi pogodnemi oczyma... jakgdyby zupełnie nie pojmowali swojego występku«... Ale cóż? »Teraz taki czas, że koniecznie trzeba się do nich odnosić poufalej i łagodnie... bo kto wie, czem to się może skończyć? Trzeba być przygotowanym na wiele rzeczy... tak. W takich epokach człowiek rozsądny powinien mieć przyjaciół w masach«...

Nadia uległa zarazie haseł anarchistycznych które w pierwszych latach konstytucji ochrzczono w Rosji mianem »wolnościowych«, więc prawie nie dziwi się, dlaczego robotnicy nie wierzą Mikołajowi Skrobotowowi, tak, że wywołuje wybuch słusznego niezadowolenia ze strony interesowanej:

— »Oni wierzą tylko tym, którzy zwracają się do nich z mowami na temat: »Proletarjusze wszystkich krajów, łączcie się«!... w to oni wierzą!... Jestem przekonany, że rychło na ziemi rozlegnie się drugie hasło: »Kulturalni ludzie wszystkich krajów, łączcie się«! Czas tak krzyczeć, czas! Idzie barbarzyńca, ażeby rozdeptać płody tysiącoletnich prac ludzkości. Idzie pchany przez pożądliwość... Idzie tłum pchany przez pożądliwość, zorganizowany jedynem swojem pragnieniem — żreć«!

Teraz ostatecznie dopiero zrozumiał Zachar Bardin całą niestosowność ulegania żądaniom zrewoltowanych robotników.

— »Mikołaj Wasiljewicz mówi: nie walka klasowa, lecz walka ras.. białej i czarnej!... To rozumie się, za ostro, to przeciągnięte... ale jeżeli pomyśleć, że my, ludzie kulturalni, że my stworzyliśmy nauki, sztukę i t. d. Równość..., fizjologiczna równość... hm... tak!... Pięknie... Ale, naprzód bądźcie ludźmi... dostosujcie się do kultury... potem będziemy mówić o równości«!...

Tymczasem przyjeżdża komisja sądowa z żandarmami. Przeprowadzone w mieszkaniach robotniczych rewizje przyniosły sporo materjału obciążającego pod postacią odezw rewolucyjnych i broszur agitacyjnych. Najbardziej podejrzanych robotników w liczbie kilkunastu aresztowano. Połów udał się nadspodziewanie dobrze, gdyż okazało się, że urzędnik fabryczny Sincow jest znanym rewolucjonistą Maksymem Markowem, ukrywającym się

pod fałszywem nazwiskiem i że to on był głównym sprawcą rozruchów i całej tej tragedji. Kiedy zaś aż dwu robotników przyznało się do popełnienia mordu, byle tylko nie wydać sprawcy właściwego, Jakimow sam przyznaje się do winy. Zachwycona zaś tem rzekomem bohaterstwem Nadia, której w głowie przewróciły proklamacje rewolucyjne, nazwane słusznie przez Kleopatrę »przepisami, wychodzącemi z tajnej kancelarji jawnych idjotów, dla głupców«, woła w zapale, że to rząd »zabija wszystkich«, bo podług tej nowej filozofji »nie ten zabił, kto uderzył, ale ten, kto złość wzniecił«... Oto ostatnie słowo ideologji bosiackiej zrewoltowanego ewangelisty nowej wolności rosyjskiej!...

Nie może ono jednak trafić do przekonania tym, którzy mają w pamięci złotą myśl Michała Skrobotowa:

— »Nie, Rosja nie jest zdolna do życia!.. Ludzie... brodzą, marzą, mówią... Wszystko wali się, idzie krzywo i na ukos, talentów mało, a i te, które są — anarchiści. Rząd — gromadka jakichś niedorzecznych ludzi... źli, głupi, niczego nie rozumieją, nie umieją nic robić.. i zamiast historji rosyjskiej rozgrywa się skandal rosyjski bez końca«...

Wypadkowi, który stał się początkiem wspomnianych skandali, owej pamiętnej manifestacji krwawej na placu Kazańskim w Petersburgu, poświęcił Gorkij szkic p. t. „*Dziewiątego stycznia*“, szkic, będący czemś pośredniem pomiędzy beletrystyką a niezłą impresją dziennikarskiego sprawozdawcy brukowego z czasów, kiedy to *Sojuzowi raboczych dieputatow* z panem Nosarem Chrustalewym na czele zdawało się, iż stanowi jakieś drugie, zupełnie równorzędne z legalnem, ministerjum...

— Tłum ludzi, przypominający ciemną, jesienną falę oceanu, rozbudzoną pierwszym porywem burzy, posuwał się zwolna naprzód. W oczach błyszczało ożywienie, ale ludzie spoglądali na siebie nawzajem tak, jak gdyby nie wierzyli swojemu postanowieniu. — Najwięcej mówiono o »nim«, upewniano, że jest dobry i zrozumie wszystko. Ale z tych rozmów można było wyczuć, że o »nim« dawno, a może być, że nigdy nie myślano na serjo, że nie przedstawiano go sobie, jako osoby realnej Większość tłumu wyobrażała sobie, że idzie ku sile, która może uczynić wszystko, co jest konieczne dla ulżenia ciężkiemu życiu społeczeństwa, ale bodaj, czy wielu było takich, którzyby wierzyli, że siła zechce to uczynić? Starano się utaić brak wiary, ale bezskutecznie. Głosy tych, którzy wierzyli w swoją siłę wewnętrzną, wywołały wśród tłumu przestrach i rozdrażnienie... W miarę tego, jak posuwano się z ulicy na ulicę, tłum wzrastał szybko, a ten wzrost liczebny wywoływał stopniowo podniesienie się nastroju wewnętrznego. Zwolna wzmagała się wiara, gasząc trwogę, zagłuszając cichy szept wątpliwości... Twarze rozjaśniały się, szybkość ruchów zwiększała się, głosy odzywały się z większą siłą.

Kiedy tłum wysypał się z ulicy na brzeg rzeki i ujrzał przed sobą długą, łamaną linję żołnierzy, zagradzającą mu drogę na most — ludzi nie zatrzymała ta cienka, szara przeszkoda. Widzieli tuż przed sobą za rzeką ciemno-zielony dom, w którym czekał ich »on« pan domu. Wielki i silny, dobry i kochający nie mógł oczywiście rozkazać swoim żołnierzom, iżby nie dopuszczali do niego ludu, który go kocha i pragnie z nim spokojnie pomówić o swoich potrzebach.

Plac przed pałacem zapełnił się szczelnie tysiącami ludzi. Wtem oficer wydał hasło do rozejścia się, grożąc na wypadek nieusłuchania strzelaniem. O tem, że lud nie zostanie dopuszczony przed »jego« oblicze, mówili niektórzy z tłumu już przedtem. Ale skoro zagrożono strzelaniem do tych, którzy idą do »niego« spokojnie, z wiarą w jego siłę i dobroć, to wprawiło wszystkich w osłupienie. »On« — siła wyższa ponad inne siły, który nie potrzebuje się niczego obawiać, odgradza się od swojego ludu bagnetami! Z tłumu dały się słyszeć straszne okrzyki, pełne gniewu i ironji. Zdrowy rozsądek rozbił się o przegrodę żywą i zamilkł.

W tem najniespodziewaniej rozległy się salwy karabinowe. Ludzie padali gęsto, przysiadali na ziemi, chwytając się za brzuchy, uciekali, chromając, pełzali po śniegu, na którym ukazały się krwawe plamy. Tłum cofnął się o krok, przystanął na chwilę i nagle wydał z siebie dzikie, wstrząsające wycie, pełne okrzyków bólu, zemsty, trwogi, protestów i wołania o ratunek. Ludzie grupkami rzucili się wprzód ku trupom i rannym. Ranni krzyczeli również, wygrażając kułakami, a w oczach wszystkich zabłysły ogniki szaleństwa. Paniki, która zmiata ludzi, jak wicher suche liście, nie można było zauważyć. Był strach, ale chłodny, palący, który zmieniał serca w kamienie nieczułe, przykuwał ciała do jednego miejsca i zmuszał do patrzenia na krew, widniejącą na śniegu, na zakrwawione twarze, ręce i ubrania, na trupy, leżące spokojnie w obliczu struchlałych żyjących. Przecież parę minut temu szli wszyscy odważnie, widząc przed sobą jasny cel swojej drogi, a przed nimi zarysowywał się w bajkowych kształtach obraz fantastyczny, którym oni zachwycali się i odurzeni jego pięknością, żywili w sercach swoich ogromne nadzieje. Dwie salwy,

krew, trupy, jęki — i wszyscy znaleźli się wobec szarej, bezbrzeżnej pustoszy, bezsilni, z rozdartemi sercami, przejęci smutną samowiedzą, iż stało się koniecznością zapełnić czemkolwiekbądź nowem pustkę, jaka zionęła z ich dusz...

Żołnierze stali bez ruchu, z opuszczoną ku ziemi bronią, twarze ich były również martwe. Zdawało się, że im wszystkim zbielały oczy. Wtem szyk piechoty rozstąpił się, jakby otwarły się dwie wrotnie ogromnej bramy, przez którą wjechała konnica z dobytemi szablami. Tłum, jak rozkołysany wiatrem, zachwiał się. Wszyscy rzucili się w popłochu do ucieczki bezładnej. Ciężki tętent koni przybliżał się coraz więcej, żołnierze wyli, świstały szable, wywołujące okrzyki bólu, zwłaszcza gdy od czasu do czasu dawały się słyszeć uderzenia stali o kość. Krzyk uciekających zlewał się w jeden jęk przeciągły.

Tłum spędzony z placu, zatrzymał się na bocznych ulicach. Teraz nikt nie wiedział, co począć? Wrzenie wzmagało się na wszystkich punktach, przed wszystkimi wstawały kwestje niejasne na razie, ale każdy przeczuwał już ich ważność i nieodzowną potrzebę odpowiedzi. A w ogniu tego wrzenia coraz widoczniej powstawała wiara w pomoc zewnętrzną, nadzieja, że okaże się jakiś cudowny wybawiciel z nieszczęścia.

Powoli, ale stanowczo, tłum zmieniał swoją fizjognomję, przeobrażając się w naród. Młodzież rozchodziła się w niewielkich grupkach, wszystkie zaś one zmierzały zgodnie w jedną stronę, z powrotem ku rzece. Wszyscy nieśli rannych, trupy. Dokoła czuć było zapach ciepłej krwi, rozlegały się jęki i okrzyki.

Cały pałac carski był otoczony nieprzerwanym łańcuchem piechoty. Tuż pod oknami pałacu biwa-

kowała konnica. Zapach siana, woń gnoju i potu końskiego wionął od strony pałacu, brzęk szabel i ostróg, głosy komendantów rozlegały się pod samemi oknami.

Ze wszech stron napierali na żołnierzy zwartą masą ludzie, a raczej dziesiątki tysięcy wzburzonych, rozgniewanych ludzi, starając się przekonać żołnierzy o hańbiącej ich służbie katowskiej. Żołnierze słuchali w milczeniu tych przemów agitacyjnych, chociaż mówcy starali się usilnie przelać własne uczucia i myśli w ich serca:

— »Żołnierze! — mówił tęgi mężczyzna z długą brodą i jasnemi oczyma. — Kto wy? Wyście dzieci ludu rosyjskiego. Zbiedniał lud, zapomniano o nim, pozostawiono go bez ochrony, bez pracy i bez chleba. Więc poszedł dziś prosić cara o pomoc, a car każe wam strzelać do niego, zabijać. Żołnierze! Lud — ojcowie i bracia wasi, — prosi nietylko o siebie, ale także o was. Was stawiają przeciwko niemu, przeciwko ludowi, pchają ku ojcobójstwu, ku bratobójstwu. Pomyślcie! Czyliż nie rozumiecie, że idziecie przeciwko sobie samym«?...

Na oficera spoglądano z nienawiścią. Słyszał drwiny, przezwiska, ale stał pod ich gradem wcale nieporuszenie. Jego wzrok martwo oglądał rotę, brwi z lekka drgały. Tłum szumiał, rozdrażniony spokojem, w którym można było wyczuć jawną pogardę dla ludu. W tem rozległ się dźwięk trąbki złowieszczo. Tłum patrzył na trębacza, w którego ręku trąbka drżała. Ludzie zagłuszyli dźwięki miedziane donośnym krzykiem, świstem, przekleństwami, wybuchami rozpaczy. Kilku ludzi rzuciło się na ziemię, inni zakrywali twarz rękoma, a człowiek o długiej brodzie, rozpiąwszy na piersiach płaszcz, stanął na czele, mówiąc coś bez przerwy, co wsze-

lako tonęło, nie słyszane przez nikogo, w chaosie krzyków.

Rozległ się znowu huk salwy karabinowej. Tłum zachwiał się i rzucił się do ucieczki, zostawiając za sobą liczne trupy. Wszyscy wszelako czuli, że zaszedł jakiś ważny wypadek, że poza tymi trupami jest jeszcze coś tragiczniejszego dla żyjących od setek rannych i zabitych...

I chociaż Gorkiemu wiadomo, że w żadnym kraju europejskim tłum bosiaków i rozmaitego rodzaju przewrotowców, nie poważyłby się żądać w równie bezceremonjalny sposób rozmowy z monarchą, a gdyby jej zażądał, nie otrzymałby jej równie, jak to się stało przed pałacem Zimowym, chociaż mu wiadomo, że w razie nieposłuszeństwa wojsko wszędzie strzela do upartego i rozhukanego pochodu demonstracyjnego, to cóż? Co tam zgniły Zachód wobec pierwotnej Rosji?!...

— »Daj mnie żyć... jak sam chcę — powiada jeden z bohaterów Rosji nowoczesnej w powieści Matka — a będę żył cicho i nikogo nie zaczepię, na miły Bóg«!

Marzenia Gorkiego o wolności, właściwej chyba wyobrażeniom koni tabunowych, zostały szeroko uzasadnione w najobszerniejszej ze wszystkich jego powieści, w której wyłożył *per latum et longum* zasady programowe ideałów socjalistyczno-rewolucyjnych rosyjskich, które różnią się djametralnie od takichże ideałów zachodnio-europejskich. Ale bo też postępowiec kulturalny różni się djametralnie od pseudo-postępowców rosyjskich!...

Jako indywidualność apriorystyczna w swoich skrajnych poglądach, trwa Gorkij uparcie przy raz powziętych tezach. Najważniejszemi z nich są tyczące się miasta i życia robotników fabrycznych. Zarówno bowiem wielkie miasta, jak i zakłady fa-

bryczne przedstawiają się Gorkiemu jako jakieś gigantyczne pożeracze robotników.

— »Każdego dnia nad dzielnicą robotniczą w zadymionem, tłustem powietrzu, huczał drżąco gwizdek fabryczny, a posłuszni wezwaniu, wybiegali z maleńkich czarnych domków na ulicę, jak przestraszone karakony, ociężali ludzie, którzy nie zdążyli odświeżyć snem swoich muskułów. W zimnym mroku szli po wąskiej, niebrukowanej ulicy, do wysokich kamiennych zabudowań fabrycznych. Błoto chlupało pod nogami, jak gdyby śmiejąc się żałowało czegoś. Rozlegały się zachrypłe okrzyki sennych głosów, rozdrażnione wyzwiska przerywały powietrze — a naprzeciwko ludzi płynęły głuche dźwięki, ciężki ruch maszyn, niezadowolone warczenie pary. Ponuro i surowo majaczyły wysokie czarne kominy, wznosząc się nad okolicą na kształt grubych pałek«.

Dzień pochłaniała fabryka. Maszyny wysysały z muskułów ludzkich tyle siły, ile potrzebowały. Dzień był niejako wykreślony z życia. Człowiek postąpił o krok bliżej ku mogile, ale widział tuż przed sobą rozkosz wypoczynku, pijatyki w brudnym szynku i — był zadowolony.

W święta spano do godziny dziesiątej, poczem ludzie żonaci ubierali się w paradne ubranie i szli na mszę—wymyślając po drodze na młodzież za jej obojętność dla cerkwi. Z nabożeństwa powracali do domu, jedli i spali do wieczora. Znużenie pozbawiało ludzi apetytu i dlatego, ażeby móc jeść, pili wiele, rozdrażniając bezsilny żołądek silnemi oparzeniami wódki. Wieczorem wybierali się na spacer, a za powrotem do domu kłócili się z żonami, nie szczędząc im bicia. Młodzież siadywała po knajpach, śpiewała wyuzdane piosenki, tańczyła, lżyła się i piła. Wyczerpani pracą ludzie upijali

się prędko i dla wyładowania energji urządzali krwawe bójki.

W święta powracała młodzież do domu późną nocą w podartem ubraniu, obłocona i zabrudzona, z porozbijanemi nosami, chwaląc się po pijanemu bójkami. Niekiedy przyprowadzali młodzież do domu ojcowie lub matki. — Wyszukiwali synów na ulicach lub w knajpach, pijanych do nieprzytomności, łajali ich ostatniemi wyzwiskami, bili kułakami, poczem układali ich do snu. Pomimo to pijaństwo i bójki młodzieży uważali ojcowie za objaw zupełnie naturalny, kiedy bowiem byli młodzi, pili również na umór i bili się między sobą, a ich bili ojcowie i matki. Życie było zawsze jednakowe.

Czasami przychodzili do osady fabrycznej ludzie obcy, którzy wypowiadali nowe, nie słyszane dotąd tutaj zasady, wzbudzające u jednych rozdrażnienie, u innych bojaźń, a tylko wyjątkowo nadzieję niejasną lepszej przyszłości. Tych nieznajomych obawiano się, iżby nie rzucili w dotychczasowe życie czegoś takiego, coby zmieniło jego prawidłowy bieg, ciężki wprawdzie, ale spokojny. »Ludzie — powiada Gorkij — przyzwyczaili się do tego, iżby życie gnębiło ich zawsze z jednakową siłą i nie oczekując żadnych zmian na lepsze, uważali wszystkie zmiany za zdolne zwiększyć tylko ciężar«.

Takież samo było szare życie ślusarza fabrycznego Michała Własowa. Był on wprawdzie dobrym rzemieślnikiem, ale też pierwszym siłaczem i zawadjaką w osadzie robotniczej. W stosunku z przełożonymi był grubjaninem i z tego powodu zarabiał mało. W każde święto zbijał kogoś porządnie, to też wszyscy nienawidzili go i bali się. Kilkakrotne próby odwetu okazały w całej pełni przewagę Własowa jednego nad kilku nawet przeciwni-

kami. — Z żoną obchodził się brutalnie, nie nazywając jej nigdy inaczej, jak dobitnem określeniem »*swołocz*«. Jednej tylko istoty na świecie nie bił, nie łajał, ani nie pieścił. Szczęścia tego zaznał jego pies. Kiedy więc umarł, zniszczony ciężką pracą i pijaństwem, za trumną jego szli tylko: żona, syn, pies, jeden stary pijak i złodziej, oraz paru żebraków.

W dwa tygodnie po śmierci ojca nieodrodny syn jego Paweł powrócił do domu z hulanki niedzielnej pijaniusieńki. Wódka osłabiła jego ciało ale nie odjęła świadomości. To też bolesne były dlań pieszczoty matczyne, że mu się na płacz wzbierało. Słowa matki, przestrzegające przed opilstwem, gdyż nieboszczyk ojciec wypił już za siebie i za syna, przyprowadziły go do równowagi. Syn wracał odtąd do domu trzeźwy, zerwał ze znajomymi — stał się milczący i poważny. Nagła taka przemiana wzbudziła obawę w sercu matki. A obawa ta rosła z każdym tygodniem i miesiącem.

Nakoniec wszelako tajemnica musiała się wyjaśnić. Raz po kolacji Paweł przerwał nagle lekturę książek, której od pewnego czasu oddawał się namiętnie, i wdał się z matką w pogawędkę, z której okazało się, że czyta książki zabronione. »Zabraniają je czytać, wyjaśniał matce, dlatego, że one mówią prawdę o naszem robotniczem życiu. Drukują je tajnie i jeżeli znajdą je u mnie, wsadzą mnie do więzienia... do więzienia za to, że chcę wiedzieć prawdę«.

Serce powiedziało matce, że syn jej poświęcił się jakiejś tajnej sprawie, grożącej w każdej chwili niebezpieczeństwem. Ale, że zawsze wszystko w życiu wydawało się jej nieuniknionem, że przywykła do bezmyślnego poddawania się wszelkim niespo-

dziankom, przeto i teraz tylko cicho zapłakała, gdy syn jej tłumaczył:

— »Pomyśl, jak żyjemy? Masz już czterdzieści lat, a czyż żyłaś? Ojciec ciebie bił, teraz rozumiem, że on na twoich bokach wylewał swój ból, ból swego życia... ono dusiło go, a on nie rozumiał, skąd ono. Pracował trzydzieści lat, zaczął pracować, gdy cała fabryka mieściła się w dwu budynkach, a teraz jest ich siedm! Fabryki rosną, a ludzie umierają z pracy na nie«.

Takich poglądów na swoje życie nie słyszała dotąd nigdy. A one obudzały w niej zagasłe niezadowolenie z życia, myśli dawno minionych lat. Dotychczas nikt nie wytłumaczył jej, dlaczego życie jest tak ciężkie? A teraz przed nią siedzi jej syn, który pojął do głębi życie swojej matki i lituje się nad nią. Wprawdzie nie rozumiała dobrze tego, co mówił Paweł, ale wyczuwała w jego słowach prawdę znajomą dobrze, przeżytą w łzach i bólu... W jej sercu pełno było dumy z takiego syna, który pragnie dla wszystkich szczęścia, który lituje się nad wszystkimi cierpiącymi i widzi ból życia, ale zarazem serce to matczyne powiedziało, że syn postanowił walczyć o jakieś nowe, lepsze życie dla wszystkich pokrzywdzonych, pozbawionych praw dotąd...

— »Ze strachu wszyscy przepadamy! A ci, którzy nami rządzą, wyzyskują ten strach i jeszcze więcej straszą nas! Zrozum-że, będą ludzie bać się, będą gnić, ot, jak brzozy na błocie. Trzeba nabrać odwagi, czas już!...«

Odtąd zaczęły się u Pawła odbywać systematycznie małe zgromadzenia »towarzyszy« i »towarzyszek«, na których czytano rozmaite elukubracje rewolucyjne i sprzeczano się dowoli o teorje nowego ustroju społeczno-państwowego. »Powinniśmy

— dowodził jeden z »towarzyszy« — zbudować mostek przez błoto tego gnijącego życia, prowadzący do przyszłego królestwa dobra serdecznego, oto nasze zadanie towarzysze!« Towarzystwo to było zresztą bardzo mieszane, skoro znalazła się w niem nawet córka bogatego kupca, właściciela kilku domów, wypędzona przez ojca z pod dachu rodzicielskiego za propagandę rewolucyjną. Że jednak ojciec miał słuszność, wyrzekając się swego dziecka, o tem można przekonać się dowodnie ze słów Nataszy, niewątpliwie szczerych:

— »Rodziców porzuciłam?... To nic. Ojciec mój wielki głupiec i grubjanin, brat także — i pijak w dodatku. — Starsza siostra, nieszczęśliwa, godna pożałowania... wyszła za mąż za człowieka o wiele starszego od niej; bardzo bogaty, nudny i pożądliwy«...

Natomiast pod względem poglądów różnic nie było prawie. Cała ta dobrana gromadka zaliczała się w szeregi socjalistów, ale socjalistów rosyjskich!

— »Świat nasz! Świat dla robotników! — woła jeden z tego wielebnego »towarzystwa«. Dla nas niema narodów, niema plemion, ale są jedynie towarzysze, jedynie nieprzyjaciele. — Wszyscy robotnicy, to nasi towarzysze, *wszyscy bogaci, wszystkie rządy — nasi wrogowie!* Jeżeli rzucisz dobrem okiem na ziemię, jeżeli ujrzysz, jak nas, robotników, wielu, wiele niesiemy siły ducha — taka radość, takie szczęście ogarnia serce, święto olbrzymie śpiewa w piersiach! A tak samo czuje Francuz i Niemiec, kiedy popatrzy na życie, tak samo cieszy się Włoch. — Wszyscyśmy dziećmi jednej matki, wielkiej, nieprzezwyciężonej myśli o braterstwie ludu robotniczego wszystkich krajów ziemi«. Tak mówił nowy Zarathustra, tylko — rosyjski... Bo niemiecki

na takie wywody odpowiedziałby wzruszeniem ramion.

Po osadzie fabrycznej krążyły głuche wieści o socjalistach, rozrzucających świstki anarchistycznej treści. Starsi robotnicy powiadali, że za to »trzeba bić w mordę« — młodzież wszelako rozchwytywała wprost te pisma ulotne. Matka wiedziała, za czyją sprawą ukazały się te odezwy i była dumna z syna.

Rewizja policyjna odbyła się u Pawła właśnie wówczas, kiedy była najmniej spodziewana. Wszelako Paweł wyszedł z tej przygody cało. Dokąd jednakowoż zaprowadzi tłumy agitacja? tego nie wiedział. Zdawał się najzupełniej na to, że sam tłum obmyśli dla siebie jakąś znakomitą formę rządu.

— »Nie o kopiejkę dbać należy — mówił przyjaciel jego Rybin — lecz o sprawiedliwość, ot! Droga nam nie nasza kopiejka, ona nie więcej okrągła od innych, ale ona ciężka — w niej krwi ludzkiej więcej, niźli w rublu dyrektora, ot! — I nie drożymy się o kopiejkę — o krew, o prawdę, ot!«...

Pierwszy występ publiczny bohatera powieści Gorkiego odbył się na meetingu robotników fabrycznych, zwołanym — naturalnie — jak przystało na ludzi, odrzucających wszelkie normy i przepisy prawno-państwowe, bez zezwolenia władzy kompetentnej. Zagłuszając ciężkie ruchy maszyn i szum transmisji skórzanych, głosy zlewały się w jeden potężny wichr. Zewsząd zbiegali się robotnicy, sprzeczając się po drodze i rozpalając się nawzajem lekkomyślnie rzucanemi słowami. Długo tłumione przemocą w piersiach rozdrażnienie potrzebowało ujścia. Ponad tłumem snuły się tumany pyłu i dymu. Spocone oblicza gorzały, a skóra na twarzach płakała czarnemi łzami.

— »Towarzysze! — wołał Paweł — myśmy tymi ludźmi, którzy budują cerkwie i fabryki, kują kajdany i pieniądze, myśmy tą żywą siłą, która karmi i zabawia wszystkich od pieluszek aż po grób. — My zawsze i wszędzie pierwsi przy pracy i na ostatniem miejscu w życiu. Kto uważa nas za ludzi? Nikt! Nie dobijemy się lepszej doli, dopóki nie poczujemy się towarzyszami, rodziną drużną, związaną silnie jednem pragnieniem, pragnieniem walki o nasze prawa«.

Mowa ta wszelako, której celem było podburzenie robotników do strejku, nie wywarła pożądanego skutku. Utonęła w sercach tłumu, podobna kroplom deszczu, spadającym na ziemię wyjałowiałą z powodu długotrwałej posuchy. Robotnicy chwalili wprawdzie mówcę, ale wątpili o udaniu się bezrobocia.

Paweł tymczasem tłumaczył sobie obojętność masy robotniczej zupełnie na opak. Jemu zdawało się, że robotnicy nie poszli jedynie dlatego za jego wskazówkami — gdyż on słaby i młody, bo nie umiał wysłowić, jakby należało, swojej prawdy, w którą wierzył niezłomnie. Było mu tak, jak gdyby stracił coś drogiego.

Tegoż dnia o późnej godzinie wieczornej spadła na Pawła rewizja policyjna, po której świetny mówca meetingowy znalazł się za kratą więzienną W sam czas to się stało, bo, jak trafnie zauważył przyjaciel jego, Jegor Iwanowicz, za miejsce odpoczynku dla człowieka prawdziwego (t. j. anarchisty) służy kryminał. Tak też to urządziła troskliwa władza, wyłowiwszy niemal wszystkich »towarzyszy«.

A tu, jak na domiar złego, aresztowania zdarzyły się właśnie w chwili, kiedy trzeba było przemycić do fabryki transport odezw rewolucyjnych!

Uskutecznić to podjęła się bez wahania matka Pawła, co się jej udało istotnie, gdyż, jako przekupka, przedostała się przez kordon straży na podwórze fabryczne. Odtąd wszelkie podejrzenia co do rozszerzenia broszur agitacyjnych przez Pawła, powinny były wziąć za jednym zamachem w łeb.

Ale miała też matka ciężkie chwile zwątpień, kiedy jej n. p. wyjaśnił jeden ze znajomych robotników, że jest coś bardzo podejrzanego w tem, skoro broszury agitacyjne piszą sami panowie, sami je rozdają robotnikom, a w broszurach tych pisze się przeciwko panom! Jakąż więc mają korzyść ze straconych pieniędzy? Chyba tę, żeby tłum podburzyć przeciwko sobie!... »Oszustwo! — zawyrokował — czuję oszustwo. O niczem nie wiem, a — oszustwo jest. Ot, — panowie coś myszkują. A ja — nie pragnę tego... Mnie potrzeba prawdy... I ja prawdę rozumiem, zrozumiałem ją... A z panami razem nie pójdę. Oni, kiedy im spodoba się, wypchną mnie naprzód, ..i po kościach moich, jak po moście, pójdą dalej«... To też z »panami« on już zerwał. On pójdzie sam jeden po wsiach podburzać lud prostaczy. »Trzeba — powiada — ażeby on sam, lud odezwał się. Jeśli zrozumie — znajdzie dla siebie drogi. A ja będę starać się, ażeby on zrozumiał — nie masz dla niego nadziei, poza sobą samym, niema rozumu, oprócz własnego«!...

Matka zdawała sobie po części sprawę z tego, co mówić byli zwykli »towarzysze« o życiu, i zgadzała się z ich poglądami. Ale — w głębi duszy nie wierzyła w to, iżby oni mogli przerobić całe życie na swój ład. Przecież — rozumowała po prostu, ale logicznie — każdy chce być sytym dzisiaj i nikt nie pragnie odłożyć obiadu na tydzień, jeżeli może go zjeść zaraz. Nie wielu pójdzie tą

drogą marzeń, drogą daleką i trudną do przebycia, nie wszystkich oczy będą oglądać bajkowe państwo bractwa wszechnarodów. A o tych morzach krwi i łez ludzkich, co znalazłyby się koniecznie na tej drodze, — myśleć nie próbowała nawet...

Nareszcie powrócił i jej syn z więzienia. Ledwie wyszedł jednakowoż na wolność, sam zaczął starać się o uwięzienie ponowne. Ale, jeżeli teraz miał siedzieć — to już za coś poważniejszego od broszurek agitacyjnych. Zaprojektował tedy urządzenie pochodu manifestacyjnego, oczywiście z czerwoną chorągwią na czele. Bodźca do snucia rozmaitych mrzonek utopijnych dodawał mu stale »towarzysz« Andrzej, który zamieszkał teraz u Pawła:

— »Musi się nienawidzieć człowieka — wywodził teoretycznie — ażeby prędzej nastąpił czas, gdy będzie można tylko lubować się ludźmi. Trzeba zniszczyć tego, kto przeszkadza biegowi życia, kto sprzedaje ludzi za pieniądze, ażeby kupić za nie spokój lub szacunek dla siebie. Jeżeli na drodze ludzi uczciwych stoi Judasz, pragnący ich zdradzić — ja sam będę Judaszem, jeśli nie unicestwię jego!.. Grzech? Nie mam prawa? A oni, ci panowie nasi, czyliż mają prawo trzymać żołnierzy i katów, domy publiczne i więzienia, katorgę i to wszystko ohydne, co ochrania ich spokój, ich wygodę?... Czasem musi się wziąć w rękę ich pałkę... cóż robić? Wezmę, nie odmówię. Oni nas zabijają dziesiątkami i setkami... To daje mnie prawo na podniesienie ręki i opuszczenie jej na jedną z wrażych głów... na wroga, który bliżej od innych podszedł ku mnie i jest szkodliwszy od innych dla istoty mego życia. Taka logika. Przeciwko niej też idę, nie chcę jej. Wiem, ich krwią niczego nie stworzy się, ona niepłodna, ich krew!... Pięknie

rośnie prawda, kiedy nasza krew skrapia ziemię częstym deszczem, a ich, zgniła, ginie bez śladu, ja to wiem! Ale przyjmę grzech na siebie, zabiję, jeżeli zobaczę, że trzeba. Mówię przecież tylko za siebie... Mój grzech umrze ze mną, nie legnie piętnem na przyszłości, nie pokala nikogo oprócz mnie. Przyszłość przedstawia się jemu w barwach świetlanych:

— »Wiem — nastanie czas, kiedy ludzie zaczną lubować się sobą wzajemnie, kiedy każdy będzie jako gwiazda wobec drugiego i każdy będzie słuchać drugiego, jak muzyki! Będą chodzić po ziemi ludzie wolni, ludzie wielcy swoją wolnością, wszyscy pójdą z otwartemi sercami i serce każdego będzie obce zawiści i dlatego wszyscy będą bez złości... Wówczas nie będzie to życiem, lecz służbą człowiekowi, obraz jego wzniesie się wysoko, dla wolnych — wszystkie wysokości są dosięgalne! Wówczas będą żyć w prawdzie i wolności dla piękna i za lepszych będą uważani ci, którzy szerzej obejmą sercem świat, którzy mocniej go pokochają... lepszymi będą wolniejsi — w nich najwięcej piękna! Wtedy będzie życie wielkiem i wielkimi będą ludzie tego życia«...

W myśl takich zasad sprzątnięto skrytobójczym sposobem pewnego robotnika, podejrzanego o zażyłe stosunki z policją.

Teorje tego rodzaju znalazły żyzny grunt w sercu Pawła, który filozofję swoją zawarł w następujących zasadach:

— »Widzisz, powiada do matki, jak ludzie są postawieni przeciwko sobie? Nie chcesz, a — bij! I kogo? Takiego samego człowieka pozbawionego praw... on jeszcze nieszczęśliwszy od ciebie, dlatego, że jest głupi... Policja, żandarmi, szpiegi — wszyscy są naszymi wrogami... a wszyscy oni tacy sami ludzie, jak my, także ssą z nich krew i także nie

uważają ich za ludzi. Wszystko — tak samo! A ot, postawili jednych ludzi przeciwko drugim, oślepili głupotą i strachem, wszystkim związali ręce i nogi, ścisnęli i ssą ich, gnębią i biją jednych za pomocą drugich. Przemienili ludzi w oręże, pałki, w kamienie i mówią — kultura! To państwo!... To — zbrodnia! Haniebne mordowanie miljonów ludzi... mord dusz... Rozumiesz — dusze zabijają. Widzisz różnicę pomiędzy nami i nimi — uderzył człowiek i jemu wstrętnie, wstyd, boleśnie... Wstrętnie, to najważniejsze! A ci — zabijają tysiącami, spokojnie, bez miłosierdzia, bez drgnienia serca, zabijają z zadowoleniem, z radością! I tylko dlatego gnębią na śmierć wszystkich i wszystko, ażeby zachować drzewo domów i mebli swoich, srebro, złoto, głupie papiery, całe to nieszczęsne śmiecie, które daje im władzę nad ludźmi. Pomyśl — nie siebie ochraniają ludzie, broniąc się zabijaniem ludzi, psując dusze ludzkie, nie dla siebie to czynią, lecz dla swego majątku!«

Nareszcie nadszedł ów długo wyczekiwany dzień 1. maja, w którym z namowy Pawła postanowili robotnicy fabryczni urządzić demonstrację olbrzymią. Po namiętnej przemowie, wygłoszonej przez jednego z robotników na podwórzu fabrycznem, a pełnej powszechnie znanych komunałów o braterstwie klasy pracującej wszystkich krajów świata, ruszył tłum z czerwoną chorągwią na czele w pochód po ulicach osady. Lud biegł na spotkanie sztandaru i zlewał się z tłumem, śpiewającym hymn robotniczy. Ale w tym śpiewie nie było czuć pewności siebie, raczej w tych głosach tysiącznych drżała trwoga...

To też na widok wojska, zamykającego dostęp na plac przed cerkwią, Paweł starał się w krótkich słowach podnieść na duchu demonstrantów:

— »Towarzysze! — wołał — »Żołnierze tacyż sami ludzie, jak i my. Oni nie będą bić nas. Za co biliby? Za to, że niesiemy prawdę, potrzebną dla wszystkich?... Przecież ta nasza potrzebna także im... Dotąd oni tego nie rozumieją, ale niedaleki już jest czas, kiedy staną w jednym szeregu z nami, kiedy pójdą nie pod sztandarem grabieży i morderstw, który kłamcy i bestje każą im nazywać sztandarami sławy i honoru, natomiast pójdą pod waszym znakiem wolności i dobra. I dlatego, iżby oni zrozumieli prędzej naszą prawdę, powinniśmy iść naprzód. Naprzód towarzysze! Zawsze naprzód«!

Głos Pawła brzmiał ostro, ale tłum zaczął rozpraszać się. Ludzie — jedni za drugimi — odchodzili na prawo i na lewo, kryjąc się po pod parkanami. Wojsko dało sobie prędko radę z garstką upartych, którzy skupili się dokoła Pawła, dzierżącego chorągiew. Paweł znalazł się tam, dokąd zmierzał świadomie, tj. w celi więziennej.

Matka nie miała najmniejszego pojęcia o tem, co ma teraz począć ze sobą? Na szczęście przyszedł do niej zupełnie niespodziewanie znajomy jej syna, Mikołaj Iwanowicz, który zabrał ją do siebie. Był to człowiek, karany już niejednokrotnie za propagandę przeciwpaństwową, teraz zaś zajmował posadę urzędnika w »*ziemskiej uprawie*«. Obecnie niósł pomoc czynną przestępcom politycznym, agitację zostawiając swojej siostrze Zofji. Z tego też powodu Zofja mieszkała przeważnie pod fałszywem nazwiskiem, ukrywając się przed policją, woziła paki zabronionych wydawnictw do różnych miast, ułatwiała ucieczkę skazanym na zsyłkę i t. d.. W pomieszkaniu jej była urządzona drukarnia, a kiedy żandarmerja, dowiedziawszy się o tem, przyszła na rewizję, Zofja, przebrana za kucharkę, wymknęła się

z pułapki niepostrzeżenie. Przygód doznała wiele. Raz n. p. przyjechawszy do obcego miasta w odwiedziny do swoich znajomych, zauważyła, będąc już na schodach, że u nich odbywa się rewizja. Zadzwoniła tedy bez namysłu do jakichś nieznajomych, mieszkających o piętro niżej, i opowiedziała im o grożącem jej niebezpieczeństwie na wypadek, gdyby nie chcieli jej przenocować. Państwo owi przeżyli noc całą w strachu śmiertelnym, ale nie zdradzili tajemnicy. Raz wreszcie w przebraniu mniszki jechała w jednym wagonie z agentem policyjnym, który szukał jej w całym pociągu, nie przypuszczając nawet ani przez chwilę, że poszukiwana siedzi tuż naprzeciwko niego.

— »Zwyciężymy — pocieszała Zofja matkę Pawła — dlatego, że idziemy razem z robotnikami! Siłę swoją do pracy, wiarę naszą w zwycięstwo bierzemy od ludu, a lud to niewyczerpane źródło siły i duchowej i fizycznej... W nim są ukryte wszelkie możliwości i z nim — wszystko możliwe jest do osiągnięcia!... Trzeba tylko rozbudzić jego świadomość, duszę jego, wielką duszę dziecka, któremu nie pozwalają róść swobodnie«...

Matka Pawła wybrała się teraz z Zofją na zapadłą prowincję, celem rozwiezienia literatury nielegalnej dla tych, których serca i mózgi były już zgangrenowane zasadami anarchistycznemi, skoro prosty węglarz cieszy się na samą myśl o tem, że jeśli lud powstanie, morza krwi zaczerwienieją na przestrzeni Rosji całej. Poza nienawiścią i żądzą zemsty — nie było w jego sercu nic więcej! Kto ją jednak posiadał w tem sercu prostaczem?... Tacy i takie, jak panna Zofja...

Za powrotem do miasta życie popłynęło dalej spokojnie. U Mikołaja Iwanowicza odbywać się zaczęły często schadzki, na których rozprawiano bez

wytchnienia. Ale — matce zdawało się, że ci ludzie gorączkują się w dysputach jedynie po to, ażeby pokazać współtowarzyszom, że są bliżsi od nich prawdy. Każdy chciał stanąć wyżej od reszty dysputujących, co wywoływało przygnębiające wrażenie, zwłaszcza, że fantazjowano nieustannie na temat obalenia dotychczasowego ustroju społecznego, a milczano o tem, co na miejscu ewentualnych ruin będzie wzniesione... Ale — bodaj czy który z dysputujących raczył był nad tem zastanowić się? — dodamy od siebie.

Pod wpływem tego rodzaju dyskursów prostaczy umysł matki Pawła wypaczył się do reszty. Doszło do tego, że straciła wiarę w Boga — na starość — w całkiem prosty sposób. Widziała, że na ziemi jest dostatek wszystkiego, a ludzie żyją w nędzy. W miastach stoją świątynie, pełne złota i srebra, a na progach tych świątyń drżący siedzą nędzarze żebracy. Czyliż więc — rozumowała — nie jest to jawne oszustwo na punkcie Boga?... To też zaczęła modlić się coraz rzadziej, a natomiast więcej myślała o Chrystusie i o tych ludziach, którzy, nie wspominając Jego imienia, żyli, jak się jej zdawało, według Jego przykazań, uważając ziemię za królestwo ubogich i dla tego też pragnęliby rozdzielić równo pomiędzy wszystkich ludzi bogactwa wszelakie. Oto — do jakich wniosków doprowadziły biedną matkę hasła skrajnowców!...

Biedna matka marzyła chwilami nawet o przyszłem szczęściu rodzinnem swego syna, póki jej tych rojeń nie rozwiał Mikołaj Iwanowicz, który sam miał kiedyś żenić się, ale cóż, — kiedy zawsze tak składało się, że gdy on był na wolności, wtedy narzeczona jego odsiadywała karę w więzieniu i na odwrót. Nakoniec ją zesłano na dziesięć lat na Sybir. Chciał nawet jechać za nią, ale nie doszło

do tego. I ona wyszła za mąż za jego dobrego znajomego, z którym poznała się na wygnaniu. Życie rodzinne — tłumaczył starej matce — zawsze uszczupla energję rewolucjonisty, gdyż troska o chleb powszedni i o wychowanie dzieci zabiera dużo czasu. A tymczasem rewolucjonista powinien rozwijać swoją energję nieustannie. Skoro się zaś jest obarczonym rodziną — praca agitacyjna nie idzie już w należytem tempie.

Na rozprawie sądowej trzymał się Paweł butnie: »Jako członek partji — mówił, broniąc się — uznaję jedynie sąd swojej partji i będę mówił nie w obronie, lecz na życzenie moich towarzyszy, którzy zrzekli się obrony, spróbuję wyjaśnić wam to, czego nie zrozumieliście... Prokurator nazwał nasze wystąpienie pod sztandarem socjalnej demokracji — buntem przeciwko władzy najwyższej i cały czas traktował nas jako buntowników przeciwko cesarzowi. Muszę oświadczyć, że dla nas car nie jest jedynym łańcuchem, który zakuł ciało kraju, bo jest on tylko pierwszym i najbliższym łańcuchem, który jesteśmy obowiązani zerwać z narodu...

»My socjaliści. To znaczy, że jesteśmy wrogami własności prywatnej, która rozdziela ludzi, uzbraja ich przeciwko sobie nawzajem, stwarza nieprzejednaną walkę interesów, kłamie, starając się ukryć lub usprawiedliwić tę walkę i deprawuje wszystkich kłamstwem, dwulicowością i złością. My powiadamy: społeczeństwo, które uważa człowieka jedynie za narzędzie dla swego zbogacenia się, jest przeciwne naturze ludzkiej, wrogie nam, my nie możemy zgodzić się z jego moralnością dwulicową i kłamliwą, cynizm i surowość jego stosunku do jednostki są nam wstrętne, chcemy i będziemy walczyć przeciwko wszystkim formom fizycznego i moralnego ucisku człowieka przez takie społeczeństwo,

przeciwko wszystkim zakusom nękania człowieka na pożytek chciwości. My, robotnicy, których pracą stwarza się wszystko, od maszyn gigantycznych do zabawek dziecięcych, my ludzie, pozbawieni prawa walki o naszą godność ludzką, nas każdy stara się przemienić w narzędzie dla osiągnięcia swoich celów, chcemy teraz mieć tyle wolności, ażebyśmy mogli z czasem zawojować całą władzę. Nasze hasła są proste: precz z własnością prywatną, wszystkie środki wytwórczości dla ludu, cała władza dla ludu, praca obowiązkowa dla wszystkich! Widzicie, że nie jesteśmy buntownikami!

»My rewolucjoniści i będziemy nimi dotąd, dopóki istnieje własność prywatna, dopóki jedni tylko rozkazują, drudzy tylko pracują. Występujemy przeciwko społeczeństwu, którego interesów kazano wam bronić, jako nieprzejednani wrogowie jego i was i zgoda pomiędzy nami niemożliwa jest dopóty, dopóki nie zwyciężymy. Zwyciężymy my, robotnicy! Wasi mocodawcy wcale nie są tak silni, jak im się zdaje. Taż sama własność, której dorabiając się i ochraniając ją, oni wydają na ofiarę miljony ludzi, taż sama siła, która daje im władzę nad nami, budzi wśród nich wrogie drżenia, niszczy ich fizycznie i moralnie. — Własność wymaga bardzo wiele naprężenia dla swojej obrony i w istocie rzeczy wszyscyście wy, nasi panowie, więcej niewolnikami, niźli my — wy wyniszczeni duchowo, my tylko fizycznie. Wy nie możecie wyrzec się jarzma uprzedzeń i przyzwyczajeń, jarzma, które duchowo uśmierciło was, nam nic nie przeszkadza, abyśmy byli wewnętrznie wolni, trucizny, któremi trujecie nas, słabsze są od tych antydotów, które wy, mimo swej chęci, wlewacie w naszą świadomość. Ona wzrasta, rozwija się bez ustanku, coraz szybciej rozpłomienia się i uprowadza za sobą wszystko lepsze, wszystko

zdrowe duchowo, nawet z pośród was. Popatrzcie, u was już niema ludzi, którzy mogliby ideowo walczyć o waszą władzę, wy wyszastaliście już wszystkie argumenty, zdolne obronić was od naporu historycznej sprawiedliwości, wy nie możecie stworzyć niczego nowego w zakresie idei — wyście duchowo bezpłodni«!

Oto, do czego doprowadził socjalizm zachodnio-europejski, przerobiony na modłę azjatycką!

Pawła skazano na zesłanie sybirskie. Nie byłoby ono zresztą nadto ciężkie, skoro ofiarowała się dobrowolnie na towarzyszkę łoża i stołu Pawłowego jedna z ładnych socjalistek. Na bok z przesądami świata kulturalnego! — daje się słyszeć z ostatnich kart powieści Gorkiego. Jak ma być wspólność, to już taka, o jakiej zgniły Zachód nie marzył. Bo i cóż może być w pojęciu człowieka pierwotnego szczytniejsze nad wspólność kobiet?

Doraźna próba zrewoltowania wojska, podjęta przez Pawła, znalazła obszerniejsze rozwinięcie w zbiorku nowel p. n. »Sołdaty«. Temat ten musiał sam przez się nasunąć się Gorkiemu pod pióro, skoro za pierwszej i drugiej Dumy państwowej posłowie ze skrajnej lewicy zajmowali się gorąco agitacją wśród wojska.

W pierwszej z tych nowelek p. n. »Patrol« rzecz dzieje się w noc głęboką po dniu, w którym na ulicach miasta huczały armaty, przy akompanjamencie suchego trzasku gęstej palby karabinowej, po dniu, w którym na ulicach walały się trupy, a śmierć radośnie i pożądliwie napawała się jękami rannych.

Na środku niewielkiego placu paliło się drzewo, około którego snuło się czterech żołnierzy na kształt cieni nocnych. W powietrzu było mroźno i mglisto. Nudy patrolowej nie skracali sobie żołnierze ury-

waną co chwilę rozmową, bo chaos był w ich mózgach. Sami byli przecież synami włościańskimi, a tu od krótkiego czasu odbijały się o ich uszy straszne wieści. Bo oto podburzeni chłopi zaczęli podpalać folwarki, domagając się od obywateli ziemskich, iżby rolę oddali tym, którzy ją własnoręcznie uprawiają. Na tych umysłach pierwotnych pozostały bez śladu nauki, dawane im przez komendanta bataljonu, który nieraz tłumaczył żołnierzom, iż najlepiej byłoby agitatorów częścią ukarać śmiercią, częścią zesłać na Sybir: »Żyj tam, psi synu — mawiał — ot naści śnieg«!... Do żołnierzy trafiła już propaganda anarchistyczna, która wyjaśniła im, że przez wykonywanie poleceń przełożonych, upodobnili się ze zwierzętami, że strzelaniem do tłumu zrewoltowanego stają się mordercami... Bo agitacja taka doprowadziła nawet do tego, iż żołnierze ci powątpiewają silnie o istnieniu Boga, gdyż różni ludzie powiadali im, że »niema Go«...

Oto jakiemi krętemi drogami postępowała propaganda anarchistyczna w Rosji... Nihilizm, wrodzony plemieniowi rosyjskiemu, zdetronizował bodaj Pana Boga, skoro był zbyt słaby, żeby mógł pokusić się o detronizację mocarzy ziemskich. Detronizacja zresztą Pana Boga nie narażała na szubienicę ani na więzienie... Z agitacją czynną wśród wojska stykamy się w fragmencie p. n. »Z powieści«. Istotnie szkic ten jak gdyby wyrwany z jakiejś większej całości.

Do wsi, której mieszkańcy wygrażali obywatelowi krwawym obrachunkiem, przysłano rotę żołnierzy. Po chłoście, wymierzonej głównym winowajcom, chłopstwo uspokoiło się. Rota wszelako pozostała nadal we wsi. Celem przerwania nudów i bezczynności jeden z żołnierzy zabawiał się łowieniem ryb na wędkę w młynówce. Podczas jednej

z takich siest wieczornych nad wodą zaznajomił się żołnierz z przyjaciółką miejscowej nauczycielki, która parę tygodni temu agitowała wśród robotników w mieście i uważała się za wcale doświadczoną w tem rzemiośle. Postanowiła tedy bez namysłu spróbować szczęścia wśród żołnierzy. Wszelako żołnierz-rybak rozumował trzeźwo:

— »Chłopi zaczęli postępować gwałtownie — mówił, — na przykład dwór podpalali, siano spalili i ot — młyn — a to po co? Awdiejew mówi, że to dzikość, dlatego, że wszystko jest dziełem pracy rąk ludzkich, a ją trzeba szanować. Pracę, powiada, trzeba cenić, a nie niszczyć ją niepotrzebnie...«

Panna Wiera wszelako nie dała za wygraną i z zapałem zaczęła mówić o występnej, cynicznej — jej zdaniem — sile, która celem obrony własnej podżega jednych ludzi przeciwko drugim, obudza w nich instynkty zwierzęce i posługuje się tymi ludźmi, jak kamieniami, dla zabicia prostej i jasnej prawdy życia, tak potrzebnej wszystkim, prawdy, za którą tęskni całe ciężkie życie ludzkie, pełne złości i wycieńczenia krańcowego. Uderzyła wreszcie w strunę najsilniejszą tak, że żołnierz przemówił:

— »Naturalnie, zdarza się, dobrzeście powiedzieli, ty idziesz uspakajać bunt, a w domu u ciebie swoi buntują się, no tak! U nas w trzeciej rocie żołnierz z Saratowa omal nie zwarjował — przebił człowieka podczas buntu, a u niego w domu starszego brata zesłali na ciężkie roboty, a młodszego zasiekli, umarł, także za bunt — ot! Ty bijesz tutaj, a twoich — w domu, i wszędzie — żołnierze: Kozacy także, ale — kozak to obcy, prawie nie Rosjanin, w domu u niego niema buntu... A naszemu bratu jak? Sieczesz człowieka i myślisz — może ojca twojego teraz także sieką? Przecież i my

jesteśmy ludźmi, panienko, a wy winicie nas, jakoby zwierzęta z nas były. No, Boże mój! Jakie tam prawo, jeżeli ruski ruskiego bije na śmierć! Za to do więzienia pakują. Oczywiście, lud rozjuszył się, obywateli podpala i stąd nieporządek — a, przecież, ziemi chłopu potrzeba! Ot, przyjdę ja do domu, a do czego przyjdę? Ziemi z bratem mam trzy i pół dziesięciny — a czyliż wystarczy ci ona? Brat ma dwoje dzieci. A jeśli, dajmy na to, ożenię się, także dzieci — i co będzie? Do jednej garści ziemi!«

Wszystko to jednak, co mówił, wydawało się Wierze egoizmem chłopskim i głupotą żołnierską. Słuchała tego wszystkiego obojętnie, z wzrastającem niezadowoleniem. Z gorzkiej zadumy wytrąciło ją pojawienie się nad rzeczułką drugiego żołnierza Awdiejewa, który zachwiał wnet równowagę panienki zdaniem prostem, ale bardzo trafnem, kiedy zapytał, gdzie byli wówczas agitatorzy, kiedy obałamuconych przez nich rozstrzeliwano, dlaczego pokrywali się w takiej chwili?... »Przychodzili ludzie, podburzali człowieka i ukrywali się — to dlaczego? I mogę myśleć, że jest następująco, kiedy im źle żyć — idą oni do nas, ciemnych ludzi, i mówią — wam również źle, spróbujmy razem wspólnemi siłami utorować drogę, żeby było łatwiej pójść wszystkim, a myślą — nam! I dopóki człowiek pracuje z nimi — to brat, a kiedy oni dopną swego — on im wrogiem«....

Ostatecznie postanowili żołnierze zejść się raz jeszcze z panną Wierą, celem omówienia obszerniejszego tych rozlicznych palących zagadnień.

W obawie, iżby nie zostali podpatrzeni, za miejsce schadzki obrali skraj lasu. Siedząc w cieniu sosen Wiera z niepokojem oczekiwała przybycia żołnierzy. Całą noc spała źle, cały dzień myślała o żołnierzach, to też teraz odczuwała zmęczenie

umysłu, połączone z brakiem wiary w siłę przekonującą tego, co zamyśliła im powiedzieć. Chwytając nieposłuszne myśli, starała się ułożyć prostą mowę do żołnierzy, dobierała silnych, obrazowych słów, one wszelako nie kleiły się jakoś... A zarazem wzrastał w jej sercu strach przed głodnymi ciała kobiecego mężczyznami. Byłaby może uciekła, gdy wtem ukazało się przed nią kilku sołdatów. Było za późno... Przed nią na murawie siedziały w zwartem półkole tęgie postacie mężczyzn, od których wionął zapach cebuli i potu. Teraz była osaczona i bezbronna, jak zając. Istotnie żołnierze przyszli po rozkosz fizjologiczną, nie duchową. I gdyby nie dzielna obrona Awdiejewa — panna Wiera byłaby padła ofiarą chuci zmysłowych...

Wszelako bodaj czy w którym z tylu utworów Gorkiego pomięszały się w równie wysokim stopniu instynkty pierwotne bezładu płciowego, powodujące degenerację całych pokoleń, z teorjami anarchji polityczno-społecznej, jak w dramacie p. t. »Posliednije« (Ostatni). Dramat ten, to przedstawienie aż nadto realistyczne okropnej Gehenny życia rodzinnego rosyjskiego z wszystkiemi jego najdrastyczniejszemi szczegółami, nieprawdopodobnemi, a mimo to prawdziwemi!... Dramat ten — to ilustracja jak najwierniejsza faktów, wydarzających się codziennie w rodzinie rosyjskiej, której węzły rozluźniła do reszty tak zw. »rewolucja«. Brak podstaw moralnych w życiu rodzinnem rywalizuje tutaj skutecznie z chęcią użycia za jakąkolwiek cenę. Dewastacja zaś, jaką widzimy w najprostszych, ale zasadniczych zagadnieniach moralnych, jest tutaj tak wielka, że nie wiadomo, komu w tej mierze przyznać pierwszeństwo: rodzicom, czy dzieciom?...

Na dom dygnitarza policyjnego Iwana Kołomejcewa spada grom za gromem. Pijaństwo, karty

i rozpusta zniszczyły gospodarza szpetnie, żona go zdradziła, owoc tej zdrady pod postacią córki Luby, potwornie garbatej, snuje się po pokojach, znienawidzony przez resztę rodzeństwa, syn stara się na punkcie życia hulaszczego prześcignąć ojca, a na dobitek złego na Kołomejcewa dokonano zamachu rewolwerowego. Ale nie uprzedzajmy biegu wypadków!...

W rodzinie Kołomejcewa obok całkowitej dezorganizacji włada niepodzielnie wieczne zapotrzebowanie monety. Jedynem źródłem, z którego można zaczerpnąć zasobów finansowych, jest kieszeń braterska Jakóba Kołomejcewa. A ta — na szczęście — nigdy nie jest pusta i nigdy nie zawodzi, o ile zajrzy do niej żona Iwana, pani Zofia, którą kiedyś łączył stosunek miłosny z bratem mężowskim.

Akcja rozpoczyna się w chwili bezpośredniej po zamachu, jaki na Iwana Kołomejcewa dokonał młody student. I jakkolwiek kule chybiły ofiarę, przecież współczucia prawdziwego nie ma żadne z dzieci dla ojca, skoro Luba wstydzi się, że jest »córką człowieka, który rozkazuje zabijać ludzi i ucieka, jak tchórz, kiedy do niego strzelają za to«... Nie uznaje nawet okoliczności łagodzących tchórzostwo ojca chorowitego, bo — »on choruje dlatego, gdyż dużo hulał«... Ale cóż w tem dziwnego, skoro jak utrzymuje Jakób Kołomejcew, »w Rosji nikt nie szanuje nikogo«...

Zresztą, o całą tę historję nikt nie potroszczyłby się długo, gdyby nie ta okoliczność, że Kołomejcewa pozbawiono posady policmajstra. A tu dzieci niemal wszystkie niezaopatrzone, ba, nawet 26-cioletni syn Aleksander nie ma jeszcze kawałka chleba! Aleć też nieodrodny to syn swojego ojca: pracować nie chce, hula za to po całych nocach, (bo i któż — jak słusznie zauważyć zdołał — urządza hulanki

we dnie?...), że aż wyłysiał w tak młodym wieku. Cóż jednak szkodzi łysina?... Wszak dodaje powagi. Zresztą, któż winien temu, że Aleksander nie może otrzymać posady? Nikt naturalnie — jego zdaniem — jak tylko rodzice, którzy »wydali go na świat, ale nie potroszczyli się o zapewnienie środków dla przyzwoitego jego życia. Szanowny ojciec brał wiele w mieście, za to mało w klubie za stołem karcianym«... Cóż?... kiedy, jak trafnie zauważył Jakób Kołomejcew, w Rosji jest »bardzo trudno — być uczciwym, mając pięcioro dzieci«... Lecz, czyliż można wymagać, iżby dzieci miały szacunek dla ojca, skoro matka nie ukrywa wcale, że wyszła na swoje nieszczęście za człowieka, który jest »hulaką i rozpustnikiem, on urządził dom gry tuż obok pokojów, w których spały jego dzieci. Jakie kobiety bywały u niego! On obrażał swoją żonę bez przerwy przez dziesięć lat — ileż kochanek miał!«... Stąd też dziś w domu niedostatek trwały. Jedną córkę tylko udało się wydać za mąż. Gdyby też w jaki sposób można umieścić najstarszego Aleksandra przy jakim urzędzie?... Zawsze lżej byłoby.

A tu właśnie taka sposobność się nadarza. Bo oto zięć Kołomejcewów, lekarz Leszcz, zapewnia, że Aleksander mógłby otrzymać posadę pomocnika komisarza policyjnego, ale za to trzebaby zapłacić aż pięćset rubli. Zresztą policja — to jedyny urząd, w którym Aleksander byłby możliwy, i to tylko na prowincji. Pomyślne rozwiązanie kwestji powyższej staje się ostatecznie możliwe, gdyż Jakób oświadcza się z gotowością zapłacenia żądanego haraczu.

W dramacie tym wszyscy niemal są mniej lub więcej nieszczęśliwi z rozmaitych przyczyn. Najnieszczęśliwszym wszelako jest Iwan Kołomejcew. Wszakżeż własne dzieci nie mają dla niego ani odrobiny już nie miłości lub przywiązania, ale bodaj

szacunku!... Ośmnastoletni gimnazjasta Piotr pogardza ojcem za to, że kiedyś kazał pobić aresztantów, z których dwu umarło skutkiem otrzymanych razów. Piotr bowiem, idąc za hasłami przewrotowemi, wierzy niezłomnie w przyszłość jasną, choć nieokreśloną bliżej, ale iżby przyszłość ta mogła nastać rychlej, muszą »zginąć setki silnych, tysiące słabych«.... Luba czuje również żal do ojca za to, że w czasie jej niemowlęctwa upuścił ją na ziemię, skutkiem czego dostała garb. Żona wreszcie na każdym kroku daje się we znaki mężowi, jakkolwiek mąż ten wątpi w to, iżby Luba była jego córką. Przy lada sposobności słyszymy ze strony pani Zofji wymówki, tyczące się niewierności mężowskiej lub nietroskliwości o los niezamężnych córek, dla każdej z nich bowiem zdałby się już dawno mąż. To też arcycharakterystyczna jest odpowiedź Iwana Kołomejcewa, kiedy szczerze rozpacza: »A skądże ja ci wezmę zdrowego i obyczajnego zięcia?«...

Zresztą, cóż znaczy zięć wobec tego, że rewolucjoniści godzą na jego życie, cóż znaczy zięć, kiedy żona po dwudziestosiedmioletniem pożyciu nie rozumie męża? Umie tylko czynić mu wyrzuty najrozmaitszego rodzaju, bo i jej głowę owionął szał rewolucyjny:

— »Stawiali opór, śpiewali pieśni — powiada Kołomejcew na swoje usprawiedliwienie. Nie słuchali mnie. Wiesz przecież, że jestem prędki i nie znoszę sprzeciwiania się... Wszak to rozhukani ludzie, wrogowie cara i porządku... Ich wieszają, zsyłają na katorgę. Dlaczegoż zatem nie wolno.... trzeba było zmusić ich do milczenia... Cóż znaczy dwu zabitych? To słabi, wyniszczeni strejkiem ludzie, ich można zabijać uderzeniem w głowę.. Żołnierze byli rozdrażnieni.... No, tak, istotnie, jestem po części winien.... ale — wszędzie — zamęt, tracisz wolę, żyjesz w ciągłem rozdrażnieniu«....

Że sprawcą tego rozdrażnienia jest po większej części sam Iwan Kołomejcew, — to nie ulega najmniejszej wątpliwości, skoro okazuje się, że córka jednego z podwładnych Kołomejcewa wniosła skargę sądową o alimentację, posłaniec zaś Trusow zamierza upomnieć się o odszkodowanie pieniężne za utratę bębenka usznego, spowodowaną uderzeniem Kołomejcewa, dla którego jedyną narazie pociechą jest bajka znana powszechnie o ranionym lwie i ośle. Wytłumaczeniem zaś tych skarg sądowych jest dla niego obawa podwładnych, iżby on znowu nie zajął dawnego stanowiska....

Niejakoś żywem potwierdzeniem znanego przysłowia, że »jaki ojciec — taki syn«, jest pierworodny Aleksander. Głód monetarny jest u niego nie mniejszy, niżeli u ojca. Został właśnie mianowany pomocnikiem komisarza policyjnego, musi zatem oblać tę nominację, ale na to brak mu pieniędzy. I jakkolwiek wie doskonale o niedostatku, panującym w domu, nie waha się żądać brutalnie od matki pieniędzy. A kiedy matka otwarcie przedstawia mu niemożliwość spełnienia jego prośby, z krańcowym cynizmem wskazuje jej stryja Jakóba, jako źródło niezawodne, i nie cofa się przed wyznaniem matce, iż wiadomym mu jest stosunek, jaki łączył ją ze stryjaszkiem. Ale — zapewnia ją zarazem — że nie upatruje w tem niczego nadzwyczajnego, bo i jest-że na świecie kobieta, któraby nie zakochała się w tym lub owym mężczyźnie, choćby nawet była już zamężną?!...

Wszystko tu gangreną moralną przeżarte doszczętnie, skoro nawet tyle poważny człowiek, jakim jest stryj Jakób, nie waha się odsłonić przed biedną Lubą tajemnicy, iż on jest właściwie jej ojcem!... A i pani Zofja nie może pohamować się wobec nieszczęsnej córki grzechu, kiedy deklamuje patetycznie:

— »Powiem tylko tak: miałam w swem życiu jasne, czyste dni — to dni twojej miłości, Jakóbie... Tylko raz byłam istotą wolną od brudu — w dni miłości twej... A czyliż kochałam ciebie, jeżeli nie poszłam z tobą, kiedyś ty wzywał? Zamieniłam miłość na przyzwyczajenie... Ot, i ukaranam za to«...

I jakkolwiek sama nie jest wolna od grzechu, przy lada nadarzonej sposobności wypomina mężowi życie rozwiązłe. A kiedy wyrzuty w tej mierze nie skutkują, momentalnie czyni przeskok w zupełnie inną stronę, byle tylko dowieść, że mąż jest stokroć gorszym od niej:

— »Zabijałeś niedorostków. Jeden z zabitych miał siedmnaście lat. A dziewczynka, którą zastrzeliliście podczas rewizji! Tyś cały we krwi i wszystka ta krew dzieci, krew młodzieży, tak! Tyś sam nieraz krzyczał: oni niedorostki!...

A że pani Zofja nie ukrywa swego zdania o mężu przed dziećmi, więc nic w tem dziwnego, skoro 18-letni syn Piotr nie tylko nie ma ani krzty szacunku dla ojca, ale co więcej, pogardza nim otwarcie. Aleć ten gimnazjasta przeszedł już dobrą szkołę, skoro nie wierzy nawet w Boga! I zamiast uczyć się — rezonuje wiele na temat życia, w którem naczelne miejsce zajmują ludzie słabi, rządzący wszelakoż państwem ogromnem! Również i Luba nie szczędzi ojcu przygany, kiedy wprost mu powiada, że zła powinien szukać nie gdzieindziej, jak tylko w sobie samym.

Niepodobna wszelako wymagać od dzieci, iżby miały inne wyobrażenie o ojcu, skoro ojciec ten pozwala sobie na wcale nie ojcowskie pogawędki z córkami.

— »Powiedz — nagabuje córkę Nadzieję — nie pragniesz przyprawić mężowi rogów, co?«

Kiedy zaś córka oburza się na to i wyraża zdziwienie, jak może ojciec doprowadzać dziecko własne do grzechu, on z dobrodusznym uśmiechem dorzuca:

— »A być może, już przyprawiłaś mu?«...

To też nic w tem dziwnego, jeżeli najstarszy syn Aleksander namawia ojca, iżby, po otrzymaniu posady isprawnika, wziął go sobie za pomocnika. »We dwójkę urządzimy tam raj ziemski. Maleńkie takie miasteczko, baby, kupcowe, a nad niemi — bogowie i królowie — père et fils. Idylla w prozie«...

Ale do urzeczywistnienia takiej idylli trzeba pieniędzy. Więc Iwan Kołomejcew poniża się do tego stopnia, że prosi o nie swego brata, o którym wie, iż zbałamucił mu żonę i jest ojcem jego córki Lubej. Poniżenie to wszelako tłumaczy obowiązkami, ciążącymi na nim, jako na głowie rodziny. I rezonuje z zapałem:

— »Ty nie rozumiesz duszy ojca, jak Rosjanin nie może zrozumieć duszy żyda... to jest — odwrotnie, oczywiście! Ojciec — to święta rola, Jakóbie! Ojciec — początek życia, że się tak wyrażę... Sam Bóg nazywa się wielkiem imieniem Ojca! Ojciec powinien składać w ofierze dla swoich dzieci wszystko — egoizm, honor, życie, i ja składam w ofierze! Spełniając ten obowiązek, zwalczam swój cynizm — idę na isprawnika... były policmajster! Spełniając go, słucham obrazy rodzonego brata a czyliż nie ja wystawiłem pierś swoją na kule złoczyńców, spełniając ten wielki swój obowiązek!«

Jakób jednakowoż pozostaje głuchy na prośbę brata o pożyczenie pieniędzy. Na szczęście Iwana Kołomejcewa — Jakób umiera nagle. Iwan staje się spadkobiercą całego majątku braterskiego, a że

jest niezgorszym aktorem, deklamuje patetycznie w obliczu śmierci:

— »Dzieci, druhowie moi! Tutaj, stojąc dokoła drogiego nam ciała zmarłego, w obliczu wiecznej tajemnicy, która zakryła przed nami na zawsze — na zawsze, e-e... i, biorąc pod uwagę, znaczenie jej godzące wszystkich ze sobą... mówię o śmierci, zaniechajmy naszych sporów i waśni, obejmijmy się, i zapomnijmy o wszystkiem. Myśmy ofiarami tych okropnych czasów, których tchnienie truje wszystko, wszystko burzy... Trzeba zapomnieć o wszystkiem i pamiętać tylko, że rodzina — to nasza twierdza, nasza obrona przed wszystkimi wrogami«...

A gdyby zapytać się, skąd czerpała owa anarchja moralna siły, pozwalające jej na trwały rozwój?

Odpowiedź na takie pytanie bardzo prosta: nie bez winy byli rozmaitego gatunku przewrotowcy, ale nie bez winy byli też ludzie, powołani przez rząd do przestrzegania ustaw i porządku publicznego. Najsilniejszą podnietą anarchji moralnej było to, że sfery rządzące dawały z góry przykłady aż nadto liczne bezprawia, dokumentując tem samem, że prawo jest niczem wobec przemocy brutalnej. Anarchję tę krzewiono przez niepewność życia, wolności i mienia, skoro tym zasadniczym prawom obywatelskim zagrażały na każdym kroku sądy wojenne, wydające wyroki śmierci częstokroć na podstawie błahych poszlak, lub, co gorsza, na podstawie doniesień szpiegów lub prowokatorów, wreszcie przez zesłania w drodze administracyjnej, a zatem nawet bez sądu! Krzewiono ją wreszcie przez tłumienie oświaty sfer robotniczych, które wydawano na demoralizujące wpływy knajpy i grasujących w niej najgorszych szumowin społecznych. Ale też i agitacja rewolucyjna zawodowych konspiratorów, nie rozumiejących życia i nie znających duszy

ludzkiej, nie mogła podnieść kultury mas, skoro sankcjonowała wszelkie środki walki...

W sam środek zarówno agitacji rewolucyjnej, jak nie mniej deprawacji, szerzonej przez władzę, wprowadza nas Gorkij w przedługiej powieści p. t.: »Życie niepotrzebnego człowieka«, w której wykazał sporo bystrej obserwacji, jakkolwiek dla ludzi o kulturze zachodniej niejedno tutaj może wydać się nieprawdopodobnem, jak gdyby zostało wykrojone z jakiegoś straszliwego romansu kryminalistycznego.

Owym »niepotrzebnym człowiekiem« jest Jan Klimkow. Bo i po cóż w istocie urodził się?... Chyba na ciągłą nędzę i poniżenie bez końca! Osierociał już w czwartym roku życia, kiedy ojciec jego padł od kuli kłusownika. Nie długo cieszył się też pieszczotą matki, która zmarła nagle podczas żniwa, kiedy malec miał lat siedm zaledwie. Sierotę zabrał do siebie wuj Piotr, kowal wiejski. I oprócz niego jednego znęcali się nad sierotą wszyscy, tak swoi jak i obcy: dzieci w szkole, młodszy syn wuja Piotra, Jakób, wreszcie wujenka, nikt z nich nie szczędził razów bolesnych chłopczynie. Z obawy nieustannej przed złośliwością ludzką uciekał chłopczyna na zapadłe miejsca ustronne lub do kuźni wujowskiej, gdzie czuł się zupełnie bezpiecznym i mógł swobodnie oddawać się dumaniom, które doprowadziły go do wniosku, iż wszyscy znęcają się nad nim dlatego, że on musi być innym, aniżeli oni. Dumania te ukazały mu też nową prawdę, tę mianowicie, że ogół ludzi jest zły, że wszyscy okłamują się nawzajem, piją, staczają krwawe bójki, obrażają się często, że całe życie pełne jest strachu, waśniącego ludzi pomiędzy sobą....

Kiedy mały Janek ukończył naukę w szkole wiejskiej, wuj Jakób zawiózł go do miasta, gdzie

umieścił go u antykwarza. Z tą chwilą życie malca zmieniło się najzupełniej. Nowy pan był dobry, nie bił nigdy, nie przezywał ani nie przeklinał chłopczyny, a jeśli dawał nauki, to w sposób rozumny i łagodny:

— »Nie czytujesz książek — mówił razu jednego — i to dobrze tak. Gdyż książka... mówi o wszystkiem, rozdrażnia wyobraźnię i zatrważa niepotrzebnie. Dawniej były ładne historyczne książki, ludzi spokojnych opowiadania o przeszłości, teraz zaś każda książka pragnie zaszczepić w tobie nienawiść do życia i zepsuć człowieka, który powinien żyć spokojnie i ciałem i duchem, ażeby obronił siebie od djabła ciekawości i od mrzonek, pozbawiających go wiary... Książka nie jest szkodliwą dla człowieka tylko na starość, kiedy go broni od przemocy własny ludzki rozum«...

Kiedy jednak dowiedział się chłopczyna od utrzymanki swego pana, iż starzec stoi na usługach policji, nie przeszkodził nawet wówczas, kiedy utrzymanka udusiła jego chlebodawcę. Że jednakowoż miała ona stosunek z agentem ochrany Dorymedontem Łukiczem, przeto zbrodnię zatuszowano. Piękna zaś Raisa, która przeniosła się teraz na mieszkanie do dawnego kochanka, w obawie, iżby chłopak nie zdradził jej przed obcymi, zabrała Klimkowa ze sobą, Łukicz zaś wystarał się dla niego o zajęcie biurowe w kancelarji policyjnej. Życie Klimkowa poszło odtąd po zupełnie nowej drodze.

W brudnej sali stało wiele stołów, przy których siedziały po dwie lub trzy osoby, zajęte pisaniem i paleniem papierosów lub odganianiem się od natarczywości much. We drzwiach stali żołnierze policyjni, wpuszczając po kolei strony interesowane. Wszyscy urzędnicy i pisarze, zarówno młodzi, jak i starzy, mieli pewne cechy wspólne: łatwo

popadali w rozdrażnienie, krzyczeli, wyszczerzając zęby i wymachując rękoma.

Klimkow przyzwyczaił się prędko do nowego zajęcia. Z pokorą poddawał się rozkazom wszystkich i gotów był każdej chwili na usługi. Również przestały go razić powtarzające się codziennie: skargi, płacze, łajania oficerów i złośliwe spostrzeżenia kolegów biurowych. Dzień bowiem jeden był tutaj zupełnie podobny do drugiego, często bito ludzi po twarzy, wyrzucano za drzwi, często płynęła krew; niekiedy stójkowi przyprowadzali aresztantów, powiązanych sznurami, pobitych, jęczących z bolu. Najlepiej jeszcze trzymali się złodzieje, uśmiechając się do urzędników, jak zwykli czynić dobrzy znajomi; pozostający zaś pod nadzorem policyjnym przestępcy polityczni zachowywali się wprost wrogo. Wszelako najwięcej ciekawości budzili agenci polityczni, wiecznie milczący i surowi, o których zarobkach opowiadano sobie niestworzone historje z jawną zawiścią. I co najważniejszego, iż tutaj nikt nie litował się nad nikim...

W domu jednakowoż było o wiele nieznośniej, aniżeli w kancelarji policyjnej. Osobliwie niemożliwym okazywał się Dorymedont Łukicz, ilekroć podczas obiadu, przerywanego gęsto czkawką, zaznajomić starał się Klimkowa z poglądami swoimi na przewrotowców:

— »Ludzi tych wcale nie pragniemy ostatecznie wygubić — są oni dla nas niejakoś iskrami i powinni ukazywać nam, gdzie właściwie zaczyna się pożar. To mówi Filip Filipowicz, a on sam jest z politycznych i w dodatku żyd.. To bardzo delikatna gra«...

Również nie miał Klimkow spokoju ze strony Raisy, która tak długo narzucała się chłopakowi z propozycjami miłosnemi, dopóki nie uwiodła nie-

winnego Klimkowa, który po fakcie dokonanym »stał u łóżka nagle zamroczony i z drżeniem w nogach, w piersiach, dysząc ciężko, patrzał na jej duże, miękkie ciało, na szeroką rozpływającą się w uśmiechu twarz. Nie czuł już wstydu, tylko serce, ogarnięte okropnem uczuciem utraty, zamierało, i czegoś chciało się mu płakać«. I kto wie, na jakie bezdroża byłaby sprowadziła chłopca rozpustnica, gdyby nie przypadek fatalny.

Oto — pewnej nocy wpadł do domu Dorymedont, zbity do krwi przez robotników, których śledził. Wobec tego nie pozostawało mu nic lepszego do uczynienia, jak przenieść się do innego miasta. Pomimo próśb i gróźb, Raisa odmówiła dalszego współżycia. Kiedy zaś kochanek zagroził jej zdemaskowaniem zaduszenia Raspopowa, Raisa po pijanemu kończy samobójstwem. Klimkow został nagle bez dachu nad głową. Szczęściem przyjął go na mieszkanie stary urzędnik policyjny kapitan Iwanowicz, przezwany Dudką, Dorymedont zaś dał mu na pożegnanie pięć rubli wraz z radą następującą:

— »Żyj ostrożnie. Ludziom nie wierz, kobietom — tem mniej. Wartość pieniędzy znaj. Za srebro — kupuj, złoto składaj, miedzią — nie gardź, żelazem — broń się, jest takie kozackie przysłowie.«

Niedługo miał trwać jednakowoż pobyt Klimkowa pod nowym dachem. Podsłuchawszy bowiem rozmowę swojego gospodarza z jednym z jego znajomych, przemowę nawskroś prowokatorską, wygadał się z przejętemi z niej zasadami przed kolegą biurowym, który doniósł o tem władzy przełożonej, skutkiem czego Klimkow, nie przeczuwający niczego złego, znalazł się w więzieniu. Więzienie miało być początkiem nowej karjery chłopaka.

Przyznawszy się szczerze i otwarcie przed naczelnikiem »o c h r a n y«, od kogo nauczył się teorji

rewolucyjnych, został przyjęty w poczet agentów policji tajnej i z miejsca poszedł na wyszkolenie do agenta Piotra Piotrowicza. Odtąd zaczęło się powodzić mu lepiej: otrzymał osobny pokój obok pomieszkania swojego mentora, wraz z całem utrzymaniem, nowe ubranie, i to nie jedno tylko, słowem urządzono go tak, iż o czemś wygodniejszem ani zamarzyć nie był zdolny. Nowy mentor rozpoczął odrazu pracę nad wykształceniem wszechstronnem swojego pupila. Oto urywek z lekcji polityki:

— »Rewolucjoniści — to wrogowie cara i Boga... Oni są przekupieni przez Niemców dla dokonania rozkładu Rosji... My, Rosjanie, zaczęliśmy robić wszystko sami, a Niemców... niech djabli wezmą... Tak. Niemcy są chciwi. Oni — to wrogowie narodu rosyjskiego, chcą nas podbić, chcą, żebyśmy wszystko, wszelaki towar kupowali u nich i oddawali im nasze zboże... Naogół wszyscy obcoplemieńcy, zazdroszcząc Rosji bogactwa i siły, chcą wywołać u nas bunt, strącić z tronu cara i ustanowić wszędzie swoją władzę, swoich urzędników nad nami, iżby nas grabić i niszczyć... Tyś Rosjanin i nie możesz pragnąć, ażeby to stało się... i dlatego powinieneś walczyć z rewolucjonistami, agentami zagranicy, w obronie wolności Rosji, władzy i życia cesarza — otóż i wszystko«...

U nowego gospodarza miał Klimkow sposobność przysłuchać się planom prowokatorskim, o jakich z zapałem opowiadał przyjaciel mentora:

»Dzisiaj jeszcze raz rozmawiałem z jenerałem. Proponuję mu — dajcie środki, ja wyszukam ludzi, otworzę klub literacki i wyłowię wam największych łotrów... wszystkich. Napuszył się, wypiął swoje brzuszysko i oświadczył bydlę — mnie — zdaje się — lepiej wiadomo, co i jak czynić. Jemu wszystko wiadomo! A że jego kochanka przed von Rutzenem

tańczyła nago, o tem on nie wie... i że córka spędziła sobie płód — również nie wie«...

Ideałem tego szpiega jest wyplenienie doszczętne »wszystkich liberałów, jenerałów, rewolucjonistów, kobiet rozpustnych... Duże palenisko i palić! Napoić ziemię krwią, ulepszyć ją popiołem i będą urodzaje... Syci chłopi wybiorą sytą władzę... Człowiek jest bydlęciem i brak mu obfitych pastwisk, pól urodzajnych... Miasta — zniszczyć... i wszystko zbędne... wszystko, co przeszkadza mnie i tobie żyć po prostu, jak żyją kozły, koguty... to wszystko do djabła«... —

Rozterka duchowa miała tem łatwiejszy dostęp do Klimkowa, ile że w duszy tego chłopca nie było miejsca na nadzieję zmiłowania bożego, opowiadania zaś kolegów stępiły w nim do cna wszelkie uczucia. Był gotów wydać w ręce policji bodaj własnego ojca, gdyby ten okazał się chociaż w najogólniejszych rysach takim, jakimi przedstawiono mu rewolucjonistów, odznaczających się zresztą wielu wspólnemi cechami. Boć przecież oni w Boga nie wierzą, do cerkwi nie chodzą, ubierają się skromnie, czytają wiele, siedzą do późna w noc, często przyjmują gości, ale nie używają trunków ani nie grają w karty. Natomiast mówią wiele o zagranicznych państwach, o socjaliźmie robotniczym, wreszcie o wolności, jakiej świat nie widział.

(Wolność!... Bardzo to piękna rzecz. Aleć nie można jej dać chyba niemowlęciu!... O tem Imć Pan Gorkij zapomniał...)

Tymczasem druty telegraficzne przyniosły do Moskwy wiadomości o krwawej niedzieli styczniowej 1905 roku w Petersburgu. Policja tajna, po chwilowem obezprzytomnieniu, zabrała się do roboty energicznie, bynajmniej nie z poczucia obowiązku, lecz z obawy, iżby w razie nastania nowego

ustroju państwowego, nie przepędzono znienawidzonych agentów na cztery wiatry, lub nie wywieszano na drzewach przydrożnych.

Rozterka duchowa Klimkowa zwiększyła się niepomiernie. Teraz bowiem zdziwiony ujrzał innych ludzi, wesołych, idących odważnie w nieznaną przyszłość, pokonujących wszelkie przeszkody, napotykane po drodze. A kiedy się starał porównać ich ze szpiegami, przemycającymi się niechętnie i kryjomkiem po ulicach, porównanie wypadło na korzyść pierwszych. Rozkład tej siły, której służył, stawał się coraz widoczniejszy.

Pomimo to wplątał swego brata ciotecznego, a wraz z nim parę jeszcze osób, w proces o utrzymywanie tajnej drukarni rewolucyjnej, za co otrzymał nie tylko ustną pochwałę od naczelnika policji tajnej, ale też judaszowe srebrniki w postaci dwudziestu pięciu rubli.

Wszelako zmora przestrachu nie dawała spokoju Klimkowowi. Pośród agentów rozeszły się pogłoski, iż niektórzy ministrowie okazali się również przekupionymi wrogami cara i Rosji. Mieli oni uknuć spisek, mający na celu: odebranie władzy monarszej i zaprowadzenie na wzór zagraniczny ustroju konstytucyjnego. Wydali właśnie manifest, w którym, rzekomo z dobrej i nieprzymuszonej woli cara, uwiadamiają społeczeństwo, że będzie dana mu wolność tłumnego zgromadzania się na każdem miejscu i rozprawiania o wszystkiem, o czem się komu podoba, a nadto drukowania w gazetach bezkarnie chociażby zachęty do mordu, wreszcie wolność nieograniczona sumienia, tak że można będzie nie wierzyć nawet w Boga!

W mieście zaś rosło uporczywie coś strasznego, jakby wyjętego z bajki potwornej. Ludzie wyzbyli się zupełnie strachu i stawali się podobnymi do ro-

botników, zabierających się do zburzenia starego domu i naradzających się wprzódy, od czego należy rozpocząć pracę. Niemal codziennie urządzali robotnicy fabryczni na przedmieściach zgromadzenia, na których przemawiali rewolucjoniści, znani doskonale policji, przemawiali, krytykując ostro dotychczasowe porządki, ministrów i zapewniali święcie, iż jedynie tłum jest legalnym panem życia. Jemu też należy się cała »ziemlia i wola«.

Serce Klimkowa radowało się wzrostem buntu ulicznego, ale nie miało siły pokochać go. Klimkow wierzył w słowa, ale nie wierzył w ludzi. Marzenia nieokreślone ocierały się o jego serce, ale rychło konały bez jęku. Bojaźliwy świadek niewidzianych dotąd wydarzeń chodził nad brzegiem wartkiego potoku, ale nie pragnął bynajmniej rzucić się w jego orzeźwiające fale. Ale też równocześnie chciał, iżby ktobądź zwyciężył i uczynił życie spokojniejszem. Z początku wydawało się mu niezrozumiałem, dlaczego to zarówno rewolucjoniści jak też cała »ochrana« jednakowo bije ministrów i utrzymuje, jakoby ktoś chciał oszukać społeczeństwo? Kiedy jednakowoż lud sam wyległ na ulice — Klimkow przestał myśleć o tem wszystkiem.

Nadeszła jesień, jak zazwyczaj, cicha i smutna, ale ludzie zdawali się jej nie zauważać. Z dniem każdym stawali się coraz odważniejszymi, to też Klimkow wierzył tem silniej w ich zwycięstwo, w zbliżającą się chwilę spokojnego i wygodnego życia. Zwłaszcza, gdy teraz nastały dni straszne, jak z baśni fantastycznej, kiedy to w całem mieście ludzie przestali pracować, życie codzienne niejako zatrzymało swój bieg normalny, jakgdyby zadławione zostało czyimś uściskiem brutalnym. Ludzie odmówili miastu, swojemu władcy, chleba, ognia i wody, tak, że parę nocy stało miasto w mroku,

głodne, spragnione, bezsilne. A w te ciemne noce robotnicy chodzili po ulicach z pieśniami na ustach, z radością dziecięcą w oczach, zrozumiawszy teraz dopiero po raz pierwszy swoją władzę nad życiem. W dnie te władza wysunęła się z rąk sytych panów, to też Klimkow ze zdziwieniem ujrzał, że ci ludzie, którzy przyzwyczaili się jedynie do wydawania rozkazów, teraz w milczeniu poddawali się woli głodnych, biednych, nieumytych »bosiaków«. I miał wrażenie, iż przeszłość już nie powróci więcej, bo zjawili się nowi panowie, którzy, jeżeli zdołali zatrzymać bieg życia dotychczasowego, to zapewne również potrafią urządzić życie inaczej dla wszystkich. I chociaż w nocy było ciemno, przecież noc każda była równie wesoła, jak dzień. Po ulicach zgromadzały się tłumy ludzi, rozmawiające z zapałem o bliskich dniach zwycięstwa prawdy, w które wierzyły niezłomnie.

Nareszcie ukazał się manifest konstytucyjny. W »ochranie« nastało takie pomięszanie, jak, nieprzymierzając, w domu obłąkanych. Ale równocześnie przyszły pamiętne dni pogromów inteligencji, odtworzone z niezwykłym realizmem w powieści Gorkiego. Klimkow brodził pośród tego wszystkiego, jak wśród mgły. Lecz kiedy tłum rozpoczął krwawe obrachunki z policją, kiedy wreszcie wypuszczono na wolność zdradzonych przez Klimkowa rewolucjonistów, Klimkow popadł w taki rozstrój nerwowy, że postanowił zakończyć samobójstwem. Widząc na każdym kroku czyhających na jego marne życie, w napadzie szalonego przestrachu ucieka do lasu i tam się próbuje powiesić. Kiedy zaś próba zawiodła, rzuca się pod koła pociągu towarowego, uciekając przed niepewnością przyszłości.

Z powieści tej wszelako, chociaż celem jej było zohydzenie doszczętne wszystkiego, co tylko choćby ociera się o policję, wionie bodaj czy nie coś wręcz przeciwnego? Przejawia się przedewszystkiem z każdej jej karty ohyda nihilizmu duszy rosyjskiej, równie potwornej u rewolucjonistów, jak u ajentów tajnej policji, jak wreszcie wśród sfer decydujących. Wszystkim tym ludziom, jakich Gorkij wprowadził do swojego utworu, brak jest tej podstawowej prawdy, że jest jedna tylko w człowieku moralność, że nie może być uczciwym w życiu publicznem ten, kto w życiu prywatnem kłamie, oszukuje, kto nie wypełnia sumiennie swoich obowiązków, kto wreszcie nie działa dla zasady, w jaką wierzy. Ale — niestety! to wszystko nie obowiązuje — podług Gorkiego — rewolucjonistów, gdyż takie wymaganie nazwałby niewątpliwie moralnością »klechowską« czy »burżuazyjną.« Aleć nic w tem nadzwyczajnego! Wszakżeż w dobie najgorętszych zakusów rewolucyjnych na czoło partji wysuwały się zazwyczaj rozmaite ciemne figury, o których stronie etycznej nie było wiadomo nikomu ani odrobinę. O to nikt zresztą nie pytał. Bo to rzecz »prywatna.« Byle gęba była pełna wzniosłych, a w istocie samej, pustych frazesów!...

Organizatorowie i przywódcy ruchu anarchicznego pierwszych lat konstytucji zdawali sobie jasno i dokładnie sprawę z tego, że dla tłumów małorolnych i bezrolnych biedaków manifest konstytucyjny nie przedstawia najmniejszej wartości, choć włościaństwo oczekiwało i pragnęło przedewszystkiem nowego podziału gruntów, o prawa zaś obywatelskie albo nie dbało wcale lub też bardzo niewiele. Wiedzieli zatem, że skoro chce się pozyskać włościan dla ruchu przewrotowego, trzeba rozdmuchiwać w nich z jednej strony marzenia o ziemi, z drugiej

zaś zakrzątnąć się około uświadomienia obywatelskiego chłopstwa.

Na tle powyższych dążeń osnuł Gorkij swoją powieść p. n. »Lato«, malującą wybornie sposoby, jakiemi posługiwano się przy rewoltowaniu ciemnych mas.

Do wioski Wysokie Gniazda, położonej w zapadłym powiecie, przybywa agitator, opatrzony oczywiście w fałszywy paszport i pieniądze, rzekomo na willegiaturę. Nie zapomniał również wziąć ze sobą listu polecającego do jednego z »czerwieńszych« parobków wiejskich, w kufrze zaś zgromadzić całego stosu broszur agitacyjnych. Znajomości pozawiązywał prędko, tak, że już po kilkudniowym pobycie na wsi poznał kierunek myśli każdego niemal włościanina. Lecz o ile z powodu małego uświadomienia obywatelskiego rozpadali się chłopi na dwa najskrajniejsze obozy: czarnosecinny i socjalistyczny, o tyle w sprawie rolnej mieli poglądy identyczne: — »Człowiek powinien — było ich zasadą — być wolnym od niewoli swojej ziemi. Siłę tej niewoli widziałem. Oto, pozwólcie, że opowiem o czasach przed pierwszą Izbą państwową — no i podłeż dni były! Do tego stopnia powściekali się ludzie z pożądliwości, tak opijanieli wszyscy — nikt niczego nie widzi, niczego nie chce zrozumieć, tylko krzyczą: ziemia, ziemi! Byłem bity za moje przemówienia w owe dni, chociaż sam nie mam pojęcia o tem, co mówiłem! Widziałem jedno — nie w tę stronę naród zwrócił swoją siłę... a siły były, były! Ale uwięzły nogi po kolana w ziemi i... wszystko rozwiało się, wessało się w nią napowrót....«

Kółko znajomych agitatorów skupiało w sobie typy i temperamenty najrozmaitsze: i tak Dosiekin lubił rozwijać każdą kwestję zupełnie w sposób analogiczny, w jaki rozbiera się głowę kapuścianą,

jeśli się chce dotrzeć do jej kaczana; Wania Małyszew, zaczytany w biblję, wyprowadzał z niej wszystkie bieżące teorje polityczne; wreszcie Misza Szipigusiew uczynił głowę swoją czemś na podobieństwo magazynu, do którego przywieziono duży zapas towarów, ale poumieszczano je nie na właściwych miejscach.

I jeszcze jeden z tej kompanji — Awdiej łączył u t i l e c u m d u l c i, bo obok polityki uprawiał z zapałem sport miłosny. A szczęście mu sprzyjało. Bo oto wyszło na jaw, iż podczas świąt zawarł stosunek miłosny z córką bogacza wioskowego Astachowa, która niebawem zaszła w ciążę. Ojciec zaczął się znęcać nad córką celem wydobycia z niej wyznania, kto jest sprawcą nieszczęścia? Kiedy się o tem dowiedział przebywający w mieście na robocie Awdiej, powrócił co tchu na wieś i oświadczył stroskanemu ojcu swojej wybranej, że jest sprawcą wszystkiego. Stary jednak ani słyszeć nie chciał o weselu, co gorsze — ukrył córkę u krewnych. Ale że Awdiej wpadł w oko agitatorowi, więc córkę wykradziono i umieszczono w mieście na służbie. Takiemi to sposobami kaptował sobie agitator zwolenników!...

Wszyscy członkowie tego kółka dysputowali wiele na temat spraw bieżących, żyjąc w ciągłej trwodze przed strażnikiem ziemskim, który był trochę niespełna rozumu. Jaki był właściwie powód rozstroju psychicznego strażnika? Któż odgadnąć potrafi? Opowiadano tylko, że podczas rozruchów ulicznych w Moskwie brał udział w ich uśmierzaniu. Po nadaniu konstytucji zjawił się na wiosnę we wsi i zachowywał się dziwnie: jeśli był trzeźwy — unikał ludzi i przechadzał się samotnie, utkwiwszy oczy w ziemię; po pijanemu jednakże klękał na ulicy i w głos błagał przechodniów o przebaczenie. Za

co jednak? — Tego nie mówił. Znęcali się tedy chłopi nad nieszczęsnym, utrzymując, iż to krew przelana w Moskwie przez niego tak błagalnie przemawia.

Pomimo pomieszania zmysłów znał się strażnik niepospolicie na piękności kobiecej. I dziwnym trafem skierował swój afekt ku tej samej, która obdarzyła uczuciem agitatora, jakkolwiek była już zamężna. Skoro wszelako męża wzięto na pięć lat do wojska, to i jakżeż wymagać od kobiety rosyjskiej dochowania wierności?!... Agitatorzy zaś rewolucyjni mieli serca otwarte i względami kobiet nie gardzili, bo sumienie ich milczało...

Pociągnęło wreszcie ku agitatorowi niektórych starszych włościan, tych zwłaszcza, którzy byli przerażeni surowem uśmierzeniem rozruchów agrarnych: — »Jak myślisz — burza ta po ziemi przeszła, a czyliż nie potrąciła o chłopa? Tylko nie dano mu opamiętać się, rychło boleśnie gębę mu zatkali kułakiem, nie zdążył rozprostować kości — związali i znowu komenderują: leż nosem wdół! On leży — cóż ma począć? Zaledwie podniósł głowę — biją. Leży spokojnie, a o czem myśli — tego nikt nie wie. Wszelako wyobraź sobie: czyliż może on nie myśleć, kiedy stał się taki niezwykły wypadek: nagle mówią głosem łaskawym: pomóż, chłopie, przyślij swoich ludzi do kierowania sprawami, dłużej nie możemy i wszystko u nas staje. Posłał. Napędzili: nie, ci nie nadają się, wybierz innych. Innych! Było to, bracie, wcale zajmujące, kiedy zażądano innych: nasza wieś, Malinki, Wasiljewo, Fomino — jednogłośnie uchwaliły: Jakóba Gniedawo na wyborcę! A toć Jakób jest najodważniejszym chłopem w całej okolicy... Wyszedł rozkaz powszechny — wybierajcie partyjnych, którzy mówią stanowczo, żeby całą ziemię i całą wolę dać ludowi!

No, wybrali. Nasz poseł nie powrócił już, wysłano go wprost na Sybir. I znowu: nie nadają się, innych! Przypuszczasz — nie zamyślił się chłop nad tem?... Ja w Dumę tę wierzyłem i po raz trzeci głosowałem, naturalnie, na bogatych, tak! Wówczas jeszcze byłem związany ze światem, miałem chatę, ziemię, pasiekę, a teraz, ot, urwało się i jam — jak pióro na wietrze. Przecież i na wsi dla bogatych życie jest jednym majakiem, przypuszczałem, że oni, co się tyczy praw, co się tyczy woli — to jest — nie zapomną, a oni... tak ich w błoto z Dumą! Jedno leży głębiej, to jasne dla każdego, kto nie jest ślepy... Powiadam ci: chłop myśli i trzeba mu w tem dopomóc...«

Agitator nie zaniedbał udzielenia natychmiastowego żądanej pomocy. Zaczął rozwodzić się szeroko o przyczynach poniżania godności ludzkiej, o walce o kęs chleba, o niemożliwości zapobieżenia nieuniknionej walce biednych z bogatymi, i mówił o nowych drogach życia, o potrzebie zjednoczenia mas ludowych. Słowem — rozwinął zasady katechizmu socjal-rewolucyjnego rosyjskiego w całej ich pełni, nie troszcząc się wcale o możliwość wprowadzenia ich w życie.

Natomiast zadokumentował czynem inny punkt programu, nawiązał mianowicie stosunek miłosny z nadobną sołdatką Barbarą, sprzątając ją zarazem z przed nosa »towarzyszowi« Jegorowi, który jeszcze od świąt zabiegał o nią, ale nie w myśli żeniaczki, jeno wolnej miłości... Prawdziwa Azja!...

Kiedy zaś urządzał schadzki tajemne w lesie, musiano przed rozpoczęciem dyskusji na tematy spraw bieżących pokrzepić się przedewszystkiem kilkoma butelkami »siwuchy«, ot tak, »dla szczerości«. Rzecz znamienna, że celem kaptowania zwolenników dla nowych haseł, trzeba było uciekać się

do pomocy tak odurzającego środka, jak alkohol!... Cóż? kiedy te głowy, nie podrażnione czemś aż nazbyt silnem, nie były w stanie zrozumieć rzeczy chociażby najoczywistszych. Mózgi tych ciemnych chłopów dziwiły się, dlaczego ziemia staje się bezpłodną? »Klnę ziemię — powiada jeden z tego grona — wiedźmo, nieszczęście moje, krwi moja — ródź! Nogami biłem ją, na Boga! Wszystką siłę moją zabierasz, przeklęta, a coś mnie oddała, co?...« Aleć i teorje rewolucyjne nie mogły wskazać środka zapobiegawczego nieurodzajowi, skoro nie mówiły nic o fundamentalnych zasadach gospodarki rolnej... Szerzyły jedynie hasło fatalne powiększenia nadziału ziemi, która, nienawożona, po latach kilku musiałaby zamienić się w ugór, chwastami zarosły.

Jeżeli zaś marzono o zagrabieniu gruntów pańskich, to tylko w skrytości serca, w okolicach tych bowiem przetrwała drogą tradycji ustnej pamięć okrucieństw, jakich dopuszczano się na chłopstwie po uśmierzeniu buntu Stenki Razina, a następnie Pugaczewa. Wreszcie starsi ludzie pamiętali doskonale to, co wybito na ich własnej skórze, kiedy to za odmowę płacenia podatków gruntowych kozacy srodze oćwiczyli nawet najpoważniejszych gospodarzy: — »Wszystkich bili! I kobiety także! Gwałtów dopuszczali się żołnierze na nich. Dziewczęta pozbawili wianka, prawieże wszystkie...«

Przywiózł wszakże z okolicy do wsi niepokojące wieści Awdiej Nikin. Podług jego relacji chłopstwo było bliskie buntu: »Mówiłem — opowiadał — z kilku chłopami o nadziale ziemi, i z początku wytrzeszczali oni oczy, jak barany przed nową wrótnią, ale potem wyli, zębami zgrzytali.«

Agitacja szerzyła się piorunem. »Kiedy nas staną tysiące i miljony, bez złości weźmiemy za gardło, kogo należy. A iżby te miljony wyrosły na

tak nieurodzajnej ziemi — nie trzeba szczędzić nawozu i niema powodu żałować go, tak to!...«

Naturalnym rzeczy porządkiem — ludzie tego pokroju nie mogli uznawać nad sobą nawet władzy Pana Boga!... Dowodem tego najwymowniejszym będzie opowieść o Adamie, Jezusie i Panu Bogu, świadcząca wiele o filozofji religijnej rosyjskiej:

— »Jechałem raz Kamą i rozmawiałem z jednym Sybirakiem, stręczycielem koni, a on mnie rzecze: »Szatana — niema!« »Jakżeż to?« »Niema! A jest, powiada, książę świata podziemnego Adam, pierwszy stworzony i pierwszy zmarły człowiek, i — więcej niema nikogo!« »Poczekaj, mówię, Adam został wyprowadzony z piekła przez Jezusa Chrystusa.« — »Wcale nie został wyprowadzony, lecz siedzi dotąd w czyścu. To, powiada, jest zapisane w jednej starej indyjskiej księdze, mój znajomy Burjata — Burjaci, lud na podobieństwo Mordwy — Burjata, powiada, książkę tę czytał i w tajemnicy mnie opowiadał, jak było: zstąpił Chrystus do piekieł i proponuje: no, Adamie, wychodź stąd, niepotrzebnie Ojciec mój rozgniewał się na ciebie i ty siedzisz tutaj niesprawiedliwie, a obecnie należy ci się podług ustawy miejsce w raju. Nie, odpowiada Adam, nie chcę, nie pójdę stąd, u was, podobno, w raju wszyscy rozmaici święci, a u mnie tutaj — wszyscy na równi grzesznicy. Ja, powiada, tysiące lat nie napróżno tutaj siedziałem, przezemnie została tutaj ustanowiona istotna sprawiedliwość, nie jak u was na niebie i na ziemi. I ostatecznie nie poszedł...«

Filozofja to anarchiczna, boć wszakże wzięła swój początek w duszy anarchistycznej. Wiadomo zaś, że gęś nie urodzi cielęcia..

Co się tyczy wiary, wszyscy członkowie tego kółka byli prawie jednomyślni i przeważnie na dnie

duszy ich drżała trwoga przed niewiarą w Boga. To też celem umocnienia się w zasadach ateistycznych szerzyli niewiarę, gdzie się tylko dało Bo i jakiż to Bóg — rozumowali — On syty, a chłopi głodni?... Powiedziano w Piśmie św., że człowiek stworzony został na obraz i podobieństwo Boże. A dlaczegoż milczy Pan Bóg, kiedy tego człowieka usiłują przemienić w bydlę?... Aleć też powinien być jeden Bóg dla wszystkich, nie zaś Chrystus najlepszym z rozmaitych Bogów... I dlaczegoż nakoniec — rozumują chłopi — nie wypleni Pan Bóg zła? Przecież jest wszechmogący! Dlaczego rzuci człowieka w grzęzawisko i nakazuje mu: nie utoń, bo cię poślę do piekła?...

Takie to poglądy wpajała w mózgi prostaczków anarchja pseudo-wolnościowa rosyjska. Nihilizm był jej celem ostatecznym....

A czyliż — godzi się zapytać — mieli prawo ci agitatorzy do szerzenia tego rodzaju fantasmagorji? Otóż — jeśli będziemy trzymać się ściśle tego, co o nich powiedział Gorkij, — sąd musi wypaść przecząco. Boć agitator jego sam wyznaje, iż nie miał czasu zająć się samokształceniem siebie, a wykształcenie dał mu rozgrom anarchji pokonstytucyjnej. Wówczas dopiero przekonał się (nie rozumem, lecz sercem! — choć serce żadnego przekonania dać nie jest w stanie!) — że nieopodobieństwem jest żyć dalej w tym ustroju państwowym, w jakim żyło się dotychczas. I — na dobitek — przekonania tego nabył z lektury broszur socjalistycznych!... Toć tu śmiać się i płakać chce się zarazem!... Jakżeż bo biedne były to głowy?!...

Cała ta powieść, chorobliwa w swojem założeniu, kończy się zamordowaniem strażnika i przybyciem do wsi kozaków, których Gorkij idealizuje, przesadzając w tej idealizacji do granic wprost

niemożliwych. W konwojujących bowiem więźniów sołdatach dopatruje się uświadomionych obywateli, którzy »w milczeniu słuchali bajki o nieznanej im szczodrej ziemi, która kocha robotników swoich.« Podług Gorkiego nie było w tej gromadce ludzi ani żołnierzy, ani więźniów, a sami jedynie »ludzie rosyjscy«, zatopieni we wspólnej im wszystkim myśli. To też bohater rzuca w dal śnieżną okrzyk:

— »Pozdrawiam cię świętem, wielki narodzie rosyjski! Niedalekiem zmartwychwstaniem, kochany!...«

Zapomniał tylko zastanowić się nad tem, czy jest możliwe zmartwychwstanie ciała, rozkładającego się we wszystkich swoich komórkach? A może rozwiązanie powyższej kwestji znajdziemy w najnowszem wyznaniu wiary Gorkiego, w jego »Spowiedzi«?

Celem uniknięcia posądzenia o stronniczość wobec duchowieństwa prawosławnego, niechaj wolno mi będzie przytoczyć słowa znanego nacjonalisty rosyjskiego, p. Mienszikowa, który na łamach »Now. Wremieni« scharakteryzował w sposób następujący kler rosyjski, jedną z najsilniejszych podpór tronu i władzy absolutnej:

— »Ażeby stwierdzić — pisał — nietylko wśród ludzi świeckich, ale też i wśród duchowieństwa, głęboki rozkład wiary, wystarczy pojechać do pierwszego lepszego zapadłego kąta gdzie, jakby się zdawało, prawosławie powinno trzymać się jak najmocniej. Poprostu jęk z piersi wyrywa się na widok tylu »ojczulków,« którzy budzą ku sobie pogardę i nawet oburzenie ludności. Jak mało wśród nich świeczników i krzewicieli światła! Duchowieństwo wiejskie, tak jak i lud, zarażone jest pijaństwem i rozpustą. Trzeźwi zaś i »poprawni« duchowni z inteligencji seminaryjnej odznaczają się chciwością i nie

mają z ludem nic wspólnego. Są to urzędnicy w »rjasach«, którzy patrzą na cerkiew, jak rewirowi na swoje rewiry lub rewizorowie akcyzy na swoje okręgi. Za pewną zapłatą odprawiają nabożeństwa — i poza godzinami, że tak powiem, urzędowania w cerkwi, nie chcą znać nikogo. Tacy duchowni, jawnie niewierzący w Boga, jeszcze bardziej są ludowi nienawistni, aniżeli pijacy, rozpustnicy i lichwiarze». Prawosławie dlatego rozkłada się, dlatego obojętność religijna szerzy się wśród choć trochę myślących ludzi, gdyż »talenty religijne zostały odsunięte przez niedołęgów, powołanie zastępuje żądza karjery, bo zgasłe serce pasterzy już nie świeci, ani nie grzeje. Wiara upada dlatego, że w ustach fałszywych nauczycieli przestaje być zajmującą. Niezdarne duchowieństwo skompromitowało wielką naukę, pozbawiło ją duszy i rozrzuciło zdobiące ją kwiaty«...

Pochodzenie wyznawcy »Spowiedzi« jest wcale nie zaszczytne, skoro powiada on o sobie bez ogródek, że jest »podrzutkiem, dzieckiem nieprawego łoża.« Naturalnie — nikt rozsądny nie weźmie mu tego za występek. Ale — dlaczego chwalić się tem co kilka stron? — To już przechodzi pojęcie rozumujących logicznie! Do piątego roku życia wychowywał się u ogrodnika dworskiego, od którego przygarnął go do siebie sługa cerkiewny Łarjon, człowiek bardzo dobrego serca, ale też niezgorszy pijanica. Po trzeźwemu milczał uporczywie, po pijanemu wszelako wyśpiewywał głośno pieśni liturgiczne i uśmiechał się do każdego. Zresztą trzymał się od ludzi zdaleka, żył nędznie, dorabiając do szczupłych dochodów, jakie niosła mu cerkiew, łowieniem ryb. On to był pierwszym nauczycielem małego Mateusza. I co w tem najfatalniejsze, — wpływ tego przygodnego światłodawcy na umysł

chłopięcia oddziaływał najfatalniej, deprawując duszę niewinną a łatwowierną.

Łarjon bowiem jest nawskróś uosobieniem nihilizmu duszy prawdziwie rosyjskiej, nie uznającej niczego, ani nikogo, filozofującej w sposób dla siebie najdogodniejszy, ale przewrotny i rażący swoją pierwotnością. Łarjon nie uznawał ani Boga ani djabła. Chrystus dla niego był tylko nadzwyczajnym człowiekiem. Na szczęście wpływ Łarjona nie trwał długo, Łarjon bowiem przefilozofowawszy życie, utopił się po pijanemu.

Bezdomnego sierotę Mateusza przygarnął teraz. do siebie pisarz dworski Titow, człowiek, który równocześnie Bogu i djabłu umiał świeczkę zapalić, typowy wiejski oszust i złodziej, lubiący wszelako w wieczory zimowe czytywać żywoty świętych i kajać się w skrytości serca za grzechy, na których spisanie miejsca brakłoby nawet na wołowej skórze. Nie gryzł się wszelako niemi zbytnio, bo skoro król Dawid nie mógł sobie dać rady z djabłem, to cóż dopiero ma począć taki szaraczek, jak Titow — rozumował chytrze.

A ów Titow miał wcale niebrzydką córkę, w której zakochał się po uszy dobiegający już dwudziestu lat Mateusz. Miłość ta stała się przyczyną bodaj czy nie zwichniętego życia Mateusza. Celem przyspieszenia bowiem żeniaczki zaczął kraść do spółki z przyszłym teściem, zapomniał o Bogu i dopiero wówczas przypomniał sobie o Nim, kiedy stracił żonę wskutek gorączki połogowej. I zaczął wątpić w miłosierdzie boskie.

Celem rozwiania wątpliwości, jakie nasuwały się mu pod względem istnienia Boga — postanowił zasięgnąć rady duchownych. Pop miejscowy wydał się Mateuszowi zanadto głupi, to też nie doszedł z nim do ładu. Protopop w mieście guber-

njalnem również nie mógł dać rady człowiekowi, który zasadniczo odrzucał wiarę w miłosierdzie Boże i w ciasnej swojej głowie wyobraził sobie, iż duchowieństwo »najęło sobie Boga za robotnika i dymem kadzidlanym płaci mu za to, że karmi je do syta.« Poszukał tedy ukojenia w klasztorze. Próba ta bodaj czy go nie dobiła, jak każdego, kto błędy jednostek generalizuje i czyni za nie odpowiedzialną całą korporację.

W klasztorze działo się wcale niedobrze; pożądliwość kobiet dochodziła u mnichów do zenitu; bywali tacy, którzy nie gardzili bydlętami, i tacy, którzy uprawiali samogwałt, wszyscy zaś łaknęli pieniędzy przedewszystkiem, bo jeśli nie udało się kobiet sprowadzić do klasztoru, to za pieniądze można było nacieszyć się niemi dowoli we wsi pobliskiej.

Mnich, któremu przydzielono Mateusza do posług codziennych, posunął deprawację młodej duszy do granic ostatecznych. Wyjaśnił bowiem wcale niedwuznacznie Mateuszowi, że nietylko nie wierzy w nieśmiertelność duszy, ale i w istnienie Boga. »Przyroda — powiadał — bierze nas w złą i ciężką niewolę przez kobietę, najsłodszą przynętę swoją i gdyby nie było popędu płciowego, który niszczy najlepsze siły ducha ludzkiego — może człowiek osiągnąłby nieśmiertelność«... Nie krył się nadto wcale z bynajmniej nieplatonicznym stosunkiem, jaki utrzymywał z jakąś damą.

Porzucił tedy Mateusz klasztor i puścił się w wędrówkę pieszą, gdzie oczy poniosą. I cóż zauważył w tej swojej pielgrzymce bezcelowej?...

Jak sam wyznaje — poznał ludzi, którzy wydali się jemu, jak gdyby w nocy pełzali po ziemi przed Bogiem, a we dnie bez litości tłoczyli piersi bliźnich. To też nie wydało się mu dziwnem, że lud traci

wiarę, skoro sądził, iż »cerkiew powinna żyć w nędzy, jak ubogi Łazarz, iżby lud widział, że na wieki wieków święte jest ubóstwo, głoszone przez Chrystusa«.. I doszedł w tych majaczeniach do wniosku, że teraz nie wystarcza już Pismo święte, a trzeba jakiegoś nowego testamentu! Ale jakiego?... Czyliż umiałby odpowiedzieć rozsądnie na takie pytanie?..

Kiedy zaś zastanowił się nad tem, skąd tyle nieszczęść, tyle zła na ziemi — daje odpowiedź zadziwiająco prostą, choć nieuzasadnioną:

— Na ziemi »niema miejsca dla Boga«...

Gdzież tedy Jego miejsce, skoro nieszczęsny bohater powieści Gorkiego nie daje na to wyraźnej wskazówki?

— »Widzę — powiada — każdy ma swojego Boga i każdy Bóg jest nie o wiele wyższy i piękniejszy od swojego sługi i czciciela. Dławi to mnie. Nie Boga szuka człowiek, lecz zapomnienia trosk swoich«...

Bohater powieści Gorkiego szukał też »zapomnienia trosk swoich« i w tym celu usługiwał w klasztorze żeńskim. Ale jak usługiwał?! Oto jak w której z nowel Boccacia — zostaje w noc późną wezwany do celi jednej z nowicjuszek:

— »Urodziłam chłopczyka — opowiada bez rumieńca wstydu panna dwudziestoletnia — odebrali go mnie, mnie zaś zapędzili tu, a ja nie mogę tutaj być! Powiadają — umarło twoje dziecię — wuj i ciotka to mówią, opiekunowie moi, — może je zabili, pomyśl ty jeno, dobry ty mój! Jeszcze dwa lata muszę pozostawać pod ich władzą do osiągnięcia pełnoletności, a tu nie mogę! Dziecię mieć pragnę... a kiedy zajdę w ciążę — wypędzą mnie! Potrzebuję chłopczyka, jeśli pierwszy umarł — drugiego chcę urodzić i już nie pozwolę odebrać go sobie, ograbić duszy swojej! O łaskę i pomoc pro-

szę, dobry człowiecze, pomóż swoją siłą powrócić mnie to, co mnie odebrano, uwierz na Boga, — matkąm ja, nie ladacznicą, nie grzechu pragnę, lecz syna, nie zabawy — zapłodnienia«...

Mateusz nie dał sobie dwa razy powtarzać prośby i spełnił z nieznajomą akt, nazwany przez Gorkiego »świętą tajemnicą małżeńską«, tu jednakże apostoł nowych zasad życiowo-moralnych nie mógł powstrzymać się od wybuchnięcia straszliwem bluźnierstwem:

— »Zapomnieliśmy, że niewiasta urodziła Chrystusa i na Golgotę z pokorą mu towarzyszyła, zapomnieliśmy, że ona jest matką wszystkich świętych i najpiękniejszych ludzi przeszłości i w podłej pożądliwości swojej straciliśmy miarę wartości dla kobiety, obracamy ją na uciechę dla siebie i na bydlę domowe dla roboty, dlatego też kobieta nie rodzi więcej zbawicieli świata«...

Rzecz podziwu godna, jak mógł coś podobnego napisać człowiek, dla którego nawet wolnomyślni Amerykanie nie mieli ani krzty szacunku, skoro tylko dowiedzieli się, że towarzysząca w podróży po Nowym Świecie Gorkiemu jejmość nie jest jego prawowitą małżonką!... Czemże jest tedy podług Gorkiego — Bóg?... Jak wyobraził Go sobie pisarz rosyjski!...

— »Bogostroiciel — to przecież ludek nasz! Chrystus bowiem, ów »pierwszy prawdziwie ludowy Bóg, wynikł z ducha ludu, jak ptak Feniks z płomienia«...

Dla Gorkiego wszelakoż ateizm jest jeno pomostem, po którym łatwo przejść ku właściwemu celowi całej powieści. Zdaniem bowiem pisarza rosyjskiego lud przez długie wieki dźwigał na swoich plecach poszczególne jednostki w oczekiwaniu tego, co one ujrzą z wysokości ziemskich dróg sprawie-

dliwości. Kiedy wszelakoż wybrańcy ludu zapomnieli o tych, którzy ich wynieśli w górę, i kiedy lud ujrzał, iż dzieci jego stały się wrogami ojców swoich, utracił wiarę — w sprawiedliwość Boską.

Zapomniał snadź o słowach natchnionych psalmisty pańskiego — »Błogosławiony lud, którego Panem Bóg jego!« (Psalm 143).

Ten lud fabryczny natomiast, z jakim Gorkij zapoznaje nas w dalszym ciągu swojej powieści, to tłum, obałamucony pseudo-liberalnemi teoryjkami, nie umiejący myśleć samodzielnie, stąd też ulegający łatwo kazaniom agitatorów z pod ciemnej gwiazdy. Daje się tedy brać bez trudu na frazesy w rodzaju tych, iżby mniej pracował, a więcej myślał, iżby dzieci swoich nie przeistaczał w »bydło robocze« bo one wychowane bez przesądów religijnych, tj. bez wiary, »oświecą całe życie wewnątrz i zewnątrz was pięknym ogniem młodzieńczej śmiałości ducha swojego, wielką pięknością działania nieustającego«...

Skąd czerpał całą mądrość ów apostoł nowej wolności i religji — nie trudnoby odgadnąć. Sam zresztą wyznaje bez ogródek, iż eliksirem nowych teoryj raczyły go rozmaite kilkugroszowe broszurki wymierzone swoją treścią przeciwko biblji i wierze w Boga wogóle. Po takiej lekturze wyobraził sobie religję i cerkiew czemś na kształt ciemnego lasu, duchowieństwo, jako rozbójników, grabiących na każdym kroku dusze i kieszenie ludzkie. Bóg się gdzieś zapodział:

— »Najważniejszym występkiem władców życia jest to, że podkopali oni siłę twórczą ludu. Przyjdzie czas — cała wola ludu zleje się z powrotem w jednym punkcie... wówczas powinna w niej powstać niezwalczona i cudowna siła i zmartwychwstanie Bóg!...«

Boga od biedy możnaby uznać, gdyby wraz z tem uznaniem znikła potęga pieniędzy, poniżenie robotników, chciwość panów, różnice stanu, słowem, gdyby ludzkość zamieniona została w stado jednolite bydła pospolitego. W tym nowym okresie dziejów panowałaby niepodzielnie wolność płciowa nieograniczona niczem. Dlaczegoż to bowiem — rozumuje bohater powieści Gorkiego — zabroniono kobiecie rodzić dzieci poza małżeństwem? I nie zastanawiając się nad fałszem, tkwiącym w samem już założeniu tak postawionej kwestji, odpowiada bez zająknienia, iż ustawodawcy uczynili to dlatego, iżby nie mógł urodzić się nikt niebezpieczny dla nich samych, iżby nie przyszedł na świat syn wolny kobiety, wolny od wszelkich więzów pokrewieństwa, któryby wyrósł na ich wroga nieprzejednanego!...

Nie wiem co w tem określeniu więcej ubolewania godne: naiwność cynizmu, czy też cynizm naiwności Gorkiego?... A że za wygłaszanie tego rodzaju teoryj, zdradzających w wysokim stopniu kompletną aberację umysłową, oddają pseudo-apostołów, i to nietylko w Rosji, ale o wiele częściej w Europie do zakładu obłąkanych, więc bohater Gorkiego musi w dalszym ciągu uciekać przed pościgiem policji, sprzeciwiając się sam głoszonej przez siebie zasadzie, iż »z więzienia wychodzą ludzie mędrszymi«. Szkoda nieodżałowana, że sprzeniewierzył się teorji, jedynie mądrej ze wszystkich, jakich tysiące trzymał w zanadrzu i nie zdołał dać nic ponad okrzyk, pusty przeraźliwie, wyglądający w oczach człowieka kulturalnego na istne kpiny:

— »*Wielki jest naród rosyjski* i nieopisanie piękne życie!...«

Zgoda na to najzupełniejsza, o ile naród będziemy brać liczebnie, a życie mierzyć wiadrami pomyj!...

I jeszcze jedno, świadczące aż nadto dobitnie o drzemiących na dnie duszy rosyjskiej pierwiastkach poganizmu i mongolszczyzny.

W Rosji bowiem od początku jej istnienia, aż po dni dzisiejsze, zarówno pośród ludzi wykształconych, jak i pogrążonych w mrokach ciemnoty umysłowej, nie brakło nigdy jednostek, dążących do zbawienia duszy w sposób bierny, t. j. przez wyodrębnienie się ze społeczeństwa i usunięcie się od świata. Tymczasem wszędzie ludzie »święci« szli w świat, iżby opierając się pokusom jego, stwierdzić mogli czynem moc ducha swojego, ale nie uciekali od pokus, nie chronili się w zacisznych legowiskach, jak to czynić zwykły przeświadczone o swojej chorobie w oczekiwaniu zgonu — zwierzęta. Rosyjscy »święci« bynajmniej nie troszczą się o zbawienie innych, tylko o swoje, pragną nie życia czynnego etycznie, lecz cichej i spokojnej śmierci.

Wprawdzie ostatecznie obojętną jest rzeczą, gdzie się umiera? Ale — czyż ucieczka od świata jest w stanie zniszczyć świadomość nędzy moralnej danej jednostki? Przecież stokroć mądrzej i etyczniej byłoby pozostać na świecie i czynami dowodzić hartu duchowego! To wszelako zostaje w sprzeczności rażącej z tradycją czynu religijno-moralnego u członków społeczności rosyjskiej, którymi kieruje odziedziczony instynkt mongolsko-pogański...

* * *

Jakaż tu przepaść szalona pomiędzy narodami, z których jeden żył własną kulturą, drugi zaś pożyczał ją zewsząd, szczególniej zaś ze Wschodu zmurszałego?!... »Prawa człowieka«, wyniesione na pierwszy plan przez t. zw. Wielką Rewolucję fran-

cuską, zasadzały się na równości wszystkich obywateli w obliczu prawa. U nas, w Polsce, zrozumiano tę zasadę tak, iż należy zrównać wszystkich w sposób, iżby nie było różnicy pomiędzy przywilejami możnowładców czy maluczkich. U nas zrozumiano postęp, jako wzbogacenie życia powszechnego przez udostępnienie wszystkim jego dóbr.

Jakżeż na opak wytłumaczyli sobie to wszystko Rosjanie?!...

Oto zrównanie się z ludem stało się równoznacznem z wyrzeczeniem się zupełnem kultury, bodaj najprymitywniejszej. Więc kiedy rozmaici apostołowie »wolności«, pojętej po bizantyńsku, i nowych haseł, niemożliwych do przeszczepienia na gruncie jałowym, wybierali się w pieszą wędrówkę misjonarską między lud — chlubą ich było najwyższą, jeżeli szli nieumyci, nieostrzyżeni, nieuczesani, obdarci, jak potępieńcy z piekła dantejskiego, pozbawiając się z umysłu tego wszystkiego, co kultura wieków stworzyła dla piękności i ulepszenia ciała i duszy.

Ale też wraz z brudem fizycznym, zewnętrznym, nieśli w masy ludowe stokroć ohydniejszy brud duchowy. Podług tych pseudo-apostołów bowiem — miłość, szczęście, zadowolenie własne, nauka — były — ni mniej ni więcej — tylko zbrodnią pospolitą! Wszakżeż sami apostołowie czynni oraz szereg ich sympatyków umieli nie kochać, nie znać szczęścia ani zadowolenia, wreszcie nie chcieli się uczyć, pragnąc natomiast uczyć drugich!

Obecnie zaś filozofująca sofistycznie młoda literatura rosyjska nie tai się bynajmniej z tem, że każdy człowiek jest — podług niej — bestją w ludzkiem ciele, że występki i zbrodnie są mu wrodzone, że zatem właściwą dopiero zbrodnią i grzechem

głównym przeciwko równości jest cnota, w jakiejkolwiekby się objawiała formie.

Ta cecha kultury rosyjsko-azjatyckiej wypowiedziała się wcale jasno i bez zastrzeżeń jakichkolwiek. Aleć — wiadomo powszechnie — że pomiędzy zepsuciem ciała a ducha zniszczeniem zachodzi bardzo ścisłe powinowactwo. Zepsucie bowiem ciała odbiera narodowi wszelką energję i moc duchową, zdusza każdą, drobną nawet, iskierkę szlachetnego porywu i ideału, słowem — uśmierca duszę!

W latach pierwszych konstytucji w Rosję biły gromy tysiączne raz po razie. Wszelako nowa forma życia politycznego wylęgła się nie ze zdrowego nasienia, lecz z plew i pośladu. Jasne płomienie sprawiedliwości zostały zaćmione tumanami dymów gryzących i gazów jadowitych. Sercom brakło uczuć szlachetnych, — umysłom pojęć wzniosłych. Zamiast szacunku uczono pogardy, zamiast miłości — nienawiść wpajano, nienawiść nawet ku własnym ojcom i braciom. Starano się zburzyć wszystko, jakgdyby z rumowisk można było wznieść coś trwalszego. Ha! Aleć owym budowniczym brakło cegły własnej i świeżej!

W filozofji (s i t v e n i a v e r b o!) Gorkiego odbiła się jak najdokładniej filozofja życiowa rosyjska.

Rosyjski socjalizm bowiem zaczyna się stadowością pierwotną, a kończy się nihilizmem i ateizmem najpodlejszego gatunku. Gorkij zaś wyobraził sobie socjalizm, jako jakiś »mit socjalny«, jako religję, której zasad, bodaj najogólniejszych, podać nie był zdolny.

I jeszcze słowo:

Kiedy *u nas* zatracały dusze swoją męskość, kiedy rozpraszały się, zamiast zestrzelać się w jedno ognisko, potrafiliśmy je uzdrowić, podnieść z upadku, skierować ku zespoleniu myśli i ideałów.

Mickiewicz, Słowacki i Krasiński nauczyli nas skojarzenia każdego gatunku pracy z uszlachetnieniem duszy i ideą Chrystusową. Ich duchy wielkie wiedziały, jak sumienie narodu oczyścić z grzechów, jak ducha, przygniecionego ogromem cierpień tantalskich, ukrzepić do dalszej walki usque ad finem, czem rozpraszać cienie złowieszcze w ciemne narodowe noce!...

A czyliż którego z pisarzy rosyjskich stać na to, iżby czystem sercem powtórzył słowa Pankracego z »Nieboskiej Komedji«:

»Galilee vicisti!«

Gdzież — niestety — ma ten Rosjanin szukać swego Boga?... Wśród bałwanów kirgiskich, kałmuckich, czy burjackich?!...

II.

Leonidas Andriejew.

...»A tego wieczora jeszcze wszyscy wierzący dowiedzieli się o strasznej śmierci Judasza, a następnego dnia dowiedziała się o niej cała Jerozolima. Dowiedziała się o niej kamienna Judea i zielona Galileja dowiedziała się o niej; i do jednego morza i do drugiego, które leży jeszcze dalej, doleciała wieść o zgonie zdrajcy. Ani szybciej, ani wolniej, jeno z czasem razem szła ona — i jako niema końca dla czasu, tak nie będzie końca opowieściom o zdradzie Judasza i o strasznej jego śmierci. I wszyscy — dobrzy i źli — jednakowo wydadzą klątwie haniebną pamięć o nim; i u wszystkich narodów, jakie są, pozostanie on samotny w okrutnym losie swoim — ten Judasz z Karjothu, zdrajca«...

W chwili szarzyzny niekulturalnej, czarnych myśli, czerwonego śmiechu, złudzeń różowych i białego całunu, kiedy imperjum rosyjskie, wyczerpane klęskami, ponoszonemi w wojnie o hegemonję na Dalekim Wschodzie, zadrżało w swoich wiązaniach szczytowych i fundamentach wobec widma przewrotu prawno-państwowego, wśród huku pękających bomb i zamachów browningowych wystąpił na arenę literacką pisarz, obdarzony talentem niewątpliwym, ale talentem, obciążonym kompletną dekadencją moralną.

Andriejew, który co parę miesięcy przepadał bez wieści w norach pijackich na orgjach alkoholicznych z bosiakami, stanął wobec Europy kulturalnej, jako sfinks zagadkowy. Europa zachodnia

nie znała ciemnych zakamarków duszy rosyjskiej, skoro więc dzięki jego nowelom ujrzała je, zdumienie ją ogarnęło na samą tylko myśl, iż coś podobnego możliwe jest do pomyślenia nie w fantazji twórczej, ale w rzeczywistości codziennej w... Europie.

Takie były początki rozgłosu »światowego« Andriejewa, który bezlitośnie odsłonił rany, jątrzące szerokie warstwy ludu rosyjskiego w życiu normalnem.

Kiedy zaś nad Rosją zapałały łuny pożarne, kiedy obałamucone hasłami wolności, przechodzącej w anarchję pospolitą, tłumy pospólstwa zaczęły domagać się *ziemli i woli*, w okresie marzeń utopijnych o nieoglądanej dotąd przez świat cały rzeczypospolitej bosiacko-demagogicznej, Andriejew dał w utworach swoich wyraz dobitny tym wszystkim instynktom rozbujałym, grożącym zniszczeniem kultury przedewszystkiem, a tem samem zdarł do reszty płachty ohydne, jakiemi okryty był dotąd ruch, zwany najfałszywiej wolnościowym. Ludzi, wychowanych w pojęciach praworządnych, — ogarnął wstręt. A że dla nich pojęcia wolnościowe rosyjskie były *terra incognita*, więc z konieczności musieli informować się o nich z utworów piewców owej pseudo-rewolucji.

Lecz z tą chwilą gwiazda Andriejewa zbladła..

Fantaści jedynie zacietrzewieni, w rodzaju naszego L. Belmonta, mogli przypuszczać, że Andriejew »pozostanie w llteraturze, a każdy dzień przyszły będzie nadawał mu większą wagę w oczach tych mas, które rozwijać się będą na jego dziełach.«

Jak było z góry do przewidzenia — proroctwa tej kategorji nie sprawdziły się, sami zaś ich propagatorzy uznani zostali za... fałszywych proroków.

Bo i gdzież szukał Andriejew źródeł natchnie-

nia, jakim pokarmem darzył współczesne pokolenia jakie cele, jakie drogowskazy stawiał?...

Odpowiedź na to krótka, choć zbytnio przykra.

Zacząwszy od idealizowania życia bosiackiego, a skończywszy górnemi wezwaniami pseudo-wolnościowemi, Andriejew nie mógł, czy nie potrafił poszukiwać ideałów gdzieindziej, jak tylko w kupach mierzwy gnijącej, wśród żywcem rozkładających się ciał i dusz, zgangrenowanych doszczętnie. Nie bawił się w symbolistykę, nie badał przyczyn ni skutków zwyrodnienia ludzkiego, a dać potrafił jeno materjał *in crudo*, pozostawiając czytelnikowi do woli wyciągnięcie stąd wniosków.

I tego wszystkiego nie śmielibyśmy poczytywać mu za występek, gdyby nie to, że właściwym sobie sposobem ujęcia i przedstawienia przedmiotów, oddziaływał celowo na czytelnika tak, iżby wzbudzić w nim sympatję nawet dla tych wyrodków, co zbydlęceniem swojem mogli współzawodniczyć z bestją dziką. Tak mają się sprawy w odniesieniu do jego utworów pseudorewolucyjnych, jak nie mniej seksualnych.

A skutek takiego przedstawienia rzeczy?...

Oto — czytelnik, uwiedziony sofisterją autora, zaczynał, w miarę wczytywania się w utwory Andriejewa, zatracać coraz to bardziej rozróżnienie pomiędzy dobrem a złem, obcując zaś bez ustanku ze złem, zatracał kryterjum własne i — co najgorsze — kalał swoją duszę brudem, jaki do niej — mimowolnie przylgnąć musiał.

* * *

Historja kultury uczy aż nadto dokładnie, iż pierwszym, a zarazem najważniejszym środkiem deprawacji społecznej jest odebranie danemu społeczeństwu wiary w Boga. Stosowaniem powyższej

teorji — bodaj za pośrednictwem literatury — rozpoczął Andriejew swoją misję, która też dla społeczeństwa rosyjskiego była fatalna.

Bo i on, idąc śladem Gorkiego, choć może z większym talentem, brnie po kostki w błocie grząskiem i obrzuca niem całą naukę Chrystusa, która wydaje się jemu — faryzeuszowską aż nadto. Postawiwszy sobie za zadanie przeprowadzenie takiej tezy, musiał siłą konieczności zatracić objektywność w sądzeniu i wnioskowaniu.

Dla przykładu postaramy się streścić jeden drobny obrazek p. n. »Chrześcijanie.«

Na posiedzeniu Izby sądowej rozpatrują sprawę pewnego indywiduum, które sprzeniewierzyło powierzone sobie cudze pieniądze w jakimś podejrzanym przybytku. Sala rozpraw przepełniona widzami dramatu, w których ani cienia politowania nad aktorami historji arcysmutnej.

Na świadków powołano kobiety publiczne. Prawidłowy tok rozprawy przerywa scena, stanowiąca jądro całego opowiadania Andriejewa. Oto — jedna z owych kobiet odmawia stanowczo złożenia przysięgi, powiadając, iż z natury prowadzonego przez się zawodu, nie może uważać się za chrześcijankę.

Sytuacja staje się wcale głupią. To też przewodniczący trybunału stara się sprostować poglądy tego ciekawego świadka, tłumacząc Karaułowej:

— »Na podstawie, że zajmujesz się prostytucją, nie możesz uważać się za chrześcijankę i nie chcesz składać przysięgi, nakazanej przez ustawę. Otóż takie pojęcie jest błędne... Czy mnie pani rozumie?... Czem się pani zajmuje, to rzecz jej sumienia, a my do tego mieszać się nie możemy; przynależność zaś do wiadomego kultu religijnego nie może również mieć wpływu na jej zajęcie. Czy mnie pani rozu-

mie? Można być rozbójnikiem albo złodziejem i mimo to uważać się za chrześcijanina, żyda lub mahometanina.«

Wobec bezskuteczności powyższych perswazyj, zabiera głos pop, celem przekonania upartej o jej błędnem mniemaniu:

— »Wszyscy, moja pani, grzeszni jesteśmy wobec Pana: jedni myślą, drudzy słowem, inni wreszcie uczynkiem; do Niego, do Najmiłościwszego należy sąd nad sumieniem naszem. Pokornie i z poddaniem się, jak niegdyś wybrany przez Boga Hijob, powinniśmy przyjmować wszystkie dolegliwości, jakie Pan na nas zsyłać raczy, pamiętając o tem, że bez Jego woli ani jeden włos z głowy naszej nie spadnie. Jak wielki byłby grzech twój, osądzenie siebie samej i samowolne odłączenie się od Cerkwi staje się cięższym grzechem, bo targaniem się, mającem na celu zmianę woli Bożej. Być może, iż grzech zesłany ci został, aby cię doświadczyć, nieraz bowiem zsyła Pan na ludzi choroby, albo utratę mienia, pani zaś w pysze swojej...«

Wszelako Karaułowa zbija ojca duchownego z tropu krótkiem zapytaniem: »Jakaż to pycha może być przy naszem zajęciu?...« A na dowód prawdziwości swego zapatrywania zaczyna opowiadać cały szereg faktów z życia swego i swoich koleżanek, mówi z drastycznemi szczegółami, jak z nią obchodzili się »szanowni« goście tych wcale nieszanownych domów, a wszystko to powiedziane jest po prostu, bez ogródek, jakby to chodziło o najcodzienniejsze wydarzenia.

Inne dziewczęta nie odmawiają złożenia przysięgi i dodają tylko wiele nowych szczegółów do zeznań »nie-chrześcijanki«, tyczących się przeważnie »szanownych« gości.

Personel sądowy, a wraz z nim całe audytorjum znajduje się w siódmem niebie, smakując z lubością tak zdrowy pokarm dla duszy, naturalnie — z chrześcijańskiego punktu widzenia. Uwag i dowcipów sypie się grad. A biedny w tem położeniu ojciec duchowny stara się napróżno upewnić »nie-chrześcijankę«, że »to wszystko« jest najzupełniej dopuszczalne i nie sprzeciwia się chrześcijaństwu.

»Na całej sali — powiada Andriejew — niema ani jednej duszy, współczującej ofierze człowieka zwyrodniałego, ofierze, przyznającej się bez ogródek do grzechu, popełnianego codziennie. Oto są »chrześcijanie« — kończy Andriejew rozpaczliwie tragicznym gestem.

Za teren akcji dla opowiadania p. n: »*Mrok*« posłużyły również salony domu rozpusty, chociaż w zupełnie innym celu. Tutaj bowiem chodziło o przedstawienie momentalnego rzekomo obudzenia się pół-świadomości *quasi*-politycznej w umyśle ograniczonym dziewki rozpustnej.

Bohaterem noweli jest rewolucjonista, należący do tej grupy, która czynami terorystycznemi dokumentowała swoje zasady. Zazwyczaj wszystkim przedsięwzięciom jego towarzyszyło powodzenie. W ciągu ostatnich trzech dni jednak okoliczności składały się dlań wyjątkowo niepomyślnie, a nawet wrogo. Jako człowiek, dla którego całe niedługie życie dotychczasowe podobne było do hazardownej gry, rozumiał wszystkie nagłe zmiany losu i odpowiednio do tego umiał liczyć się z niemi. Stawką w tej grze było życie, zarówno własne jak i cudze — i to jedno już wyrobiło w nim rozwagę, szybkość orjentowania się i chłodną, nieugiętą trzeźwość.

Tembardziej trzeba było wykręcać się obecnie, kiedy od dwu już dni ścigany był zawzięcie przez

policję, która odcięła dostęp do wszystkich, znanych mu mieszkań konspiracyjnych. W dodatku okrutne zmęczenie, spowodowane dwudniową bezsennością, stwarzało nowe niebezpieczeństwo. A tu — na dobitek — za jeden dzień miał dokonać z polecenia partji bardzo ważnego zamachu terrorystycznego. Trzeba było tedy za jakąkolwiek cenę przetrwać kryzys.

Koniec końców zdecydował się pojechać do pewnego domu publicznego na przedmieściu, chociaż krok ten przyszło mu uczynić z niesłychaną trudnością. Mimo bowiem 26 lat, był niewinny i kobiet nie znał wcale. A nuż uda się mu tam wypocząć wygodnie bez narażenia na szwank niewinności?...

Znalazłszy się sam na sam z rozpustnicą — dopiero odczuł w całej pełni niewłaściwość sytuacji, w jakiej się znalazł. Nie wiedział, jak i o czem z nią mówić?

Do rozmowy zresztą nie miał najmniejszej ochoty, skoro tylko w pokoiku zobaczył wygodnie zaścielone łóżko. Obszedł je kilkakrotnie, dotknął lekko watowanej kołdry i uradowany nadzieją wypoczynku, usiłował myśleć o zamachu, który miał wykonać. Ale tymczasem myśli plątały mu się w głowie, wypierając jedna drugą. Poprostu tracił zupełnie panowanie nad sobą. Owładała nim coraz to większa senność. Czyliż jednak uda się zasnąć tak bezceremonjalnie w tym lokalu?... Musiał przecież w jakiś niepodejrzany sposób usunąć od siebie wszelkie podejrzenia, jakie dziwaczne zachowanie się jego narzucało gwałtem dziewczynie, która i tak zdziwiona była jego delikatnem i przyzwoitem obejściem się. Zdołał jednak tylko plątać językiem oderwane słowa, nie mające związku najmniejszego.

Na chwilę przed zaśnięciem odżyła w nim gasnąca myśl i zarysowała przed nim obraz,

odzwierciedlający plastycznie całe ubiegłe dwa dni i dwie noce wściekłego pościgu. Czas i przestrzeń stopiły się w tym obrazie w jedną bryłę cieni, mroków i światła, ludzi, snujących się po nieskończenie długich ulicach, i kół, kręcących się nieustannie. Śnił o wydarzeniach dni ostatnich, płynąc niejako w przezroczą, tajemniczą dal bez końca... Dwie godziny minęły od chwili, w której ułożył się w najdogodniejszej dla siebie pozycji, a on ani drgnął, choć dziewczyna, popijając koniak wśród kłębów dymu tytoniowego, wpatrywała się weń nieruchomo.

Zbudził go dopiero hałas, umyślnie przez nią spowodowany. Wiedziony przeczuloną intuicją ostrzegawczą, przykucnął odrazu na łóżku. I wydało się mu, jakoby dziewczyna spoglądała na niego z triumfalnym i złym uśmiechem, jakby uważała go już za swego i jakby chciała nasycić się swoją władzą. Podejrzliwość wzięła górę nad rozsądkiem. Uczuł, że został nie tylko poznany, ale bodaj, czy nie zdradzony już?... I w tej chwili żal wielki ogarnął jego serce. Teraz nie miał już nic do stracenia, więc zaczął wyłuszczać głupiej dziewczynie swoje przejścia, ich powody, zwierzać się ze swoich dążeń i haseł, w jakich służbie zostawał.

Wszelako dziewczyna, której młody anarchista podobał się niezmiernie, którego cnoty ujarzmicielką stać się zapragnęła, nie rada z rozmowy, a pożądająca jego pieszczot, przyjęła jego teorje brutalnie, policzkując z całej siły kilkakrotnie nowego proroka za... obojętność, okazaną jej wdziękom... A jednak w tej heterze najpodlejszego gatunku budzi się momentalnie szacunek dla dopiero co spoliczkowanego mężczyzny. Inni jej znajomi i goście byliby bezwątpienia rozdarli ją za taki uczynek w kawałki. Ten zaś tajemniczy człowiek nie potrafił nic, jak

tylko uskarżyć się po cichu, jak niemowlę!... Zawstydzona umilkła, patrząc z czcią w anarchistę.

On tymczasem przeżywał gorzkie chwile. Jednem z ostatnich słów, jakie usłyszał z ust barwionych dziewczyny bezecnej, była cerkiew. I kiedyż to po raz ostatni był w cerkwi?... Przed nim rozwarła się nowa prawda, nieznana okropność, z której dotąd nigdy nie zdawał sobie sprawy, ba, nawet nie zastanawiał się nad nią. W chwili jednej dusza jego przełamała się zupełnie tak, jak gdyby przełamał laskę na kolanie, a potem odrzucił precz obie części złamane. I nagle, ogarnięty lękiem i trwogą, w bólu i męce duchowej uczuł, że dawne życie skończyło się już dlań na zawsze, że nadal dobrym być nie warto. Dotąd żył wyłącznie myślą iż jest dobry, tem się tylko cieszył, ten pogląd jedynie przeciwstawiał myśli i o życiu i o śmierci. I oto niema już tego wszystkiego, niema już nic. Mrok dokoła, mrok bez końca...

Nie wiedział nawet, kiedy w objęciach wszetecznicy stracił niewinność. Rad był, że mógł stoczyć się w otchłań niepamięci, chociaż nie bezkresnej.

Kiedy obudził się ponownie, ladacznica siedziała na łóżku w błogiem upojeniu, jakgdyby ją szczęście obłąkało. Jemu zaś głowa ciężyła okrutnie To też oparłszy ją na rękach i, patrząc z podełba wzrokiem wilka, o którym nie da się powiedzieć, czy ma być zabity za chwilę, czyli też sam pragnie popełnić samobójstwo, począł myśleć bez związku o tem, że wszyscy dowiedzą się, dlaczego nie wypełnił polecenia partji? Dlatego, że pozostał z dziewką sprzedajną i spił się, jak nieszczęście:

— »Posiadałem wszystko: i rozum, i honor, i godność i nawet — aż pomyśleć strasznie — niewinność; i wszystko to rzuciłem pod nogi pro-

stytutki, wszystkiego wyrzekłem się dlatego, że ona była zła...«

Teraz stracił już wszystko i wszystko na świecie jest dlań obojętne: życie, opinja, przyjaciele. (O Bogu ani mowy, gdyż dawno stracił wiarę w Niego). Teraz już tylko spać albo szaleć... albo jedno z drugiem uprawiać naprzemian. Zasady, hasła — poleciały w kąt gdzieś, jak podziurawione kalosze.

Po szalonej scenie »krasnobajstwa« i pijatyki aż do upadłego w kole zaproszonych koleżanek Luby — następuje znowu lekcja teorji bombowo anarchistycznych. Przepadły ze szczętem bojowiec wyłuszcza Lubie tonem tak spokojnym, jak gdyby opowiadał jaką bajkę niewinną, zasady terorystyczne. W ciemnościach, które rozszerzyły nieskończenie granice pokoju, oczarowanym oczom Luby ukazywała się szczupła gromadka ludzi, dla których zarówno świat, przeciwko któremu walczą, jak i ten świat, w którego obronie walczą, jest jednakowo beznadziejnie wrogi. Wypieścili oni w marzeniach swoich przyszłość daleką, która kiedyś dopiero przyjdzie na świat. Życie ich jest szalenie krótkie i kończy się zazwyczaj szubienicą, katorgą lub obłędem.

Teraz staje się fakt psychologicznie nieuzasadniony. Dziewka bowiem, przedstawiona w utworze Andriejewa, zaczyna wchłaniać w siebie chciwie słowa obitego przed kilku godzinami gościa, »a każde ważkie słowo, jak młot, dotykający gorącego żelaza, wykuwało w niej nową, dźwięczną duszę. Równomiernie opadał ciężar młota, a dusza jej stawała się coraz dźwięczniejsza«. I nagle w »smrodliwym pokoju« dokonało się przeobrażenie dziewczyny publicznej w... rewolucjonistkę! Tak dalece pięknem wydało się jej życie tych ludzi, że »zapo-

mniała o nienawiści dobrych, o łzach i przekleństwach, o długich latach samotnego sieroctwa, spędzonych w domu publicznym«. W jednej chwili zapragnęła wstąpić w szeregi tych burzycieli ładu i porządku społecznego, bez względu na następstwa swego kroku.

Oto — jakiemi drogami kroczyło w latach pseudo rewolucyjnych uświadamianie polityczno-prawne proletarjatu i parjasów społeczeństwa rosyjskiego!...

Świtało już, kiedy do domu publicznego, w którym panowała wówczas cisza niezmącona, zjawiła się policja, zawiadomiona o tajemniczym gościu przez służącego owego lupanaru. W cyrkule domyślono się odrazu, kim jest ów gość, o którego pochwyceniu marzono napróżno już od trzech dni. Otoczywszy kamienicę ze wszystkich stron policjantami i agentami, wtargnięto do pokoju, zajmowanego przez owego groźnego rowolucjonistę. Policja, przygotowana na zacięty opór ze strony osaczonego, zdziwiła się niepomiernie, zastawszy poszukiwanego w jednej tylko koszuli. Na wszystkie pytania aresztowany nie dał ani słowa odpowiedzi: »Poruszał obojętnie nogą i ze złośliwym uśmiechem, z wyżyn swej nowej, nieznanej nikomu i straszliwej prawdy spoglądał na młodziutkiego oficerka. Nie wstydził się bynajmniej, że był niemal nagi i że miał brudne, włochate nogi z powykrzywianemi palcami. I gdyby go — definjuje Andriejew — w tym stanie wyprowadzono na najbardziej ruchliwy plac publiczny w mieście i posadzono go w obecności mężczyzn, kobiet i dzieci, nie stropiłby się tem zupełnie, lecz w dalszym ciągu poruszałby obojętnie swą włochatą nogą i uśmiechał się złośliwie«. Ostatecznie — nie miał teraz już absolutnie nic do stracenia. Był zgubiony. Wszyscy pokpiwali z niego w głos.

Jedynie tylko Luba, w »której duszy — według zapewnienia Andriejewa — kiełkowały już ziarna czynu i poświęcenia«, jedynie owa w ciągu nocy jednej uświadomiona politycznie prostytutka zanosiła się od płaczu, poco nakłoniła go do oddania rewolweru?

Oto — z jakich żywiołów rekrutowały się wybitniejsze osobistości ostatniej pseudo-rewolucji rosyjskiej, chcące na bagnie szczepić latorośle wolności, ale takiej, którą cała Europa cywilizowana uznała jednomyślnie za anarchję, za negację krańcową prawdziwych zasad wolnościowych...

Jakie zaś instynkty drzemały na dnie duszy owego proletarjatu bosiackiego, po którym spodziewano się odrodzenia rozkładającej się Rosji, o tem dowiemy się szczegółów arcysmutnych bodaj z tak drobnego szkicu powieściowego, jakim jest »Otchłań«.

Student Niemowicki wybrał się z koleżanką, śliczną 17-letnią Zinoczką, na przechadzkę do podmiejskiego lasku, nie wiedząc o tem, że lasek jest siedliskiem włóczęgów z pod ciemnej gwiazdy, którzy pospolicie trudnili się kradzieżą i rozbojem, oraz wszelkiemi możliwemi łotrowstwami, a w dniach zawieruchy konstytucyjnej pomnażali tłumy gawiedzi wiejskiej, wiwatując z pełnej piersi na cześć konstytucji, bacząc przytem pilnie, gdzieby, w czyjej kieszeni, najzacniej można się było obłowić.

Pod wieczór, tuż na skraju lasku natknęła się młoda para na takich trzech drabów, którzy czynem zadokumentowali swoje własne pojęcie wolności. Jednem uderzeniem ręki został Niemowicki pozbawiony przytomności. Towarzyszka zaś jego, po dokonanym na niej gwałcie, zosłała przez drabów zaduszona. Tak skończyła się uczta zwierząt, które rozumiały wolność dosłownie, t. j. jako wolność czy-

nienia bezkarnie wszystkiego, co się komu tylko zamarzyło...

W obrazku p. n. »Na alarm dzwonią« mamy znów do czynienia z instynktami niszczycielskiemi »narodu« rosyjskiego z czasów strejków rolnych.

— »Tego gorącego, złowróżbnego lata paliło się wszystko. Paliły się miasta całe, wsie, osady; nawet las i pole nie mogły już ratować się przed ogniem: pokornie zapalał się bezbronny las i czerwonym dywanem legł ogień na zeschłych łąkach. W dzień w zjadliwym dymie chowało się purpurowe, mętne słońce, a nocami na rozmaitych krańcach nieba zapalała się łuna, skakała w milczącym, fantastycznym tańcu... Psy przestały szczekać uprzejmym skowytem, zdaleka nawołującym wędrowca i obiecującym mu dach i wypoczynek, ale wyły przeciągle i żałośnie, albo milczały ponuro, chowając się po dziurach. I ludzie, jak psy, patrzyli na siebie złemi, przestraszonemi oczyma i głośno mówili o podpalaniach i o tajemniczych podpalaczach. W jakiejś głuchej wsi zabili staruszka, który nie mógł powiedzieć, dokąd idzie; a potem kobiety płakały nad zabitym i żałowały jego siwej brody, zlepionej kroplami ciemnej krwi...« Zdawało się, jak gdyby świat miał się już ku końcowi.

Trudno było odróżnić w człowieku niejednym, czy jest on: obłąkańcem, szpiegiem, czy rewolucjonistą?...

»Z tajemnej oddali« powrócił pod dach rodzicielskiego domu młodzieniec w pełni lat rozkwitu, a z jego powrotem w domu zapanował strach i niepokój.

Wszyscy starali się zachowywać i mówić tak, jak zachowywali się i mówili zwykle, nie uważając, że słowa ich brzmią głucho, a oczy patrzą trwożliwie i często zwracają się w stronę przeznaczonego

dla przybysza pokoju. Nikt nie nazwałby go po imieniu, tylko po prostu »on«, a że wszyscy każdej chwili myśleli o nim, więc ta nieokreślona nazwa wydawała się jaśniejszą, niźli całe imię i nikogo nie wprowadzała w błąd. To słowo »on« dobitnie wyrażało strach, jaki wzbudzała jego wysoka, pochmurna postać, choć wszystkim było wiadomo, że na imię mu Kola. Przyszedł w szare, listopadowe południe, kiedy wszyscy domownicy siedzieli za stołem. Zadzwonił tak mocno, że nawet ojciec jego, myśląc, iż przybywa jakaś wyższa figura, wyszedł na spotkanie, strojąc twarz w czuły uśmiech. Ale uśmiech ten znikł natychmiast na widok stojącego w przedpokoju biednie ubranego człowieka. Kiedy zaś ojciec przypatrzył się bliżej tej postaci i poznał w niej syna, powaga zniknęła z twarzy, a na jej miejsce wystąpiła straszna starcza bladość. Ojciec ucieszył się mimo wszystko powrotem zbłąkanej owcy, która tułała się niewiadomo gdzie przez całych lat siedm, nie dając o sobie ni znaku życia.

Coś dziwnego, niedającego się określić bliżej, było w tym przybyszu. Cała postawa jego oraz wyraz głosu wskazywały na to, że uczucie pokory nie mogło mieć przybytku w duszy tego człowieka. Ale jeżeli to był orzeł, to pióra jego ogromnie zgniotły się w potyczce, z której prawdopodobnie zwycięsko nie wyszedł. Bojaźń, jaką ukazanie się jego wznieciło we wszystkich, ustąpiła dopiero wówczas, gdy za Mikołajem zamknęły się drzwi jego pokoju. Ale od tej chwili przestał być gościem, wszelako trwoga rosła, potężniała i objęła wkrótce cały dom, jakgdyby zajął w nim miejsce ktoś tajemniczo niebezpieczny, więcej obcy, niż pierwszy lepszy z ulicy i straszniejszy od zaczajonego mordercy. Gdzie jednak tylko ruszył się, rozsiewał chłód po całej swojej drodze i zmuszał ludzi do

myślenia o sobie, tak jakgdyby w tej chwili właśnie dopuścili się czegoś bardzo złego i występnego, co zasługuje na karę doraźną. Obcy był i wrogi niejako wszystkim i wszystkiemu, co go otaczało, a tymczasem trwoga rosła i potężniała, aż przechodziła w zabobonny strach, prześlizgujący się lodowatą falą przez cały dom, zwłaszcza, że syn nie mógł w żaden sposób dojść do porozumienia z ojcem.

Święta Bożego Narodzenia nadchodziły dla tego domu smutne. Obecność człowieka, który w niczem nie podzielał myśli i uczuć otaczających go ludzi, wisiała czarną zmorą nad wszystkiem, odbierała świętom nietylko ich radosny charakter, ale nawet samą rację bytu. Zdawało się, że Mikołaj sam odczuwał, jakim jest ciężarem dla innych, i prawie nie wychodził ze swego pokoju. Ale niewidzialny wydawał się jeszcze straszniejszym.

Wieczór wigilijny pogodził go zupełnie z ojcem, że zdawało się, iż teraz porzuci życie tułacze i zmieni tryb życia gruntownie. Zaledwie jednak domownicy udali się na spoczynek, Mikołaj chyłkiem opuścił dach rodzicielski i zniknął bodaj że na zawsze w tej ciemnej, tajemniczej dali, skąd tak niespodziewanie przyszedł.

Dotychczas jeszcze nie byliśmy świadkami czynnej walki rewolucyjnej, co najwyżej bowiem dochodziły nas echa jej dalekie, przytłumione.

Cykl swych czynów anarchistycznych rozpoczyna dopiero Andriejew w dłuższej noweli p. n. »Gubernator«, chociaż i tutaj właściwa akcja spiskowa odbyła się za kulisami.

Dwa tygodnie już minęły od chwili, w której na rozkaz gubernatora krew robotników zbroczyła bruk miejski, a bezpośredni sprawca czynu myślał wciąż o wydarzeniu, jakgdyby czas zatracił władzę nad pamięcią i wypadkami lub zatrzymał się, po-

dobny do zepsutego zegara. Kiedy zaczynał myśleć o czemś, chociażby najbardziej obcem, wnet stawał mu przed oczyma tłum robotników, słyszał wystrzały, czuł zapach prochu i krwi. Z początku to kojarzenie się wyobrażeń było logiczne i zrozumiałe, wkrótce jednak widział zawsze jeden i ten sam obraz: powiew chustki białej, strzały, krew, gdzie tylko spojrzał, cokolwiek czynił, na cokolwiek patrzał.

Fakt sam przez się był bardzo prosty, chociaż smutny. Robotnicy z fabryki podmiejskiej, strejkujący od trzech tygodni, przyszli do gubernatora wraz z żonami i dziećmi z żądaniami, których on, jako gubernator, uwzględnić nie mógł. Zachowywali się przytem wyzywająco i zuchwale, wrzeszcząc i wymyślając. Kiedy zaś on pragnął porozumieć się z tłumem i uspokoić wzburzenie, robotnicy zaczęli tłuc szyby kamieniami i zranili policjanta. Wtedy uniósł się i dał wojsku znak chustką.

Tłum był tak wzburzony, że zaszła potrzeba powtórzenia salwy, to też padło sporo trupów. Rannych też nie brakło.

Pod wpływem jakiejś dziwnej, nie dającej się owładnąć, męczącej ciekawości, pojechał oglądać zabitych, złożonych w wozowni straży ogniowej. Trupy leżały we wzorowym porządku w dwu prawidłowo ukształtowanych szeregach, ramię przy ramieniu, twarzami do góry. Następnie podniecony dręczącą go ciekawością, odwiedził rannych w szpitalu miejskim. I od tych odwiedzin smutnych rozpoczęło się coś, z czego nie mógł sobie zdać sprawy, czego nawet nie umiał nazwać po imieniu. Gubernator, tonąc cały w odczuciu czegoś dokonywującego się bezpowrotnie i bezpowrotnie dokonanego, utkwił duchem w chwili, w której rozległy się strzały.

Napróżno starała się uspokoić go żona, na nic nie przydały się perswazje archireja Michaiła, który usiłował uspokoić sumienie gubernatora, równie bezskuteczne było to, czem chciał uspokoić ojca przybyły z Petersburga syn-oficer, nie odniosły też najmniejszego skutku pochwała i najwyższe podziękowanie, otrzymane od panującego. To, co było powinno skończyć się nareszcie, nie przechodziło do przeszłości. Trup zdarzeń minionych, wyrwawszy się z pod władzy czasu i śmierci, tkwił nieruchomo w mózgu gubernatora.

Pod mundurem generalskim odezwało się coś w duszy, jakby wyrzut sumienia, a przedewszystkiem nie mogło zejść z myśli to, że Rosjanin kazał strzelać do Rosjan! Próbował też syn-oficer w dzień swego odjazdu rozwiać wszystkie skrupuły, jakiemi dręczył się umysł ojca-gubernatora:

— »Przecież, — tłumaczył — Niemcy strzelali także do Niemców, Francuzi do Francuzów i t. d. Dlaczegóżby Rosjanie nie mieli strzelać do Rosjan?! Jako działacz państwowy rozumieć powinieneś, że w państwie należy dbać przedewszystkiem o porządek, a kto go łamie, staje się dla nas obojętnym. Gdybym ja go naruszył, musiałbyś strzelać do mnie jak do Turka... Chłopi z Ziewziejewa buntowali się również z głodu, a mimo to kazałeś ich wybatożyć należycie...«

Nie przekonywuje wcale takie dowodzenie starego gubernatora, wierzącego święcie w żydowskie: »krew za krew«... Przeczuwa, że zostanie zamordowany z zemsty:

— »A któż, jeśli nie Rosja mnie zabije? Przeciwko komu sprowadzę Kozaków? Przeciwko Rosji — w imieniu Rosji? Czyż Kozacy, agenci i policjanci mogą ocalić od śmierci człowieka, który ma śmierć, ot.... tu... w mózgu?« — odpala z miejsca

synowi, starającemu się go uspokoić, który nie miał najmniejszego pojęcia o tem, co się dzieje w głębi duszy ojcowskiej i kpił sobie z krzyżów, ofiar, zasady »krew za krew«, uważając to wszystko za jedną wielką niedorzeczność, a conajmniej za fantazję...

Gubernator rozmyślać nie umiał, choć nieraz myślał wiele, i to kazało mu się oprzeć na wierze w fatalizm, w przeznaczenie nieubłagane:

— »Zabiją mnie prawdopodobnie z rewolweru — był wniosek ostateczny rozmyślań — a teraz dobre rewolwery. Bomb w naszem miasteczku robić nie umieją; zresztą bomby przeznaczone są dla ukrywających się działaczy państwowych... Kryć się nie myślę, o, nie!... Żal mnie tylko, że nikt nie dowie się o moich uczciwych i pełnych odwagi myślach. O wszystkiem ludzie wiedzą, lecz o tem, co myślę, nie dowiedzą się wcale. Zabiją jak łotra. Żal mi ogromnie, lecz nic na to nie poradzę. Mówić nawet nie będę, nie warto...« — konkludował w cichej rozmowie z samym sobą gubernator. Podobny był teraz do człowieka, przechodzącego wbród szeroką i nieznaną rzekę; to zapadał po kolana, to na czas pewien znikał pod wodą i po chwili wypływał na powierzchnię blady i pozbawiony tchu.

Już następnego dnia po pogromie robotników, całe miasto, budząc się ze snu, wiedziało, że gubernator zostanie zamordowany. Nikt jeszcze o tem nie mówił, a jednak wszyscy o tem wiedzieli, jak gdyby w ową noc, gdy żywi spali niespokojnie, a trupy w zadziwiającym porządku, noga przy nodze, spoczywały snem wiekuistym, ktoś ciemny przeleciał ponad miastem i rozpostarł nad niem czarne skrzydła. O zamordowaniu gubernatora zaczęto mówić, jak o rzeczy przez kogoś dawno i nieodwołalnie rozstrzygniętej, przeważnie w tonie obojętnym. Co

najdziwniejsze? — to, że zarówno przyjaciele jego jak i wrogowie wierzyli mocno, że zgon jest mu sądzony. Pojęcia i słowa były różne, uczucie wszelako jednakie, przenikające wszystkich, a w sile swojej i obojętności na wyrazy podobne do śmierci samej. Zrodzone w mroku, samo jak mrok niezbadane, panowało wszechwładnie i groźnie. Napróżno próbowali je ludzie oświecić jasną pochodnią rozumu. Zdawaćby się mogło, że prastare, dawno już do snu złożone prawo, śmiercią śmierć karzące, rozwarło zimne powieki, a, ujrzawszy trupy, leżące na ulicy, wyciągnęło swoją potężną, bezlitosną prawicę nad głową zabijającego. Wkrótce w mieście przycichły wszystkie spory na ten temat, strute bezpłodnością. Wszyscy przejęci byli jednem wielkiem, natężonem i groźnem oczekiwaniem.

Naogół jednak było w mieście cicho i spokojnie. Policja wiedziała o pogłoskach, źródła ich jednak nie potrafiłby nikt dociec. W domu gubernatora zaś dowiedziano się o nich nie wcześniej i nie później, aniżeli gdzieindziej. Listy anonimowe z pogróżkami nadchodziły niemal codziennie. Na skazańcu nie wywierały one najmniejszego wrażenia. Wszakżeż tak silnie wierzył w prawo zemsty nieuchronnej! To też nie ukrywał się, lecz odbywał jak dawniej, codzienne przechadzki ku wielkiemu zmartwieniu policmajstra, wierzącego również w nieuniknioną śmierć gubernatora. Wyglądał śmierci ze stoickim spokojem i rezygnacją, ale bez cienia obawy. W przechadzkach swoich mało zwracał uwagi na to, co się działo obok niego, a nigdy nie oglądał się w tył. Lecz i przed sobą widział bardzo niewiele, do tego stopnia pochłonięty był oczekiwaniem tego, co przyjść—podług niego—musiało bezwarunkowo wcześniej lub później.

W ciągu pierwszych dni tych spacerów, z polecenia policmajstra postępowało w pewnej odległości za gubernatorem dwu agentów. Z początku towarzyszyli mu sumiennie, idąc za nim we wszystkich kierunkach, jakie dyktowała mu kapryśna, chwilowa zachcianka. W końcu jednak włóczenie się za człowiekiem, który bez racji kręcił się po najniebezpieczniejszych miejscach, wydało się im bezdennie głupiem. — Wierzyli zresztą, że ochrona ich nie zda się na nic, skoro gubernatorowi pisana jest śmierć, — oni zaś nie są aniołami. Istotnie — obaj ci ludzie nie byli wcale podobni do aniołów-stróżów i nie mieli siły powstrzymać góry, walącej się na skazanego.

Nakoniec stało się to, w co całe miasto wierzyło i czego się tak długi czas spodziewało.

Pewnego poranka, podczas zwykłej przechadzki zbliżyło się na bezludnej ulicy do gubernatora dwu robotników, z których jeden trzymał w ręce podanie, drugą zaś wsunął głęboko w kieszeń. Dla gubernatora sytuacja stała się zrozumiałą w oka mgnieniu. Ale jak gdyby pragnął odegrać komedję bez zarzutu, nie myślał nawet o obronie. Westchnął tylko krótkiem głębokiem westchnieniem i wyprostował się bez lęku. Padł zabity trzema, nieprzerwanie po sobie następującemi wystrzałami, zlewającemi się w jeden donośny huk.

Po upływie kilku chwil nadbiegł stójkowy, za nim agenci policyjni i lud, jak gdyby wszyscy byli zgromadzeni gdzieś w pobliżu i za węgłem oczekiwali końca.

Coś niszczącego wokół wszystko, jak cyklon, przemknęło przez życie miasteczka, a z poza jego powszednich wydarzeń wyłaniała się groźna wizja mściciela...

Ale to jeszcze niczem wobec rewolucyjno-astronomicznego dramatu p. t.: »*Kzwiezdam*«.

Dochodzi skądś wiadomość o pogromie żydowskim...

— Nie trzeba nauki! *Dałoj nauku! K czortu nauku!* Przeklęte gwiazdy! Ja, maleńki Żyd, a słyszę, jak oni tam krzyczą... Kłóli, zabijali, rozrywali w kawałki. Bili za to, że pośród nas urodził się Chrystus, że pośród nas byli prorocy i Marks... Przyzywam żydowskiego Boga: Boże zemsty, Panie Boże zemsty!... sędzio ziemi... zjaw się!...

Mały Żydek wzywa Boga zemsty!... Co za honor?.. co za cześć?... rzecby można.

A więc tenże to wielki Bóg, ów najsprawiedliwszy sędzia świata, miałby być tym, który rzuca pioruny zemsty, miałby być okrutnikiem bezlitośnym, krzewicielem instynktów grzesznych, jako że zemsta jest sama przez się grzechem?!...

Znamy tego boga, pana mroków piekielnych i ciemności wiekuistych, ale imię jego — szatan!...

— Zemsta oprawcom!... — grzmi chór rewolucjonistów, siedzących na wierzchołku góry.

— Ja, Żydek maleńki, który kochał naukę... Gwiazdy przeklęte!...

Zasłona spada... Akt czwarty.., Okazuje się, że syn profesora z powodu długiego siedzenia w więzieniu stał się idjotą. Jak gdyby do stania się idjotą potrzeba było aż tak silnych środków, do jakich liczy się niezawodnie każdy kryminał?!

I ten profesor rzuca okrzyk w dal dalek okrzyk napozór wielki, w rzeczywistości zaś pusty, przerażający swoją bezdenną pustką:

— Witam ciebie, synu wieczności! Witam ciebie, mój nieznany, a daleki druhu!...

— Pójdę w życie! — powiada echowo żona profesora-rewolucjonisty.

— Idź, oddaj mu to, coś od niego wzięła! Zginiesz, lecz zgubą swoją osiągniesz nieśmiertelność. Ku gwiazdom! Witam ciebie, mój daleki, mój nieznany druhu!...

I w tejże chwili profesor wyciąga ręce ku gwiazdom. Na tem kończy się dramat Andriejewa.

Mówiono o nim mnóstwo. Pewna część prasy rosyjskiej przez usta swoich krytyków twierdziła, że o tym utworze »będzie się mówić wiele i długo«. Prasa, jak prasa, mogła tak utrzymywać. Ale mnie żal tego niewątpliwego talentu, którego ogarki już dogasają, chociaż niegdyś płonął iskrą Bożą natchnienia prawdziwego. A ogarki te szerzą wokół siebie tylko zapach cuchnący i kopeć brudny. Niegdyś u Andriejewa były widoczne przebłyski oryginalnego talentu, tchnące promieniami młodej wiosny. Wówczas nie posiadałem się z zachwytu nad jego utworami, co przyświecały, jako płomień jasny. Talent był wielki, chociaż chorobliwy.

Ale teraz chorobliwość przekroczyła możliwe granice. Andriejew przeszedł w stadjum, które medycyna zwykła nazywać *mania grandiosa*...

Nie koniec jednak na tem obłąkanem dążeniu ku gwiazdom niedosiężonym!...

»*Tak było*«... to jakby uwertura do »*Sawwy*«... a przynajmniej coś w tym rodzaju.

»Władzy niema, jest tylko niewolnictwo — powiada Andriejew. — I ten tylko uzyska wolność, kto ją umiłował. Niewolników nie stwarzała przyroda«. (Tylko kto?).

Echa nieskończone, dalekie... Przeszłość i przyszłość.

A gdzież teraźniejszość?...

Chodzi strażnik ogromnego, starożytnego zegara po ogromnej czarnej baszcie, której potężne mury ongi wybudowali rozbójnicy, a obecnie baszta ta służy za więzienie dla ważnych, niebezpiecznych zbrodniarzy.

Tak było... tak będzie... tak było... powtarza monotonnie bez przerwy strażnik zegarowy.

Słowa powyższe stanowią ideę całej opowieści Andriejewa, opowieści, powtarzającej tylko hasła Gorkiego, słowa, które pod pokrywką dekadentyzmu noszą wybitne piętno dążności rewolucyjnych, oczywiście w duchu rosyjskim.

I jakżeż to było?... jak może będzie dopiero?..

Ponad ogromnym krajem, w którym było wielkie miasto z potężną wieżą i z ogromnym zegarem unosił się człowiek, władca zagadkowy miasta owego i kraju. Nazywał się królem »Dwudziestym«, gdyż wszyscy jego poprzednicy nosili to samo imię... Pochodzenie jego ginęło w mrokach niepamięci.

»Król rodził się i umierał, jak wszyscy — powiada Andriejew. — Ale gdy ludzie spostrzegli, jak wielka władza spoczywa w jego ręku, zaczęli myśleć, że on jest Bogiem«. Bóg dał swoje przykazania, król dawał także swoje w postaci ustaw. Bóg przykazań swoich zmienić nie mógł, on mógł tyle razy, ilekroć mu się podobało. I chociaż nie mógł darzyć życiem, jak Bóg darzy, dawał śmierć...

W państwie Dwudziestego wszczęła się rewolucja. *Narod* nie chciał słuchać nikogo, tuż, tuż, a Dwudziestego przepędzonoby conajmniej za dziesiątą górę. *Narod* zapragnął ujrzeć swego władcę i tłumnie podążył pod pałac. Władca ukazał się na balkonie, przemówił kilka słów, a z tłumu, który do niedawna jeszcze myślał, że król przygotowuje nań oprawców, padły słowa czci najgłębszej...

Wystarczyło jedno, jedyne słowo: »*Raby!*«... ażeby nastrój mas zmienił się wprost diametralnie.

»Nad miastem zawisły straszne sny«...

A potem zaczęła się rewolucja — można przypuszczać, że to rewolucja francuska z 1789 roku, ale też — może być — że całkiem inna...

A dalej apoteoza anarchji, walka przeciwko temu »mitycznemu smokowi«, za jakiego Andriejew uważa każdego monarchę, chociażby jak najbardziej ograniczonego w swoich prawach i prerogatywach, przysługujących wszędzie głowom koronowanym.

Wnet zamiast wyrazów czci — daje się słyszeć okrzyk złowrogi: »Śmierć Dwudziestemu!...«

Na latarniach wiszą już zdrajcy *narodu*. Kraj cały wzdłuż i wszerz ogarnęły płomienie powstania. Kraj cały domaga się sądu nad królem, sądu straszliwego. Teraz dopiero ma go dosięgnąć zemsta »narodu« straszliwa, powiada z emfazą Andriejew.

— Niema króla, niema też Boga, tego króla i tyrana niebios!...

Tyran ziemski już powieszony z wyroku ludu swojego. Dwudziesty nie istnieje.

A tłum różnobarwny, upojony siłą brutalną, ryczy: »Wolność, wolność!« — dniem i nocą. Tak, wolność!...

I tylko z wysokiej baszty od strony ogromnego zegara słyszeć się daje monotonny głos strażnika wieżowego:

— Tak było... tak będzie!... Tak było... tak będzie!...

Albo »*Sawwa*«, którego ukazanie się narobiło tyle hałasu?!... Czyliż chociaż o odrobinę jest inny od swoich poprzedników?... Gdzież tam!

Na pierwszy rzut oka może się łacnie wydać jakoby różnił się wcale niewiele od typów rewolucyjno-bosiackich Gorkiego.

— Człowiekiem jam jest, który raz się rodził— monologował Sawwa. — Widziałem kościoły i więzienia, uniwersytety i domy publiczne, fabryki i galerje obrazów, pałace i mieszkania robotnicze. Ale, kiedy obliczyłem, ile więzień przypada na jedną galerję obrazów, przyszedłem do przekonania, że cały ustrój społeczny musi ulec przewrotowi...

Napozór jest to zupełnie równoznaczne z tem, co zwykli głosić aż do znudzenia rozmaici »bohaterowie« Gorkiego.

W rzeczywistości zaś ma się rzecz zgoła odmiennie, całkiem inaczej.

Sawwa Andriejewa bowiem nie staje do walki z urządzeniami państwowemi, lub z pewną warstwą społeczną, lecz występuje przeciwko niewolnictwu przeważnej części ludzkości.

Paradoksalny jest jednak, jak wielu, wielu jemu podobnych w dobie zawieruchy pseudo-rewolucyjnej rosyjskiej.

— Niema nic straszniejszego — powiada z przekonaniem głębokiem — jak przyjście na świat człowieka.

Sawwa pragnie rozwiązać wielką zagadkę życia i bytu ludzkiego, nie zastanawiając się nad tem, jak wielce jest ona skomplikowana.

I podczas, gdy łamie sobie głowę nad tą kwestją, widzi dokoła siebie mnóstwo ludzi szczęśliwych, zadowolonych ze swego losu, odpowiadających sobie na postawione przez Sawwę pytanie w sposób najdogodniejszy dla nich. Odpowiedzi te uważa Sawwa za godne niewolników lub ich właścicieli. A przecież! — sądzi — człowiek, wypowiadając się, powinien być całkiem szczery i otwarty do

głębi duszy, — »nagi na nagiej ziemi, jak matka urodziła. Niema na sobie ani spodni, ani orderów, ani kieszeni — nic. Pomyśl: człowiek bez kieszeni — no! cóż to jest? Wobec tego bracie, nawet ikona niczem... Dynamit silniejszy od ich Boga! A człowiek silniejszy od dynamitu!...«

W takiej definicji uważa Sawwa swój ideał za skończony.

Dlatego też należy wygubić wszystkich; całe pokolenie obecne, co przesiąkło do szpiku kości: fałszem i hipokryzją, obłudą i tchórzostwem przed prawdą. Niewolnicy muszą ustąpić miejsca ludziom!

Ale jakim?... — oto pytanie wcale niemałoważne, zwłaszcza, o ile chodzi o ideały Andriejewa.

Sawwa wyznaje pozatem dosłownie, jak ewangelję, doktrynę o grzechu i niesprzeciwianiu się złu — Tołstoja.

Cóż znaczy, iżby ludzie wyznawali jakąkolwiek wiarę? — dodaje po monologu o grzechu nawiasowo od siebie.

Ludziom, ich sercom i duszom trzeba naprzód odebrać ich Boga, tego Boga, co jest twórcą dusz niewolniczych i w którego istnienie mogą wierzyć sami tylko niewolnicy. Raz nakoniec trzeba bezwarunkowo rozwiązać odwieczną zagadkę bytu ludzkiego. Precz z wiarą! precz z tajemnicami!

Ażeby podkopać wiarę w Boga u prostego ludu, Sawwa, nie ustępujący bynajmniej w świętokradztwie sprawcy zrabowania obrazu cudownego Matki Boskiej Kazańskiej, który spalił po zdarciu z niego kosztowności, stawia w cerkwi pod obrazem, cudami słynącym szeroko, machinę piekielną. Ujrzą ludzie, jak ich Bóg, potrzaskany w drzazgi, leci w powietrze i pozbędą się wiary ojców swoich w jednej chwili — już na zawsze!

Zdrajca jednakowoż tego piekielnego pomysłu znalazł się w osobie przyjaciela Sawwy.

Przełożony klasztoru, dowiedziawszy się od niego o mającym nastąpić zamachu, każe obraz cudowny usunąć chwilowo z ołtarza. Skoro zaś tylko machina piekielna wybuchła, obraz zjawił się nieuszkodzony na swojem dawnem miejscu. Zamiast spowodować upragnione zachwianie wiary, Sawwa przyczynił się, wbrew swoim intencjom, do jej utwierdzenia. I kończy ów rewolucjonista, widząc swoje plany w niwecz obrócone, takiem beznadziejnie rozpaczliwem: *Mundus vult decipi — ergo...* Sawwa zapomniał policzyć się z najpotężniejszym swoim wrogiem — z rzeczywistością.

»Nagi na nagiej ziemi, jak matka urodziła...« Andriejew nie widzi lepszego i skuteczniejszego lekarstwa na chorobę społeczną Rosji — od zniszczenia, od śmierci nagłej.

Prawda! — wszak śmierć jest najlepszym i najradykalniejszym środkiem przeciwko chorobom wszelkiego rodzaju, nawet przeciw najcięższym ...

Nie wystarczy wykrzykiwać ciągle, aż do znudzenia powtarzane hasło: »Śmierć burżujom!...«

Przedewszystkiem trzeba samemu nie należeć do ich liczby. A jednak — śmiem twierdzić — ta gwiazda literatury rewolucyjnej rosyjskiej, ten tak uwielbiany Andriejew, sam pełen jest, że użyję określenia, używanego często przez pseudopostępowców —uczuć i nastrojów burżuazyjnych. Pomimo wszystko duch burżuja w nim żyje!...

Żyje zaś przedewszystkiem w utworach, do pewnego stopnia mających znaczenie zasadnicze w twórczości Andriejewa, utworach, mających być ekspiacją tego wszystkiego, co cały świat uznał, jako sędzia bezstronny, za zbrodnię pospolitą. Ażeby zaś zamaskować właściwe tendencje, które ni-

komu bezwarunkowo nie zdolne są przynieść chluby, Andriejew, oprócz sofizmatów, wcale pospolitych we wszystkich katechizmach anarchistycznych, był zmuszony uciec się do symboliki, ale tak naiwnej, że nie zaćmi ona wzroku nawet laika bystrzejszego cokolwiek. Tak przedstawiam sobie genezę potwornego dramatu, któremu na imię »*Car-gołod*«.

Główny nacisk położono tutaj na efekta czysto zewnętrzne, działające doraźnie na zmysły podrażnione, ale nie mogące poruszyć umysłu zrównoważonego, obojętnego na akcesorja sceniczne, do nużąco zaś przydługich aktów pięciu dorobiono jeszcze coś w rodzaju prologu symbolistyczno-satanicznego.

Prologu czasem — noc. Miejscem — szczyt jakiejś prastarej dzwonnicy katedralnej, skąd roztacza się widok na całe miasto, tonące w świetle latarń ulicznych. Na platformie dzwonnicy: Król-Głód, Śmierć i stary Czas-Dzwonnik. Same personifikacje na sposób antyczny, jak gdyby nie można było zastąpić ich czemś realniejszem...

Wszystko to ma być czemś arcywzniosłem, arcyważnem i decydującem bez odwołania. Na to — zgoda. Ale pocóż te spory jałowe, jakie toczą pomiędzy sobą na przemiany: Czas, Śmierć i Król-Głód, wypominając jedno drugiemu rzekome wady, stanowiące w rzeczy samej wszelako ich istotę?...

Skarg w tym prologu nadmiar absolutny: Czas wyrzeka na to, że jęk ziemi przeszkadza mu w spoczynku do tego stopnia, że radby już zamrzeć; Król-Głód znów roni łzy krokodylowe nad słabymi. Wszakżeż zamiarem jego było stworzyć państwo ludzi silnych, kiedy tymczasem zdołał stworzyć — państwo morderców, kłamców i zbrodniarzy wszelkiego gatunku. Rozmowa cała toczy się w tonie takim, że nawet Śmierć drżeć zaczyna wśród tych

czeluści ciemnych, widząc w dole pod sobą rzęsiście oświetlone ulice miejskie i jęki słysząc tych parjasów społeczeństwa, co nawet w snach ciężkich śnią o buncie. A niebawem — zapewnia Czas — dadzą się słyszeć inne krzyki. W nich będzie wrzeć gniew, bo wśród ludzi zawsze dużo bólu, który jest gniewu wściekłego rodzicem. Rad temu, chociaż pozornie okazuje krztę litości, Król-Głód, nazwany przez Czas »wielkim zdrajcą, kłamcą pierwszorzędnym...« Strasznie jest wszędzie, ale najstraszniej wśród — ludzi!...

Treść aktu pierwszego zawarł autor w zdaniu następującem: »Król-Głód wzywa robotników do buntu...«

Odpowiedni też do takiego założenia scenarjusz. Zakłady fabryczne. Zewsząd daje się słyszeć rytmiczny huk maszyn, pomieszany z głosami obsługujących je robotników. Jak przez mgłę widne koła. obracające się w szalonym rozpędzie, przypominające kształtami skrzydła bajecznych ptaków-olbrzymów. Pośród tego mrowia maszyn ludzie wyglądają jak mikroskopijne mrówki. Ruchy ciał ich jednakie, jednaki rytm uderzeń młotów, chwilami silniejszych lub słabszych...

Wyrzekanie wszystkich robotników, sprowadzone do wspólnego mianownika: »Jesteśmy głodni!...« grzmi chóralnie.

— Dniem i nocą śmiga piła, rozkrawując stal. Dniem i nocą w moich uszach śmiga piła, rozkrawując stal. Wszystkie sny te, które widzę, wszystkie pieśni i słowa słyszane, to dźwięk piły rznącej stal. Czemże jest ziemia? To zgrzyt piły. Cóż to jest niebo? To zgrzyt piły, rznącej stal. Dzień i noc.

Nikogo chyba nie zadziwi, skoro po takiej introdukcji zaintonuje Andriejew (boć w dramacie nie

zaznaczono, kto ma śpiewać?) »Hymn na cześć maszyny«:

— Kto najsilniejszy ze wszystkich na świecie? Kto najstraszniejszy ze wszystkich na świecie? Maszyna. Kto z pośród wszystkich najpiękniejszy, najbogatszy i najmądrzejszy? Maszyna. Czem jest człowiek? Maszyną. Maszyną...

...Ty, stojąca ponad światem; — ty władczyni ciał, pomysłów i dusz naszych; — ty, sławna, nieśmiertelna, przemądra maszyno — oszczędź nas! Nie zabijaj nas — nie kalecz — nie męcz tak strasznie! Ty, najnielitościwsza z nielitościwych, ukuta z żelaza, ogniem dysząca — daj nam bodaj odrobinę wolności! Przez dym twoich szkieł, przez dym twoich rur — nie widzimy nieba, nie widzimy słońca! Oszczędzaj nas!...«

Któż tedy uwolni tych ludzi od władztwa maszyn, kto ukaże im niebo i słońca promień bodaj jeden?

Król-Głód! Tak, on, choć wszystkim wiadomo, że straszny on. Ale moc jego ogromna. Wszakże on zabija matki i dzieci i żony robotników fabrycznych, wszak jego to cień stoi bezustannie u wrót domostw biednych, I niema, gdzieby znaleźć można schronienie przed nim, bo włada on nad ziemią całą wkrąg. On jest mordercą, ale potrafi być także wybawicielem, bo daje robotnikowi siłę, o jakiej wie tylko człowiek głodny. Bo i przed czem głodny czuje bojaźń?...

Hymn ludzi głodnych poruszył zakamieniałe serce Króla-Głodu, który zjawia się w pełni majestatu. Wysoki, chudy, o twarzy zczerniałej i zrozpaczonych oczach. Na głos jego gromadzą się w krąg robotnicy fabryczni bez wyjątku, narówni suchotnik z tym, którego budowa przypomina Herkulesa.

Król-Głód zna tylko jeden sposób uratowania głodnych przed niechybną śmiercią: — bunt!

A kiedy jeden z robotników zapytuje go rozpacznie, jakżeż to możliwe »przez gwałt do wolności?... przez krew do miłości i pocałunków?...« Car-Głód nie zna innej odpowiedzi poza tą, że.. drogi innej niema... Tego hasła trzyma się większość robotników, która tak nadal żyć nie może, gdyż — (ach! jakżeż to tani frazes!?) lepsza śmierć niźli takie życie!... Ale też nie zna sposobu skutecznego, w jaki możnaby osięgnąć marzenia owe złote:

— »Posłuchajcie mnie, dzieci moje — powiada z rezygnacją udaną... — Jam sługą sytych. Jam najemny morderca w ich rękach, kat, karzący tylko niewinnych. O, chytry, o, podły człowieku, cóżeś ty ze mną uczynił?!... Dzieci, o, kochane dzieci moje! Popatrzcie na las, zajrzyjcie w głębiny rzek, mórz i błot, gdzie panuję jeszcze niepodzielnie — jak tam ładnie! Wszystko wzmaga się, wszystko rośnie, wzrasta w siłę i barwy, usiłuje stać się tęczą i bóstwem — jak tam prześlicznie?! I tam sporo trupów, ale niema zabitych, ani straconych niewinnie, gdyż jam król Sprawiedliwości w wielkiem mojem państwie! A tutaj? O, chytry, o, podły człecze! Nic nie wart, syty siedzi i przepędza mnie po świecie, jak wściekłego, ale posłusznego psa. Królu-Głodzie, tutaj! Królu-Głodzie, tam! Zabij ich! Pozbaw ich sił! Wyniszcz młódź i kobiety!... Głodni — ze mną naprzeciw sytym! Zwrócimy człowiekowi jego siłę i piękność, rzucimy go znowu w ruch nieustający! Za mną głodni! Kto powiedział, żeście słabi? Wyście siłą ziemi...« grzmi na cały głos, wzywając do buntu masę ciemną, wynędzniałą, miejscami pozbawioną już siły panowania nad instynktami.

A kiedy roztropniejsze głowy odzywają się głosem przestrogi, iż niema co iść z gołemi rękami na karabiny i armaty, że przeciwko maszynom nie poradzi nic, Król-Głód, tupnąwszy z niecierpliwości nogą, krzyczy niepohamowanie, jak jaki podrzędny agitator na ladajakim wiecu, iżby zniszczono maszyny! Kiedy zaś powiadają mu inni o armatach, coraz natarczywiej, — bez zająknienia radzi, iż należy armaty odebrać od wojska. I chociaż znaleźli się wśród robotników oponenci, wcale rozsądni, pragnący wstrzymać tłum od szaleństw, przecież Król-Głód okazuje się od nich mocniejszym. Wezwanie jego jedno skutkuje znakomicie, gdyż groźba śmierci głodowej jest istotnie straszna. Cóż począć? Komu pisana śmierć? — a komu życie?...

W akcie drugim Król-Głód podnieca do rozruchów głodną czerń uliczną zgromadzoną w nocy tuż obok pałacu magnackiego, w którym odbywa się właśnie zabawa. Na zgromadzenie to, będące parodją posiedzeń różnorakich, przybyły same wyrzutki społeczeństwa, szumowiny wielkomiejskiego bruku, a wśród nich widzimy: chuliganów, morderców, złodziei kieszonkowych, sutenerów, wreszcie prostytutki i wszelkiego rodzaju »ścierwo«. Niemal wszyscy z uczestników tego zgromadzenia zaopatrzyli się w wódkę. To też wnet niektórzy zasypiają a jedna dama chrapie w głos. Ba, okazuje się, nawet, że sam przewodniczący zgromadzenia jest pijany! Zostaje tedy bez ceremonji strącony z trybuny prezydjalnej, jego zaś miejsce zajmuje chuligan o twarzy śmiertelnie bladej, bezkrwistej, który na pierwszym punkcie stawia dyskusję nad sprawą zniszczenia powszechnego. Debaty nie trwają długo, wszyscy bowiem bez wyjątku zgadzają się na pogląd, wypowiedziany przez jednego z mówców:

— Myśmy głodni i jak psy wyrzuceni w nocy Nas ograbiono i odebrano nam wszystko: siłę zdrowie, rozum, piękno...

Tłum potakuje żywo, wyjąc: »A ich kobiety są piękne!... I mężczyźni także...«

Podniecony uznaniem mowca ciągnie dalej z za pałem ognistym, dobierając coraz energiczniejszych zwrotów:

— Myśmy bezwstydni, bezbożni, bez sumienia a na całej ziemi nic nie mamy. Myśmy gorsi od bydła dlatego, *że byliśmy kiedyś ludźmi.* Stawiam zatem wniosek: rozburzyć, zniszczyć, zetrzeć z powierzchni ziemi. Sposobem ku temu: zatrucie ich wodociągu.

Ale że o truciznę trudno, tedy inni proponują środek doraźniejszy: mordowania bogatych na ulicach. I ten środek okazuje się niemożliwym do wykonania, gdyż na usługach klas posiadających stoi policja. To też ktoś rzuca myśl, iżby zarazić ogaczy chor obami płciowemi. Ale i ten plan nie powiedzie się, skoro bogaci mogą i mają za co się leczyć. Ostatecznie okazuje się, że parjasy społeczeństwa są bezsilne wobec potęgi klas uprzywilejowanych. Bezradność maluje się na twarzach wszystkich.

Kiedy więc na zgromadzenie przybywa Król-Głód, wszyscy z jękiem, płaczem i szlochaniem zwracają się ku niemu z błaganiem o pomoc. On zaś umie podnieść proszących na duchu:

— Dzieci moje! Ukochane dzieci Głodu! Nieszczęsne dzieci wy moje!... rzęży drżącym głosem, miłościwie, jak dziecko.

Nikt nie traci nadziei, że jedynie Król-Głód poda radę stosowną i możliwą do praktycznego przeprowadzenia. To też odkrywają przed nim tajniki dusz swoich:

— Jam nierządnica, powiada jedna z kobiet. Mam teraz lat dwanaście, chociaż pozornie wydaję się nieco starszą. A kiedy miałam dziesięć lat, matka sprzedała mnie jednemu panu za 20 rubli i za butelkę wódki. To niedrogo, ale matka była wtenczas niedoświadczona, jako że byłam pierworodną jej córką; inne poszły za drogie pieniądze... Od tego czasu, ot, już dwa lata, a ja każdej nocy mam jednego lub dwu mężczyzn, ale płacą oni niedrogo. I pieniądze moje — czyliż to moje pieniądze? — oddaję je kochankowi, żeby mnie nie bił tak bardzo...

Zwierzenia te wywołują wybuch wściekłości pośród zgromadzonych, którzy nie widzą innego sposobu ratunku, jak tylko rzeź zamożnych i rabunek ich mienia. Są pomiędzy temi szumowinami serca jeszcze niezepsute doszczętnie. I tak jedna z kobiet stawia wniosek, ażeby nie mordować niewiast i dzieci. Ale wezwanie takie nie znajduje posłuchu, gdyż — jak rozumują zgromadzeni — dzieci wyrosną, a zresztą kobiety będą rodzić w dalszym ciągu... Inny znowu chuligan, który był kiedyś studentem wydziału prawniczego, prosi, iżby dla pewnych specjalnych wypadków uczyniono wyjątek. Bo, jeżeli ktoś z organizacji owej bosiacko-łotrowskiej utrzymuje stosunek z kobietą z towarzystwa, a rezultatem tego stosunku jest dziecko, czy należy zabijać także takie dziecko, urodzone z tego *quasi*-morganatycznego związku?

Dyskusji tej bezładnej kładzie kres przemówienie ostateczne Króla-Głodu, wskazujące bez ogródek tłumowi drogę, jaką winien postępować:

— »Poczekajcie, dzieci moje. Przeminą krótkie dni i Czas znowu uderzy w dzwon trwogi. I wówczas — na ulice, na domy! A na razie — wypełzajcie potrosze z waszych nor. Czarnemi cieniami

ostrożnie przekradajcie się wśród tłumu — i gwałćcie, zabijajcie, kradnijcie i śmiejcie się, śmiejcie się! Już lżejszym stał się oddech... zbliża się noc. A kiedy uderzy dzwon ...«

Słów dalszych nie słychać wśród ryku oszalałej z radości bandy chuligańsko-rozbójniczej.

Za przewodem Króla-Głodu, który puszcza się w ochocze pląsy ze Śmiercią, kokietującą na wszystkie strony, cały tłum zaczyna tańczyć — taniec śmierci...

W akcie trzecim jesteśmy świadkami sądu nad głodnymi, który Andriejew sparodjował w najdrobniejszych szczegółach z wszystkiemi akcesorjami, towarzyszącemi sądom zwyczajnym

Za stołem usadowiło się pięciu sędziów: dwu nadzwyczajnie chudych, dwu przerażająco otyłych. Piątym jest Król-Głód w charakterze przewodniczącego. Za osobnym stolikiem urzęduje Śmierć. Na sali tłum widzów: kobiety w przepysznych sukniach, silnie wydekoltowane, obsypane kosztownościami; mężczyźni, przeważnie we frakach, starannie ogoleni i uczesani. A wszystkie te właściwości, zarówno: chudość, jak otyłość, piękność i brzydota, są wprost rażące.

Przesłuchanie nędzarzy obfituje w szczegóły wprost przerażające swoją okropnością, jakgdyby zostały wyjęte z jakiejś nieprawdopodobnej historji-bajki.

I tak jeden z głodnych opowiada, jak to dzieci jego pomarły z głodu. Kiedy zaś Król-Głód zadaje mu pytanie, dlaczego on sam nie zechciał pójść za przykładem dzieci, nędzarz odpowiada naiwnie, że chęć życia jest w nim silniejsza nadwszystko. Na wniosek Śmierci sędziowie wydają wyrok potępiający.

Inny przestępca opowiada z brutalnym cynizmem, jak to w lesie zgwałcił jakąś panią. »Przecież za mnie i tak nie poszłaby ona zamąż. A ja jej tak zapragnąłem...«

Kiedy zaś Król-Głód zapytuje go, dlaczego nie zadowolił się kobietami ze swojej sfery, odpowiada równie cynicznie:

— Nasze kobiety są niezgrabne i brzydkie przez niedostatek i pracę. A ta była śliczna i wiotka, białoręka...

Następnie wprowadzają przed kratki sądowe młodą, strojną, ale wyniszczoną haniebnie kobietę o bladej, tragicznej twarzy. Opowiada głosem nawpół umarłym:

— Szłam w nocy ze swoją córeczką przez rzekę, po bardzo długim moście. A żem już przedtem powzięła decyzję, więc wyszedłszy na środek, gdzie rzeka głęboka i rwąca, powiedziałam: popatrz doniu, jak szumi w dole woda... A kiedy zaczęła patrzeć w dół, w głębię czarną, strąciłam ją...

W rozprawie następuje przerwa. Sędziowie razem z publicznością zasiadają do jedzenia. Ale i ta scena wypadła karykaturalnie, celem tem dosadniejszego uwydatnienia kontrastu, jaki zachodzi pomiędzy podsądnymi a sędziami i publicznością. Tędzy lokaje w paradnych liberjach, z trudnością roznoszą ogromne półmiski z gigantycznemi porcjami w postaci całkowicie upieczonych udźców baranich, wysokich, jak góry, rostbeafów, jednemu zaś z gości podają całego wieprza pieczonego, którego przynosi aż trzech lokai. Słychać częstą czkawkę, rozmowa zaś prowadzona jest z pewnem przytłumieniem w głosie, tak łakomie obżerają się wszyscy.

Następuje dalszy ciąg rozprawy. Wprowadzają człowieka, niepoczuwającego się wcale do winy.

Na sali widoczne jest ogólne zdziwienie, że aż sam Król-Głód musi wytłumaczyć audytorjum, na czem to polega właściwa wina tego osobliwego podsądnego:

— Widzę, panowie, że dla was nie jest zupełnie jasna wina tego człowieka. A jednak jest ona wielka i wy ją zaraz zrozumiecie. On jest sługą, a jak na sługę zanadto silny i uczciwy. Już przez to samo obraża nas, ludzi o wydelikaconej kulturze i stąd — nie silnych. A zatem: dzisiaj jest on posłuszny, ale któż zaręczy za dzień jutrzejszy? I wówczas w jego sile i uczciwości znajdziemy wrogiego i niebezpiecznego wroga. Nie ulega wątpliwości, że winien on śmierci — w imię sprawiedliwości...

Po przesłuchaniu i skazaniu kilku jeszcze oskarżonych, przewodniczący Król-Głód zwraca się do audytorjum z dłuższem przemówieniem:

— »Dziś uczestniczyliście, panowie, w wysoce pouczającem widowisku. Wieczny niebieski wymiar sprawiedliwości, znalazł w nas, sędziach, świetne odbicie na ziemi. Poddając się tylko przykazaniom odwiecznej sprawiedliwości, obcy żalowi nad przestępcami, jednakowo przyjmujący modlitwy i przekleństwa, słuchając jedynie głosu naszego sumienia, olśniliśmy ziemię światłem rozumu ludzkiego i wielkiej, świętej prawdy. Nie zapominając ani na chwilę, że zasadą życia jest sprawiedliwość, w swoim czasie ukrzyżowaliśmy Chrystusa i od tego czasu aż po dziś dzień nie przestajemy upiększać Golgoty nowemi krzyżami. Ale, naturalnie, tylko rozbójnikami, tylko rozbójnikami. Nie oszczędziliśmy Boga w imię ustaw wiecznej sprawiedliwości — więc czyż mamy stropić się wyciem tej głodnej, bezsilnej tłuszczy, jej przekleństwami i gniewem! Niechaj przeklinają — nas błogosławi samo życie, swoim płaszczem otuli nas wielka święta prawda

i sam sąd historji nie będzie sprawiedliwszy od naszego sądu. Cóż zdziałali oni swojemi przekleństwami? Co? Oni — tam, a my — tu. Oni w więzieniach, na galerach, na krzyżach, — a my pójdziemy do teatru. Oni zdychają — a my będziemy ich kąsać — kąsać — kąsać!... — kończy Król-Głód wśród śmiechu słuchaczy i ogólnego ich zadowolenia.

W akcie czwartym mamy bunt głodnych i zdradę Króla-Głodu, wydającego czerń uliczną, obałamuconą przez niego samego, w ręce wrogów.

Rzecz dzieje się w pałacu, strzeżonym pilnie, tutaj bowiem schronili się wszyscy, obawiający się rozruchów ulicznych. Spotykamy zatem widzianą już w sądzie publiczność, wspaniale wystrojone panie i panienki, mężczyzn we frakach i surdutach. Na sali toczy się żywa wymiana słów pomiędzy poszczególnemi grupkami gości. Ale spokoju tu niema. Od czasu do czasu niektórzy, z zachowaniem jak najdalej posuniętej ostrożności, podchodzą do okien i wyglądają na ulicę, skąd dochodzi jęk dzwonu, oraz głos zachrypłego rogu Śmierci, raz daleki, to znowu bardzo bliski.

Rozruchy nastąpiły tak nagle i niespodziewanie że wielu nie chce w nie uwierzyć. Przecież wczo, raj panował wszędzie wzorowy ład i niezamącony niczem spokój!... Co najgorsze?... Oto to, że ani sposób zmierzyć energję, nagromadzoną w tych ciemnych nieszczęsnych masach. Być może, iż wystarczy ona jedynie na bardzo krótki przeciąg czasu, ale nie jest też wykluczona ewentualność o wiele groźniejsza, iż energja ta zwali wszystko w proch i zniszczy całkowicie kulturę.

Dyskusję przerywa przybycie młodzieńca, zadyszanego, w podartem ubraniu. Twarz jego trupioblada, na głowie widnieje krwawe znamię. Przybysz

który wyrwał się jak gdyby z drugiego świata, opowiada bezładnie o tem, co się dzieje w mieście. Tam powietrze przesiąkło krwawą mgłą. Trupów mnóstwo pod nogami. Pogorzeliska dymią. Szaleje tłum okrwawiony, mordując i niszcząc wszystko i wszystkich. Wprost zdaje się, jak gdyby bestje dzikie wyległy ze swych legowisk leśnych. Przerażenie straszliwe ogarnia zgromadzonych. Co począć teraz?... Dokąd schronić się przed tym nieubłaganie niszczącym wszystko żywiołem?...

Jakiś staruszek w mundurze przebąkuje delikatnie o konieczności reform, których niespełnienie doprowadziło lud do ostateczności. Głos jego jednak zostaje zakrzyczany przez innych. Wśród ogólnego zamieszania daje się słyszeć zbliska róg Śmierci. Wszystkim zdawać się zaczyna, iż rozszalały tłum lada chwila wpadnie do pałacu. A z chaosu wykrzyków najrozmaitszych grzmi też potężnie apostrofa o pomoc, skierowana do djabła. Zwolna uspokajają się wszyscy, kiedy przybyły z miasta inżynier rozwiewa obawy przerażonych. Wdzięczność ze strony zwłaszcza kobiet jest tak wielka dla zwiastuna dobrych wieści, że kilka z nich czyni mu propozycje miłosne tak wprost, bez obwijania w bawełnę. Czysto po rosyjsku!...

W tej chwili radości ogólnej, jaka bije z lic wszystkich, nagle nastaje martwa cisza, ogłuszająca niemal, gdyż tak niespodziewanie umilkło wszystko wokół. Wszyscy, jak gdyby zakamienieli na swoich miejscach. Z oczu ich widoczna jest trwoga na odgłos powolnych, ciężkich czyichś kroków.

Król-Głód wchodzi na salę, cały zakrwawiony; na twarzy jego maluje się śmiertelne znużenie. Głowę zdobi ostra czerwona korona, na której kolcach drgają zakrwawione kawałki ciała ludzkiego.

I gdy wszyscy oczekują jakiejś straszliwej dla siebie nowiny, Król Głód szeptem oznajmia:

— »Koniec. Oni wszyscy... w dole leżą I nie podniosą się więcej. A jam znowu... lokaj.. wasz....«

Muzyka balowa wpada w słowa powyższe hukiem marsza zwycięskiego.

W akcie piątym, który raczej zasługuje na nazwę epilogu, akcja rozgrywa się wśród pustoszy, oświeconej krwawym blaskiem zorzy wieczornej. Król-Głód oparty na dziale, obok niego Śmierć w pozie nieruchomej. Oboje patrzą na zwycięzców rozmawiających żywo pomiędzy sobą. Gwar milknie, gdyż Król-Głód chce mówić:

— »Cóż wywalczyli głupcy? Dokąd szli? Czego się spodziewali? Czem chcieli walczyć? My mamy armaty, rozum, siłę, a cóż wy macie, gadziny nieszczęsne? Ot, leżycie na ziemi i spoglądacie w niebo zmartwiałemi oczyma — nic nie odpowie wam niebo. I dzisiaj w nocy pochłonie was czarna ziemia, a na tem miejscu, w którem będziecie zakopani, wyrośnie trawa bujna; i my nią będziemy karmić nasze bydło. Czy tego pragnęliście głupcy?«

Kiedy zaś Król-Głód kpiąc wzywa trupy, żeby zmartwychwstały, wskróś na polu zaczyna się ruch jakiś tajemniczy, słychać chrzęst głuchy kości pogruchotanych, wściekłe drapanie ziemi ostremi, martwemi paznogciami, a gdzieś z pod ziemi, jakby z głębi bezdennej odzywa się głos tysiącznego tłumu:

— »My jeszcze przyjdziem!... My jeszcze przyjdziem!... Biada zwycięzcom!!!«.

Wśród tłumu zwycięzców szaleje strach paniczny. Wszystko rzuca się w popłochu do ucieczki. Tylko Król-Głód, pozostawszy nadal nieporuszony

na swojem miejscu, woła w ślad uciekających z szaloną radością:

— »Śpieszcie się! Spieszcie się! Umarli powstają!...«

Stąd do apoteozowania czynów zbrodniczych już tylko krok w twórczości Andriejewa, który w poszukiwaniu materjału powieściowego doszedł do bagna, kryjącego w swoich grzęzawiskach bakterje chorobotwórcze zbrodni najpospolitszych.

Skarbnicą wydarzeń epokowych, godnych uwiecznienia, wydał się mu ruch pseudo-rewolucyjny, aktorzy zaś, biorący udział w tym smutnym ruchu — bohaterami.

I bodaj czy nie najjaskrawiej uwydatni się tutaj psychoza twórczości rosyjskiej, oraz kompletne wypaczenie pojęć o moralności uczynków. Pozornie wydaje się, że sprawa ta powinna być jasna dla każdego. A że tak nie jest, więc, żeby nie zostać źle zrozumianym, postaram się o krótkie jej wyjaśnienie lub raczej — o danie własnego na nią poglądu, poglądu bynajmniej nie osobistego, ale obowiązującego powszechnie w etyce wszystkich narodów.

Zło, a złem jest ponad wszelką wątpliwość każdy czyn zbrodniczy, choćby był skierowany przeciwko winnym, nie może znaleźć usprawiedliwienia i pozostanie na zawsze złem, zasługującem na bezwarunkowe potępienie przez wszystkich, uznających prawa sumienia. Żadna kazuistyka nie jest w stanie dokonać zmycia plamy hańbiącej, jaką każdy mord wywołuje, żadne wywody, prawnicze chociażby, niezdolne są do okupienia morderczej ceny krwi, wołającej do niebios o pomstę.

Tymczasem pseudo-rewolucja rosyjska stworzyła sobie etykę, możliwą do pomyślenia jedynie w okresie kamienia łupanego. Przywłaszczywszy sobie

nie dany jej przez nikogo mandat sądzenia i wykonywania wyroków samosądnych, musiała utonąć w potokach krwi, niemogąca zbudować niczego trwałego. Prawo dziejowe bowiem wychodzi z zasady, o jakiej zapomnieli całkowicie wyznawcy »czerwonego koguta«. Zasada zaś ta da się ująć krótko w słowa tak proste, ale tak fundamentalne zarazem, iż ten, kto chce budować, musi mieć ręce uczciwe, o ile wznoszona przez niego budowa ma ostać się burzom.

Rewolucji rosyjskiej brakło właśnie rąk czystych i ludzi uczciwych!...

Jak przerażająco marni byli ci ludzie, pasowani przez Andriejewa na bohaterów, to widoczne jest z każdej niemal karty »Opowiadania o siedmiu powieszonych«, pomimo widocznych wysiłków ze strony Andriejewa, mających na celu wyidealizowanie portretów duchowych jego pseudo-bohaterów.

Wobec tego, że minister był człowiekiem nadzwyczaj otyłym i skłonnym do apopleksji, uprzedzono go, z zachowaniem jak najdalej idących ostrożności, o przygotowywanym na niego zamachu. Wobec tego wszelako, że minister przyjął wiadomość ze stoickim spokojem, a nawet z lekkim uśmiechem, zamach miał być wykonany nazajutrz rano, kiedy minister wyjedzie z raportem do cesarza; kilku terorystów, zdradzonych już przez konfidenta policji i znajdujących się już obecnie pod baczną obserwacją agentów, ma zgromadzić się na ulicy przed pałacem i czekać z bombami w rękach na ofiarę. W tym momencie zostaną aresztowani.

Dziwnem wydało się wprawdzie ministrowi, skąd terrorystom może być wiadome, iż on o pierwszej godzinie w południe ma pojechać z raportem, kiedy on sam wie o tem zaledwo od dwu dni, ale

nie wdając się w dalsze dociekania, które i tak byłyby prawdopodobnie bezcelowe, zamyślił się tylko głęboko: Przypomniały się mu wypadki ostatnich kilku miesięcy, jak to rzucano bomby na dostojników państwowych, które rozrywały ciało na kawałeczki, a wspomnienia te sprawiły, że własne ciało wydało się teraz ministrowi jakby obce, majaczyło się mu, jakby miał ręce oderwane od tułowia podczas gdy mózg rozpryskuje się w kawałeczki, aż nogi mu zdrętwiały zupełnie, jak trupowi. To też wykonywał najrozmaitsze poruszenia, kaszlał, oddychał pełną piersią, byle tylko utwierdzić się w przekonaniu o tem, że jeszcze żyw jest i cały. I jakkolwiek wierzył w spryt policji, jak niemniej w to, że zamach się nie powiedzie, śmierć, którą zawyrokowali mu ludzie i która była tylko w ich myślach i planach, — rzecby można — stanęła u jego wezgłowia i nie ustąpi, dopóki tamtych nie zamkną do więzienia, odebrawszy im wprzód wszystkie narzędzia śmiercionośne.

Wiadomość, otrzymana od policji, nie pozwalała ministrowi zasnąć. Gdybyż nie ta policja!... Jakby to było nazajutrz?...

Nie przeczuwając nic złego, wstałby rano, wypiłby kawę, odziałby się w garderobie, a nikomu nie przyszłoby na myśl, jakim to nonsensem jest: pić kawę, ubierać się w futro, skoro i futro i jego ciało zostanie za chwilę poszarpane na kawałeczki. Nawet szwajcar, otwierający przed nim drzwi, nie domyśliłby się, że pełni tę funkcję po raz ostatni. No, naturalnie — pomyślał minister — kiedy mnie o tem doniesiono — strach mnie ogarnął, ale gdybym o niczem nie wiedział, piłbym spokojnie kawę. No... a potem zgon. A czy ja tak bardzo boję się śmierci?... Przecież choruję ciągle na nerki i wiem, że z powodu nich umrę, a przecież nie boję się dla-

tego, że nie wiem, kiedy śmierć nastąpi. Bo nie sama śmierć jest straszna, ale jej wiadomość. Życie stałoby się wprost nieznośne, gdyby tak człowiek wiedział dzień i godzinę swojej śmierci. A ci głupcy (miał na myśli rewolucjonistów) uprzedzają, że o pierwszej godzinie w południe umrę. Ministra ogarnęła wściekłość wobec ich głupoty... Bojaźń pierzchła precz od niego.

Stało się według przypuszczeń policji. Czterech terrorystów, w tem trzech mężczyzn i jedną kobietę, zaopatrzonych w bomby i machiny piekielne oraz rewolwery, przytrzymano tuż przed pałacem ministra, piątą osobę aresztowano w mieszkaniu spiskowców. Wszyscy byli młodzi. Przed sądem postawiono ich bardzo prędko. Zachowanie ich w chwili decydującej było spokojne, jedynie sędziom wyrażali jawną pogardę. Na zapytania odpowiadali półsłówkami, albo milczeli. Dwu oskarżonych nie wyjawiło nawet swoich prawdziwych nazwisk, bo czyliż nazwisko mogło mieć jaki wpływ na tok rozprawy, której wynik był zgóry do przewidzenia? Zasądzono ich na karę śmierci przez powieszenie.

Na dwa tygodnie przedtem tenże sam sąd wojenny skazał na karę śmierci włościanina Iwana Jansona za zamordowanie swego chlebodawcy, rabunek oraz usiłowane zgwałcenie wdowy po zamordowanym. Na rozprawie zachowywał się Janson zupełnie, jak idjota, nie mogący zdać sobie sprawy z ważności całego aktu. Kiedy już przeczytano mu wyrok, oświadczył, iż nie życzy sobie, ażeby go powieszono. A że wówczas trudno było o kata i z tego powodu wykonanie licznych wyroków musiało ulec zwłoce, więc i Janson zaczął łudzić się, iż cały wyrok jest czemś w rodzaju brzydkiej bajki tylko. Kiedy jednak powiedziano mu raz, że za

kilka dni najdalej skończy marne życie na szubienicy, Janson zmienił się do niepoznania, stanąwszy w niemem przerażeniu wobec faktu, który musiał nastąpić. Poprostu wyglądał tak, jak gdyby mózg mu pękł na dwie części.

Taż sama kadencja sądu wojennego wydała jeszcze jeden wyrok śmierci. Skazańcem był Michał Gołubiec, znany pod przezwiskiem Miszka Cyganok. Wiele zbrodni miał na swojem sumieniu? — Tego nikt na pewno określić nie mógł. Ostatnią, na jakiej go przychwycono, było zamordowanie trojga ludzi w celach rabunkowych.

Z naiwną szczerością nazywał siebie rozbójnikiem, o ostatniej zaś zbrodni opowiadał szeroko ze szczegółami. Wyrok śmierci przyjął spokojnie, nawet z pewnym odcieniem wesołości, chociaż, znalazłszy się samotny w kaźni, rozsnuwał marzenia o ucieczce, o wolności. Życie ciągnęło go ku sobie nieprzeparcie. Wyczekiwał tedy spokojnie końca. Wobec braku kata, zaczął go namawiać starszy dozorca, ażeby przyjął na siebie funkcje oprawcy. Początkowo Cygankowi plan ten przypadł do gustu. Zaczął wyobrażać sobie, jak to on sam w własnej osobie, przyodziany w czerwoną koszulę, zwija się raźnie po szafocie. Oczy wszystkich zwrócone są na niego. Od pól powiewa wietrzyk orzeźwiający... Ale pomimo to Cyganok nie mógł zdobyć się na decyzję stanowczą, aż raz dowiedział się od dozorcy więziennego, iż sam jest sprawcą swego nieszczęścia, bo kat się znalazł.

Kiedy zasądzonych na karę śmierci terrorystów zawiadomiono, iż mogą zobaczyć się z rodzinami, stało się dla nich zrozumiałem, że zostaną straceni następnego dnia. Niektórzy z nich albo wcale rodziny nie mieli, albo rodzina zamieszkiwała gdzieś w dalekich stronach. Ci jednak, którzy za-

żądali zobaczenia się z krewnymi, przejść musieli niewypowiedzianą mękę.

Osobliwie niepokoiły odwiedziny rodzicielskie Sergjusza Gołowina, który kochał bardzo ojca i matkę-starowinę. Sama śmierć przedstawiała się mu lżejszą od tych kilku chwil ostatniego pożegnania się z rodzicami. Wszystko jednak poszło o wiele lepiej, aniżeli się tego spodziewał sam skazaniec.

Pierwszy wszedł do pokoju ojciec Sergjeja, staruszek osiwiały. Trzymał się prosto, nie chcąc zdradzić uczuć, jakich pełne było jego serce. Za nim drobnemi krokami weszła matka. Nie rzuciła się ku synowi, nie wybuchła szlochem, postępując w myśl wskazówek męża, zmierzających do tego, ażeby czułością zbytnią i rozpaczą nie zatruwać chwil ostatnich syna-skazańca. Rozmowa jednakowoż nie kleiła się, urywając się co kilka słów. Zwiastun śmierci władnął niepodzielnie tutaj...

Do Bazylego Kaszyrina przyszła tylko matka, ojciec bowiem, bogaty kupiec, ani słyszeć chciał o tych odwiedzinach. Staruszka płakała serdecznemi łzami, kiedy syn w przededniu śmierci obsypywał ojca grubemi wyrazami, nie szczędząc przekleństw na dobitek złego. Tak widocznie kazała mu postąpić czysto pierwotna natura...

Na ogół skazańcy zachowywali spokój. Jedynie kobiety nie potrafiły opanować nerwów: Tania Kowalczuk szlochała po całych nocach, Musię znowu wstręt ogarniał na myśl samą o stryczku. Wolałaby każdy inny środek, nawet truciznę. Jedynie myśl, że kiedy tysiące zabijają jednego, to ten jeden musi wreszcie zostać zwycięzcą, krzepiła ją nieco na duchu. Dodawało otuchy wspomnienie mężnej śmierci innych towarzyszy, której była świadkiem.

Najcięższe chwile przechodził Siergjej Gołowin, który nigdy dawniej nie myślał o śmierci. Nawet wówczas, kiedy miał za parę godzin dokonać zamachu, zjadł z apetytem śniadanie, nie zastanawiając się wcale nad przyszłością. Obawa przed śmiercią zaczęła objawiać się u niego stopniowo, ale coraz silniej go ogarniała. Kiedy zaś po widzeniu się z rodzicami stało się najzupełniej jasnem, iż pozostaje jeszcze tylko parę godzin życia, rozpaczliwy lęk nim zatrząsł od stóp do głowy. Wprawdzie niema jeszcze śmierci, ale niema też życia zarazem W tem właśnie leżała istota męki duchowej. Zasłona, zakrywająca od wieków tajemnicę życia i śmierci, została nagle zerwana. Nie miał w swojej głowie takich wyobrażeń, ani słów w języku, któreby mogły uprzytomnić to wszystko.

Bojaźń przed śmiercią zawładnęła natomiast odrazu istotą Wasyla Kaszyrina. Jeszcze w ów ranek, kiedy miano dokonać zamachu, kpił sobie ze śmierci. Tegoż samego jednak dnia wieczorem, kiedy znalazł się sam na sam w celi więziennej, szalony przestrach zwalił się całą siłą na niego. Dopóki z własnej woli szedł na pewną zgubę, dopóki że się tak wyrażę, śmierć trzymał we własnych ręku, nie okazywał ani cienia trwogi. Kiedy jednak, wpadłszy w ręce policji, stracił raz na zawsze swobodę rozporządzania sobą samym, kiedy uczuł swoją bezsilność najzupełniejszą, fantazja młodzieńcza opuściła go bezpowrotnie, jak gdyby przestał być człowiekiem żyjącym. A że na domiar nieszczęścia swego nie miał wiary w Boga, to też nie mógł niczem zapełnić owej przeraźliwej pustki, jaka rozsiadła się w jego duszy...

Indywiduum wreszcie, przezwane Wernerem, zachowywało się zupełnie w taki sposób, jak gdyby pragnęło rozwiązać zagadnienie kwadratury koła

w kałużach krwi ludzkiej. Od chwili bowiem, w której na mocy polecenia partji zgładziło ze świata jakiegoś prowokatora, straciło najzupełniej szacunek dla siebie samego. Kiedy zaś Werner znalazł się na pograniczu życia i śmierci, został wprost olśniony wspaniałością tej sytuacji. Zdawało się mu, jak gdyby szedł po wąskim, jak ostrze noża, grzbiecie górskim i z jednej strony widział życie, z drugiej zaś śmierć, na kształt dwu mórz, zlewających się na widnokręgu w jedną ogromną przestrzeń, nie mającą końca... A jednak! I ten człowiek, którego nerwy były, jak gdyby ze stali wykute, w chwilach ostatnich nie mógł w samotności wstrzymać się od łez!...

Zanim pewnego dnia przed świtem wywieziono skazańców na miejsce stracenia, zebrano ich razem w jednej ubikacji.

U wszystkich widoczny był poprzez mgłę rezygnacji strach wielkooki, chociaż każdy starał się go wtłoczyć gdzieś w najdalszy kącik serca, byle nie okazać go oczom towarzyszy. Lęk ten uwidoczniał się zarówno w ich ruchach, jak nie mniej w mowie. Wszyscy mówili i poruszali się nerwowo, zająkując się często lub niedopowiadając zaczętych zdań. Raz po raz oglądali się poza siebie, jak gdyby szukali tego, kto ich rzekomo zawołał niespodziewanie.

Po pewnym czasie kazano im wsiadać do sanek parami. Ruszono z kopyta. Nieszczęśnicy jechali, ażeby niebawem znaleźć się w obliczu niedocieczonej tajemnicy i od życia przejść do śmierci. Chwilami zdawało się im, iż jadą na jakąś uroczystość, a wrażenie to udzieliło się wszystkim.

Wreszcie przybyto na miejsce. Teraz nie było już czasu na rozpacz, to też pocieszano się, iż tylko pies szczerzy zęby, gdy go na zabicie prowadzą

A oni przecież byli ludźmi. Znajdowali się wśród pustoszy nadmorskiej, w której z opisu Andriejewa można domyślić się bez trudu rafy, zwanej Lisim Nosem, opodal Petersburga, gdzie zzawyczaj odbywały się masowe stracenia. Jak przystało na »bohaterów rewolucyjnych«, mających własną *summa theologiae*, nie przyjął żaden z nich pociechy religijnej. Bo i pocóż jednać się z Bogiem, skoro przykazań jego nie uważało się za życia, a siłę ceniono tylko w dynamicie i jemu podobnych materjałach wybuchowych?...

Fantazja jednak znikła niepowrotnie na widok szubienicy. Jakże tedy wiele odbija od tych mrocznych postaci pospolity rozbójnik Misza Cyganok, który w obliczu śmierci nie traci humoru: »Bądź zdrów, *barin!* — żegna się gromko z Wernerem. Na tamtym świecie będziemy już znajomi, a zobaczysz mnie kiedy, nie odwracaj się. I wody kiedy przynieś, gorąco mnie tam będzie«...

»Nad morzem wschodziło słońce. W skrzynię układano trupy. Potem powieziono. Z wyciągniętemi szyjami, z bezmyślnie wytrzeszczonemi oczyma, z opuchniętym sinym językiem, który, jak okropny kwiatek, wysuwał się z ust, zroszonych pianą krwawą, — odchodziły trupy po tej samej drodze, po której żywymi będąc przyszły tutaj. Tak ludzie witali słońce wschodzące«... kończy rozpaczliwie-tragicznym gestem Andriejew swoje okropne opowiadanie.

— »Tak ludzie witali słońce wschodzące«...

Istotnie — straszne to powitanie, poświęcone staremu Tołstojowi, który był jednym z pierwszych przeciwników kary śmierci w Rosji. Straszne i to, że początek ery konstytucyjnej w Rosji musiał utonąć we krwi. Ale też — godzi się, o ile ma się zachować bezstronność sądu, zapytać, komu należy

się wdzięczność, iż zorza wolności została splamiona krwią? Andrejew nie ma dość wyrazów silnych, któremi uwydatnić mógłby w całej pełni swoje oburzenie, iż sądy wojenne wydały tysiące wyroków śmierci. Nie zabijaj! — grzmi pisarz rosyjski.

A czyliż ci, w których obronie staje, których pasuje na bohaterów, trzymali się tego szczytnego przykazania, iżby tym bodaj sposobem mogli nie zasługiwać na stryczek? Nie, oni to co innego widocznie! Oni nie zastanawiali się wcale nad swoimi czynami i nad nieuchronnemi następstwami tych czynów, a droga, którą przeszli, spływała wszerz i wzdłuż krwią ofiar, po większej części Bogu ducha winnych. Poza sobą zostawiali trupy, ręką skrytobójczą pomordowanych, dym zgliszcz, jęki i łzy wdów i sierot, o pomstę do niebieskich bram wołające.

Oni, nie otrzymawszy od ogółu mandatu wymierzania sprawiedliwości, sądzili nieobecnych, nie mogących się bronić i skrytobójczym sposobem wykonywali wyroki samozwańcze. Nie byli — o wstydzie! — tyle liberalni, co sąd wojenno-polowy, który, zanim skazał winnego na szubienicę, przeprowadza w jego obecności rozprawę, dawał oskarżonemu możność obrony własnej i fachowej, był wreszcie jawny, a więc nie mordował podstępnie.

To wszelako, co jest zrozumiałe dla człowieka zachodniego najzupełniej, wręcz przeciwnie przedstawia sobie bizantynizm rosyjski, zwłaszcza pseudopostępowców, marzących o takiej wolności, jakiej świat dotąd nie oglądał, a kultura ochrzciła ją mianem anarchji. Czynniki rozkładcze, nurtujące nie od dzisiaj w każdej komórce duszy rosyjskiej, doprowadziły do chaosu w pojęciach, które od społeczeństwa przenikły też do literatury.

A że wśród przedstawicieli tej *sui generis* literatury nie brak umysłów pierwotnych w każdym calu, stąd też w ich rozumowaniu znana starożytna maksyma została spaczona i brzmi obecnie: »*Summa iniuria — suprema lex esto!*« ...

Bodaj, czy nie najlepsze *pendent* do całego cyklu utworów Andriejewa, mających za cel idealizację ruchów przewrotowo-anarchistycznych, stanowią »*Moi zapiski*« (Moje pamiętniki). Rzecz ta zamyka w sobie pogląd obszerny na istotę kary, jak niemniej na barbaryzm instytucji więziennej, przemycony pod postacią notatek człowieka inteligentnego, który znalazł się najniewinniej w celi kryminalnej, co przyprawiła go o maleńkie zboczenie umysłowe.

Oskarżono go o zamordowanie bestjalskie ojca, brata starszego i siostry, iżby po nich odziedziczyć ogromny majątek. I jakkolwiek podejrzewany o spełnienie tego strasznego czynu, był zupełnie niewinny, dwunastu sędziów przysięgłych wydało jednogłośnie wyrok potępiający, którym skazano go na karę śmierci, zmienioną w drodze łaski na więzienie dożywotnie w celi odosobnionej. Skazaniec spisywał swoje wrażenia codzienne przez cały szereg lat. Istotnie — rozpaczliwie smutne to pamiętniki, zaczęte w wieku pełnego młodego rozkwitu, opisujące szereg rozczarowań straszliwych, upadków tysiącznych ducha, do tego stopnia, że chwilami ma się wrażenie, jakoby autor pamiętników znajdował się, jeżeli nie w stadjum zupełnego pomieszania zmysłów, to bezwarunkowo tuż na jego krawędzi przepastnej. Kto wie, czy do wywołania takiego wrażenia nie przyczyniły się czynniki, leżące najzupełniej poza sferą samodzielnego władnięcia samym sobą? Nieszczęśnik bowiem odziedziczył dumę nadmierną po matce, a niemniej też zacięty upór

w przeprowadzeniu swoich zamysłów, niebezpieczny w tych wypadkach, w których wytknięty cel nie został należycie obmyślany.

W pierwszych dniach pobytu w więzieniu zachowywał się podobnie do wszystkich warjatów, którzy zostali zamknięci. Głośno wykrzykiwał o swojej niewinności, a nawet walił pięściami w drzwi i w ściany, które — naturalnie — pozostawały głuche na wszystkie jego gwałtowne usiłowania. Tłukł nawet z rozpaczy głową o mury i godzinami leżał prawie bez przytomności na podłodze kamiennej celi. Niekiedy znowu odmawiał przyjmowania pokarmów, póki usilne dopominania się żołądka nie przezwyciężyły uporu. Naturalnym rzeczy porządkiem — także strona psychiczna życia była równie nienaturalna. Więzień przeklinał sędziów i groził im straszliwą zemstą, wreszcie klął całe życie ludzkie, cały świat, a nawet posuwał się do bluźnierstwa przeciwko Bogu ...

I cóż go doprowadziło właściwie do tak strasznej rozterki duchowej... Czy samo więzienie tylko?...

Nie!... Doszła go wiadomość, że panna, z którą miał się ożenić, wyszła za mąż za innego. A wszakżeż ona tak niezmiernie wierzyła w jego niewinność, żegnając się z nim, przysięgła zostać mu wierną aż po grób... Tymczasem, ledwie rok upłynął a ona wyszła za mąż!... Napisała nawet przed ślubem list do niego, który dlań był niczem list od samego Lucypera! Każda literka tego listu ogniem paliła mózg skazańca...

Czwartego roku więzienia zmarła matka nieszczęśliwa z żalu za synem, wierząc do końca dni swoich w jego niewinność. Dowiedział się, że nie wymawiała nigdy jego imienia, jak nie wymienia się imion zmarłych tragicznie, cały zaś olbrzymi

majątek zapisała na cele dobroczynne, przeznaczając wszelako pewną pokaźną sumę do rozporządzenia syna, odsiadującego karę. Opinja ogółu przypisywała śmierć zgryzocie za synem.

Zapomnieli wreszcie o nim przyjaciele najzupełniej. Pożegnali go serdecznie, ale stosunki wszelkie zerwali. On zaś nie mógł zrozumieć tego mądrego prawa życiowego, podług którego nic nie jest wieczne: ani przyjaźń, ani miłość, ani nawet przywiązanie rodziny. Wszakżeż nikt nie utrzymuje stosunków z trupem!... Ci zaś, którzy je utrzymują, jedynie symbolicznie wyrażają swoje współczucie, nadając temu obrzędowi pogrzebowemu charakter rozpaczy uroczystej. Człowiek zaś powinien podlegać prawu życia, nie zaś śmierci, prawdziwe bowiem piękno jest dopiero w surowej prawdzie życiowej!

W więzieniu wszelako cieszył się nieszczęśnik zdrowiem doskonałem, wybornym apetytem i snem sprawiedliwego. Ponadto był bezpieczny, wiedział bowiem, że nie może go nikt zabić, nie może go przejechać automobil, nie może go zdradzić żona i t. d. Myśl miał swobodną i serce spokojne. Wobec tego nie miałoby sensu planowanie ucieczki z tych murów dobroczynnych. Wszak człowiek może się dostosować do wszystkiego, a zwłaszcza do tak dobroczynnej instytucji, jak kryminał!...

— »Żegnaj, mój drogi czytelniku!... kończy pompatycznie bohater Andriejewa swoje pamiętniki. Jak widziadło smutne przemknąłeś przed mojemi oczyma i zniknąłeś zostawiwszy mnie jednego wobec życia i śmierci. Nie gniewaj się, że niekiedy oszukiwałem ciebie, kłamiąc: przecież — pozwól — i ty, będąc na mojem miejscu, okłamałbyś mnie. Mimo wszystko lubiłem ciebie serdecznie i żarliwie pragnąłem twojej miłości; a myśl o współczuciu

twojem podtrzymywała mnie nie mało na duchu w ciężkich chwilach i dniach. Zasyłam ci swoje ostatnie pożegnanie i szczerą radę: zapomnij o mojem istnieniu, jak ja od teraz zapominam na zawsze o twojem«.

Inny typ człowieka, objawiającego wszelkie rysy zboczenia umysłowego, dał Andriejew w opowiadaniu p. t. »Syn człowieczy«.

W głuchej, zapadłej wiosce sprawował obowiązki duszpasterskie ojciec Iwan, a im dłużej żył, tem więcej oddalał się od ludzi, nawet od samego siebie. Ongi zdawało się mu, że znają go wszyscy ludzie na całym świecie i że nawet sam Bóg spogląda nań z uwagą. Po pewnym czasie wszelako krąg znajomych zmniejszył się gwałtownie, a to z tej przyczyny, że uczynki jego nie były takie, jak powinny były być, a nie mniej też słowa. Usposobienie tego chuderlawego staruszka zmieniło się także na gorsze: o wybuchy gniewu nie było u niego trudno przy ladajakiej najmarniejszej sposobności. Ale nie koniec na tem. Dziwactwa jego zaczęły przechodzić w niemożliwość.

Bo oto, kiedy jego najstarszy syn został już duchownym, ojciec Iwan Bogojawlenskij okazał chętkę nieprzepartą do zmiany nazwiska. Pisał podania na wsze strony, jeździł do konsystorza, dawał łapówki, ale nic nie wskórał, gdyż nie mógł przedstawić żadnej przyczyny, uzasadniającej potrzebę zmiany nazwiska rodowego.

Drugiem, wcale nie mniejszem dziwactwem, było zakupno gramofonu, który był puszczany w ruch przeważnie w nocy i to z tak wielkiem zamiłowaniem, że aż piesek ojca Iwana dostał obłędu, zmuszony do nazbyt częstego słuchania tej krzykliwej muzyki. Dwu następców pieska spotkał tenże sam smutny koniec. Pozdychały.

Wreszcie, jakkolwiek w sprawach społecznych był ojciec Iwan analfabetą, cieszył się nadzwyczaj każdą świeżą wiadomością o pogromach żydowskich. Dziwactw gromadziło się z każdym dniem coraz to więcej, a były pomiędzy niemi i tak ekscentryczne, jak zamiar przejścia na wiarę mahometańską. Pominiemy je razem z wszystkiemi scenami pijackiemi, jakich nie brak tutaj. Całe bowiem postępowanie popa Iwana da się znakomicie wytłumaczyć i uzasadnić własnym jego aforyzmem:

»Mnie teraz wszystko wolno, i nikim innym nie jestem, jak tylko Azjatą...«

Duch anarchji, drzemiący na dnie duszy wszystkich plemion mongolskich został wprost po mistrzowsku odtworzony w tym nieszczęsnym »synu człowieczym«.

Stąd już tylko krok, zupełnie konsekwentny i logicznie uzasadniony, do głośnego dramatu p. n »Życie człowieka«.

A czyliż to naprawdę dramat? — zapytam odrazu.

Nie — to nie dramat. Sam Andriejew sztuki swojej takiem mianem nie śmiał opatrzyć. I słusznie tak uczynił.

Zadaniem bowiem każdego dramatu jest odtworzenie życia takiem, jakiem ono jest w rzeczywistości. Ale, żeby cel ten osiągnąć, trzeba oddalić się od życia i z wyżyn niebosięgłych na nie patrzeć, żeby dostrzec w niem momenty istotnie dramatycznej natury.

Tymczasem Andriejew nie odszedł ani na krok od tego życia i potrafił dać tylko pięć scen, nie z życia, lecz jak gdyby z chorobliwego snu wyjętych... U niego niema życia rzeczywistego. Zastąpiła je w zupełności fantazja iluzjonistyczna.

Najciekawszą jest w »Życiu człowieka« postać zagadkowa. To On, ktoś szaro ubrany, którego imię »On«. (Zaczyna mnie to szare ubranie przypominać coś z jednej opowieści Gorkiego. Ale — o pokrewieństwo mniejsza!...).

A oto, co powiada widzom ów tajemniczy On w prologu dramatu:

— »Patrzcie i słuchajcie wy, coście przyszli tutaj dla zabawy i dla śmiechu! — Oto — przejdzie przed wami życie człowieka... Dalekiem echem przejdzie przed wami i jego ból i radość wartko płynącego życia...«

Tak!... To tylko echo dalekie życia, to fantasmagorja, której celem ukrytym — negacja bezwzględna!...

Tytuł aktu pierwszego, powiedzmy raczej obrazu: »*Przyjście na świat Człowieka i męki matki*«.

Za sceną męczy się położnica. Tam rodzi się człowiek. Na tle szarego, mrocznego światła, padającego przez okna, widzimy kilka starych kobiet W chwili, w której z drugiego pokoju dochodzą: sęki, płacze i szlochanie, te pary złowieszcze prowadzą pomiędzy sobą taką rozmowę, że wstręt je słuchać. Na licach ich od czasu do czasu pojawia się niefrasobliwy uśmiech. Wszyscy czekają na wynik bolesnego procesu, a czekanie skracają sobie rozmyślaniem, kto przyjdzie na ten padół płaczu: chłopiec czy dziewczyna?... czy noworodek ukaże się im żywy, czy przyjdzie martwy, czy wreszcie przyjdzie po to, ażeby umrzeć? Rozmowę tę ohydną przerywa chwilami śmiech głośny.

Na dworze zaczyna rozwidniać się, jakby na powitanie rodzącego się życia. Wchodzą ojciec z lekarzem i mówią o tem, o czem mówić się zwykło w takich wypadkach. Ojciec, zmęczony i drżący z bojaźni, przeklina chwile narodzin dziecięcia, lecz

w tejże przeklętej chwili błogosławi ze łzami w oczach los za to, że syn ma oczy i nos jego. Przychodzą krewni z powinszowaniem i mówią z powagą i godnością, ile to w życiu zależy od tego, jakiem imieniem zostanie nazwany nowonarodzony i że należy ochrzcić dziecko tem imieniem, jakie nosił który z przodków, gdyż to bardzo ważne, bardzo ważne.

A tuż nad wszystkimi majaczy się niewidzialny On z płonącą świecą w ręku. Trwoga czy nuda bije z jego lic...

Obraz drugi — »*Miłość i nędza*«.

Człowiek wyrósł na młodzieńca, utalentowanego artystę-architektę. Ale nikt nie zużytkowuje jego projektów. Obok — młoda żona, prześliczna w różowym szlafroku, z obnażoną szyjką bialuchną. Oboje biedacy. Jedzą tylko chleb czerstwy i popijają wodą czystą. Są głodni, bo dotąd nikt nie chce uznać talentu jego. A jednak!... nawet sam król Krezus nie był bogatszy od tych dwojga istot. Bo od nich bije: młodość, miłość, odwaga śmiałego spojrzenia życiu w oczy, wiara w powodzenie. Wiosna życia... wiara w siebie.. wiara w życie... I młodzieniec odważnie wyzywa na bój tego, który nazywa się — On... Nawet, chociażby życie chmurzyło się, jak ślepa sowa przy blaskach słonecznych, młodość zmusi je do uśmiechu. A w kącie — On, szaro odziany, patrzy wzrokiem skamieniałym na szczęście dwojga ludzi. W ręku jego płonie świeca jasnym płomieniem.

Obraz trzeci przedstawia *Bal u Człowieka.*

Człowiek porósł w pierze. Ale mimo to wszystko u niego dziwne jakieś: i drzwi i okna i trzej muzykanci, podobni zupełnie do instrumentów, na jakich grają: do skrzypiec, kontrabasu i fletu, z których płyną przeraźliwe dźwięki. W salonie

goście, ubrani w jeden z trzech kolorów: czarny, biały lub żółty.

Mocno już człowiek podstarzał. Siwiznę znać gęsto na jego kruczych włosach. Postarzała się też i żona jego. Obok przyjaciele Człowieka, weseli, hardzi, o rozjaśnionych obliczach. A za nimi wrogowie Człowieka: twarze ich wąskie, u klap surdutów mają przypięte żółte róże, kroki ich niepewne i bojaźliwe. A muzyka gra i gra bez końca. Salon opustoszał. Przez okna wgląda weń mrok jakiś dziwny...

Obraz czwarty: *Nieszczęście Człowieka...*

Bieda wróciła. Za ścianą umiera syn Człowieka. Przypadkowo rzucony kamień rozbił mu głowę. Służąca Człowieka siaduje u okna, przez które wgląda mrok do pokoju, opowiada o swojem życiu, o tem, jak przyjęła tu służbę, jak odejdzie stąd na inną i jak obojętnie patrzy na wszystko, co się dzieje dokoła niej. A wkrąg echowo, od niej, czy nie od niej jakby jakiś obcy głos powtarza uparcie słowa:

— »Mnie wszystko jedno, mnie wszystko jedno!«...

Wchodzi Człowiek. Uspokojony przez lekarza kładzie się i zasypia. Ale wnet, przebudzony płaczem żony, z jej łez wyczytuje całą prawdę. Syn jego umarł. Znowu sypią się przekleństwa na życie, na chwilę urodzenia się swego, na dawne rozkosze i na los sam..

A tuż obok stoi niewidzialny On i słucha w milczeniu. W rękach jego płonie dogorywająca świeca...

Obraz ostatni — piąty: »*Śmierć Człowieka*«

Knajpa podziemna z długim rzędem butelek, poustawianych na półkach. Przed półkami siedzi gopodarz knajpy. Na przedzie śpi Człowiek z wyciągniętą na stole szyją. Wkrąg niego postacie pi-

jaków pierwszorzędnych. Gwar, hałas niezrozumiałych rozmów, chwianie się na nogach i t. d. Ale cała rozmowa toczy się o Człowieku, o tem, że dla niego wszystko już stracone, że Człowiek postarza się i nie jest więcej nikomu potrzebny.

I te pijane indywidua zaczynają okrążać ciasno Człowieka i szeptać mu do ucha po cichu:

— »Pamiętasz? — Suknia różowa i goła szyja? Jak to było pyszne! Jak bogate! Co za cześć? Pamiętasz? Umrzesz prędko... Pamiętasz? Co za cześć! Jak pysznie! Jak strojno!«....

A po schodach idą powoli trzej muzykanci; podobni do swoich instrumentów: do skrzypiec, basu i fletu, poczem, zszedłszy, siadają i rozpoczynają, przyspieszając ciągle tempo, grać ten taniec, jaki grali na balu, a pijanice-staruszkowie coraz to większem kołem okrążają Człowieka, przyklaskując w takt, przyczem nieustannie szepcą mu kolejno coś do ucha.

W tej chwili Człowiek powstaje gwałtownym ruchem. W rozżarzonych jego źrenicach lśni ogień. Podnosi rękę i posyła ostatnie przekleństwo losowi, lecz w tej chwili głos mu się urywa i on pada na krzesło nieruchomy: Człowiek zmarł nagle.

A tuż obok, w ręku tego, który nazywa się On — płomień świecy rozbłysnął jaśniej, niźli zwyczajnie i zagasł na zawsze w jednej sekundzie.

Ściemnia się szybko, jakby na zaklęcie czarodziejskie.

Coraz namiętniej, coraz gwałtowniej grają muzykanci, przyspieszając tempo co chwilę, a wokoło Człowieka z dzikiem klaskaniem w ręce tańczą starcy-pijanice do upadłego... Aż wszystko tonie w zupełnym mroku, osłoniętym tajemnicą jakąś.

Dźwięki muzyki urywają się nagle, jakby struny instrumentów zerwały się wszystkie odrazu.

Cisza głęboka.

A wśród tej ciszy ogromnej i tego nieprzeniknionego mroku daje się słyszeć głos Jego:

— »Cicho! Człowiek umarł«...

Taka jest idea »*Życia Człowieka*«, idea mroczna — bezwzględnej negacji bytu ludzkiego.

Niestety! — nie wnosi ona nic nowego do charakterystyki Andriejewa. Bo wszystko tchnie tutaj owym pesymizmem beznadziejnym, jaki wionie ze wszystkich utworów tego pisarza od samych początków jego twórczości literackiej. Andriejew przyglądał się życiu z różnych stron, zaczynając od badań nad psychiką »bosiacką«, kończąc ekstazą fanatyka rewolucyjnego lub bezwzględnego przeciwnika idei religijnej. Ale też u niego nie można dopatrzeć się niczego, oprócz beznadziejnych porywów, nadziei zawodnych, eksperymentów patologicznych, rozpaczy przed bezsilnością czy wobec niego i nicością człowieczą. Wszędzie u niego zapach trupi, wszędzie negacja czynu, ba, nawet — negacja krańcowa życia!...

Och! — jakże ciężkie musi być życie indywidualności, która nie może wznieść się na wyżyny współczesnego indywidualizmu, jakie w swoim czasie bez trudu osiągnął Puszkin?!...

Poezja rozpaczy, straszliwych mąk ducha, krańcowej beznadziejności...

W nierozerwalnym związku z tym utworem stoi »*Anatema*«, straszliwie długa, bo aż siedmioaktowa tragedja. Ideowo wspólny jest w niej nihilizm, jaki widzieliśmy w dramacie poprzednim, ba, nawet występuje też tu ów »Ktoś Szary«, jak gdyby stępiła się u Andriejewa pomysłowość.

Za płaszczyk zaś, pod którym tem łatwiej możnaby przemycić pospolitych bluźnierstw stek, posłużyła symbolistyka, dość wszelako przejrzysta i nie

pozostawiająca najmniejszych wątpliwości co do swego charakteru. Dla wypełnienia tedy pustki, wionącej z kart tej tragedji, uciekł się Andriejew do tanich efektów zewnętrznych.

Akt pierwszy rozgrywa się wśród jakiegoś dzikiego pustkowia na szczycie górskim, gdzie za ogromnemi żelaznemi podwojami przebywa Początek wszelkiego istnienia. Na straży stoi przed wrotami ktoś o twarzy zasłoniętej. Ku niemu, ostrożnie, jak gadzina, skrada się Anatema. Wszystko tonie w szarem, bezbarwnem świetle.

— »Tyś jeszcze ciągle tutaj, na straży?.. zagaduje Anatema. A jam myślał, że odszedłeś — przecież i pies łańcuchowy miewa chwile odpoczynku lub snu... Czyliżbyś bał się tych, co chcieliby ukraść wieczność? Ale nie gniewaj się; jak dobry towarzysz przyszedłem do ciebie i proszę: otwórz na chwilkę ciężkie wrota i pozwól mnie zajrzeć w wieczność. Nie śmiesz? Ale, być może, potężne wrota rozluźniły się ze starości i przez wąską szczelinę, nie trwożąc nikogo, będzie mógł zajrzeć nieszczęsny, zacny Anatema — pokaż ją. Po cichutku, na brzuchu, podpełznę, spojrzę — i cofnę się i On nie będzie wiedzieć. A ja będę wiedzieć i stanę się Bogiem, stanę się Bogiem! Od tak dawna już chcę zostać Bogiem — i czyliż zły byłby ze mnie Bóg?«... bluźni bez zająknięcia Anatema, aż wreszcie posuwa się w swoich bluźnierstwach tak dalece, że nazywa Boga »grabieżcą, który ukradł prawdę u świata«..

Scena ta, z powodu której synod obłożył Andriejewa klątwą cerkiewną, kończy się efektami świetlno-muzycznemi, nierozwiewającemi wszelako nudy.

Tymczasem Anatema zstąpił na ziemię w poszukiwaniu ofiar. Akcja rozgrywa się na ulicy mia-

steczka małego, w letnie upalne południe, wśród kramarzy żydowskich.

Stara, sterana pracą przekupka Sura, handlująca wodą sodową, wyrzeka na podłe czasy. Wczoraj nie jadła nic wraz z całą rodziną, bo targu nie było. I dzisiaj powtórzy się prawdopodobnie taż sama historja, o ile nie będzie kupujących i bodaj odrobiny szczęścia. Wyrzekania te przerywa Anatema, poszukujący męża Sury, pobożnego Żyda Dawida Lejzora. Wśród sąsiadów i sąsiadek Sury powstaje ogólne zaciekawienie, jaki interes sprowadza eleganckiego jegomościa?... Nie mniej zaintrygowana jest Sura, pełna obawy, czy nieznajomy niema jakich nieczystych zamiarów wobec jej córki prześlicznej Rojzy? Obawy wszelako okazują się zupełnie pozbawione podstaw z chwilą przybycia Dawida, któremu Anatema oznajmia, iż brat Dawida, zmarły w Ameryce, zapisał mu dwa miljony dolarów. Dawid szaleje z wściekłości:

— »Pędźcie go... to djabeł. Myślicie, że on przyniósł cztery miljony rubli? Nie, on przyniósł cztery miljony obraz. Cztery miljony kpin cisnął na głowę Dawida. — Cztery oceany łez gorzkich wylałem nad życiem, czterema wiatrami ziemi były westchnienia moje, czworo dzieci moich pożarły głód i choroby, a teraz, kiedy mam umierać, przynoszą mi cztery miljony. Czyliż powrócą mi one młodość, spędzoną w niedostatku... czyliż zwrócą one choćby dzień jeden mojego głodu, chociaż łzę jedną, padłą na kamień, chociaż jedno splunięcie, rzucone w twarz moją? Cztery miljony przekleństw — oto, co znaczą twoje cztery miljony rubli? — O, Chano, o Benjaminie i Rafaelu, o Mojsze mój maleńki, wy, ptaszęta moje maleńkie, zmarłe z zimna, cóż powiecie, jeśli ojciec wasz dotknie tych pieniędzy? Nie, mnie nie potrzebne pieniądze.

Mnie nie potrzeba pieniędzy, mówię wam, ja, stary Żyd umierający z głodu. Nie widzę tutaj Boga. Ale ja pójdę do Niego i powiem Mu: co czynisz z Dawidem?«...

W akcie trzecim widzimy Dawida Lejzora w całkowicie zmienionych warunkach życiowych. Ulegając naleganiom żony i dzieci, wynajął willę nad brzegiem morza, zaprowadził liczną służbę, sprawił powóz i konie, przyjął nawet sekretarza prywatnego w osobie Anatemy, którego rzekomo znudziła praktyka adwokacka. Dla Rojzy przyjął stary Dawid nauczyciela języków obcych i nauczycielkę muzyki. Spadku amerykańskiego jeszcze wprawdzie nie zrealizował, ale, jako miljoner, ma kredyt otwarty wszędzie.

Zmienił się też sam Dawid Lejzor wewnętrznie. Jest bez przerwy zamyślony, jak gdyby trawiła go jakaś ogromna troska. Rażą go ukłony, jakich nie szczędzą mu wszyscy, bo »ludzie, nie psy, żeby pełzali na brzuchu«, rażą go pochlebstwa, gdyż »dla synów Boga prawdy i miłości nieprzystojne jest mówienie kłamstw«... Razi go nawet niezwykła uroda własnej córki Rojzy, tak, że oburzona tem Sura wyrzuca mu z goryczą:

— »Czyliż ukrywanie piękności twarzy nie jest wielkim grzechem wobec Boga? Na uradowanie oczu dana jest, w piękności oblicza ujawnia swoją piękność Bóg sam i czyliż nie podnosiliśmy codziennie ręki przeciwko Bogu, kiedyśmy węglem i sadzą brudzili twarz naszej Rojzy, czyniąc ją po strachem i smutkiem dla oczu... I lilja więdnie i narcyz ginie, osypują się płatki żółtej róży — czyż zechcesz Dawidzie, podeptać wszystkie kwiaty?.. Nie wątp Dawidzie: sprawiedliwy Bóg dał tobie bogactwo, — a ty, któryś był tak mężny w nieszczęściu,

że ani razu nie bluźniłeś Bogu, staniesz się słabym w szczęściu?«

Dawid wszelako nie daje odwieść się od swego sceptycznego poglądu na świat i na ludzi, to też z gniewem i wściekłością rezonuje:

— »Co za komedja? Wczoraj prosiła Niebo o śledzia, a dziś jej za mało korony. Jutro odbierze tron od szatana, usiądzie i będzie dobrze siedzieć. Co za komedja!... Komedja, komedja — alboż nie słyszysz w tem wszystkiem śmiechu szatana?... Śmierć, śmierć! Przyniosłeś nam śmierć. Czyliż nie zgadzałem się na śmierć? Czyliż nie wyczekiwałem jej, jak przyjaciela? A ty przyniosłeś bogactwo — i ja chcę tańczyć. Chcę tańczyć, a śmierć chwyta mnie za serce; chcę jeść, gdyż głód wniknął w głębię kości moich, — a stary żołądek zwraca pokarm; chcę się śmiać — a twarz moja płacze, a z oczu moich leją się łzy, a dusza moja wyje z śmiertelnego strachu. W kościach moich głód i już trucizna we krwi mojej — niema dla mnie ocalenia: dognała mnie śmierć«...

W rozterce duchowej, w jaką popadł Dawid Lejzor, przychodzi mu z pomocą Anatema, tłumacząc, że całe nieszczęście Dawida jest w tem, iż przez całe życie szukał Boga, kiedy go zaś znalazł rzekł: nie znam Ciebie. Śmierć Dawida w tem, że oślepiony nieszczęściami, zapomniał o ludziach i został pośród nich samotny ze swoją chorobą i ze swojem bogactwem. Należy zwrócić Bogu to, co się od niego otrzymało. »Każdy rubel w twojej kieszeni — powiada Anatema — to nóż, który pchasz w serce głodnego. Rozdaj majątek nędzarzom, daj chleb głodnym, a zwyciężysz śmierć... Ich życiem pomnożysz własne. Teraz masz, Dawidzie, jedno serce, a będziesz mieć miljony serc«.

Postanawia tedy Dawid rozporządzić swoim majątkiem. Poleca Anatemie zwołać biedaków z całego miasta: »Cienie nieznanych nieszczęść — rozumuje— unoszą się nad duszą moją i powiewają bezgłośnie nad myślami memi. Ach, zostaćby mnie biedakiem, nieznanym, ziębnąć w cieniu ogrodzenia, gdzie składają śmiecie, na szczyt góry podniosłeś mnie Ty. Ale taka wola Twoja. Rozkażesz — a jagnię stanie się lwem, rozkażesz — a zła lwica młodym poda wymiona swoje, pełne siły, rozkażesz — i Dawid Lejzor, który osiwiał w cieniu, podniesie się bez trwogi ku słońcu. Adonaj! Adonaj!«...

Do paradnych salonów Dawida schodzi się tłum różnobarwny, złożony przeważnie z biedaków, okrytych w łachmany. Pomiędzy nimi widać dawnych znajomych Dawida, owych handlarzy ulicznych. Kiedy zaś ludzi zebrało się sporo, Dawid oznajmia im o swojem postanowieniu rozdania całego majątku pomiędzy biednych i potrzebujących, a równocześnie dyktuje Anatemie odpowiednie rozporządzenie niejako ostatniej woli. Aktowi temu towarzyszą złorzeczenia żony i dzieci Dawidowych...

Akt czwarty rozgrywa się pod gołem niebem. Na placu zgromadziły się tłumy celem uczczenia Dawida Lejzora. Za ladą kramiku spostrzegamy Surę, która po utracie syna, zmarłego na suchoty i po ucieczce córki Rojzy z grubszą sumą pieniężną, znienawidziła dostatki i powróciła bez szemrania do dawnego swego zajęcia. Majątek prawie cały już rozdany między biednych tak, że pozostało tylko niewiele pieniędzy, wystarczających na pielgrzymkę do Jerozolimy, dokąd wybiera się Dawid Lejzor z żoną, iżby tam dokonać reszty dni swojego życia, jak przystało na pobożnego Żyda.

Tłum przyjmuje ukazanie się Dawida z nieodstępnym Anatemą entuzjastycznie. Jedni ścielą

mu pod stopy swoje odzienie, kobiety sypią mu kwiaty:

— »Po cóż te honory — zwraca się Dawid do licznych rzesz — pocóż szum głosów i muzyka, grająca tak hucznie? Komuż oddajecie cześć, jakiej godzien tylko książę lub ten, kto dokonał czegoś wielkiego? Dlaczegoż mnie, staremu, biednemu człowiekowi, który niezadługo ma umrzeć, ścielecie szaty pod stopy? I cóżem uczynił takiego, iżbym zasługiwał na uwielbienie i łzy radości nierozumnej wyciskał z oczu? Dałem wam pieniądze i chleb — ale pieniądze to Najwyższego, przyszły od Niego i ku Niemu przez was powrócą. Uczyniłem to tylko, żem nie zataił pieniędzy, jak złodziej, i nie stałem się grabieżcą, jak ludzie, zapominający o Bogu«...

Kiedy zaś tłumy rozeszły się do domów i przy Dawidzie pozostał jedynie nieodstępny Anatema, — starzec rozumuje:

— »Byłem biedny, samotny i bliski śmierci, głupi stary człowiek, czekający odpowiedzi od fal morskich. A teraz przyszli ludzie — i czyliżem samotny? Czyżem biedny i bliski śmierci?... Śmierć nie istnieje dla człowieka. Jaka śmierć? Co to takiego jest śmierć? Kto, nieszczęsny, wymyślił to straszne słowo: śmierć? Możliwe, że ona istnieje nawet, — nie wiem, ale ja jestem nieśmiertelny... Oj, jakże to straszne: jestem nieśmiertelny! Gdzie kończy się niebo? Gdzie koniec człowieka — nie wiem. Jam nieśmiertelny. Och, bolą człowieka piersi od nieśmiertelności i radość pali go, jak ogień. Gdzie koniec człowieka? — jam nieśmiertelny. Adonaj, Adonaj! Niechaj będzie pochwalone na wieki wieków tajemnicze imię Tego, kto daje człowiekowi nieśmiertelność... Bezkresnej przestrzeni czasów oddaję ducha ludzkiego: niechaj żyje

nieśmiertelny w nieśmiertelności światła, którem jest życie. I niechaj padnie mrok na życie nieśmiertelnego świata...«

W akcie piątym wprowadza nas poeta do gabinetu Dawida Lejzora w wspaniałej willi. Starzec ma troskę niemałą na głowie. Lud tłumnie zalega podwórze jego pałacu, nie chcąc uwierzyć, iż ten miljoner istotnie pieniędzy już nie ma. Dawid radby teraz uciec przed temi głosami, domagającemi się pomocy. Istotnie — potrzeba ucieczki przed tym rozgoryczonym tłumem jest nieuchronna, nawet konieczna. Przez dzień cały i całą noc Dawid ukrywał się w zaniedbanym kamieniołomie, do którego zaprowadził go Anatema. Późnym dopiero wieczorem wybrali się w dalszą drogę. I zaraz na pierwszym kroku został Dawid poznany przez przechodnia. Za uciekającym Dawidem puszczono się w pogoń. Przypuszczając, że Dawid został zmuszony do ucieczki przez księcia Ciemności, postanowiono go odbić i ofiarować władzę nad wszystkimi biedakami na ziemi całej. Dawid, przestraszony pogonią, prosi Anatemę o ratunek, a gdyby o nim nie mogło być mowy — o śmierć raczej.

Teraz dopiero okazuje się jaskrawo fałszywość Anatemy. Bo kiedy znużony pogonią Dawid usypia, Anatema umie jedynie filozofować wobec nadciągającego tłumu:

— »Ha. Idą... Idą — — a ich król śpi! Idą — — — a ich cudotwórca odpoczywa snem konia wożącego wodę. Niosą koronę i śmierć — a ich ofiara i władca łowi powietrze rozwartemi ustami i cmoka słodko. O, nieszczęsny rodzie: w kościach twoich zdrada, w krwi twojej zaprzaństwo, w sercu twem — kłam«..

Tłum nadciągnie lada chwilę, a tu ani mowy o ucieczce, drogę bowiem dalszą zagradza przepaść.

Tłum chwyta za kamienie, żeby ukamienować zbiega i kilku zręcznemi rzutami dokonywa swego, poczem rozbiega się na wsze strony, jak spłoszone stado. Triumf Anatemy jest zupełny. Widok martwego Dawida podnieca go:

— »Żegnaj, głupcze. Nazajutrz znajdą tutaj ludzie trupa i pogrzebią wspaniale według obydzaju ludzkiego. Dobrzy zabójcy kochają tych, których zabijają. A z tych kamieni — bluźni dalej ohydnie — któremi ciebie zabito za miłość, zbudują wysoki, krzywy i głupi pomnik... Uspokój się, ziemio, i przynieś mnie pokornie ofiarę: zabijaj, podpalaj, zdradzaj, człowiecze, w imię pana twego«.. i znika z śmiechem szatańskim na ustach.

Analogja w całej tej tragedji tak przejrzysta, że chyba klątwę, spadłą na Andriejewa z powodu »*Anatemy*«, należy uważać za uzasadnioną...

Czyliż wobec tego dziwnem wydać się może, skoro Andriejew popełni humoreskę w rodzaju »*Miłości bliźniego?*...

Wśród dzikiego upłazu górskiego, tuż nad przepaścią, stoi jakiś młodzieniec. Czyniono starania o uratowanie go, wszelako bez pomyślnego rezultatu. W dole zgromadziły się rzesze ciekawskich i turystów najrozmaitszych narodowości, pragnących być świadkami naocznymi nieuchronnej katastrofy. Tłum wyczekuje jej z niecierpliwością, tłoczy się tak gwałtownie, że policja z trudem tylko utrzymuje jaki taki porządek. Ścisk i gwar rozmów nie do opisania. Wśród publiczności nie brak utarczek słownych, każdy bowiem z przybyłych pragnąłby widzieć jak najlepiej scenę upadku nieznajomego: »Tutaj taka straszna tragedja, serce ból ściska« — konkluduje Andriejew, — i czyliż w tych widzach jest bodaj odrobina człowieka? Jakiś korespondent robi na prędce wywiad z nieszczęśliwcem,

duchowny na odległość spowiada go w sposób, mający na celu chyba tylko podanie w pogardę sakramentu pokuty. Ostatecznie sprawa wyjaśnia się wcale nieoczekiwanie dla publiczności, iż całą tę tragifarsę zaaranżował sprytnie przedsiębiorczy restaurator. Wybuchom oburzenia niema końca ani miary.

Poza płytkością pomysłu można podziwiać tutaj jedynie cierpliwość Andriejewa, przelewającego z pustego w próżne przez akt ten jeden bez treści.

A kiedy w oczach Europy zblakły i straciły doszczętnie ostatnią krztę powabu wypadki z dziejów anarchji wolnościowej, kiedy wreszcie nie dano więcej brać się na frazesy bluźniące religji, — Andriejew powrócił z konieczności do tego samego źródła natchnień, z jakiego czerpał hojnie w początkach swojej twórczości. Instynkty płciowe stały się znowu osnową główną jego utworów, powtarzających słyszane już dawniej frazesy w odmiennej nieco tylko tonacji. Wyczerpanie się pomysłowości Andriejewa jest do tego stopnia widoczne, że ograniczyć się wypadnie omówieniem dwu tylko utworów tej kategorji, w których zasadą jest, że »miłość nie istnieje, a tylko naprężenie seksualne, reszta zaś — to beletrystyka«, jak kokluduje Miszka w »*Dniach naszego życia*«, dramacie czteroaktowym, pełnym brudu i błota moralnego, którem — niestety — zabagnione jest życie rosyjskie wszystkich warstw społecznych od najwyższych do najniższych.

Historja to ogromnie smutna, choć tak codzienna na bruku stołecznym, a wynikająca z żądzy niepohamowanej użycia za każdą cenę.

Rzecz dzieje się z początkiem września, w czasie zaczynającej się »złotej jesieni«, w sercu imperjum rosyjskiego, *matuszce*-Moskwie, a raczej w lasku pobliskim, skąd widna, jak na dłoni, białokamienna stolica. Aktorami są studenci i słuchaczki wyż-

szych kursów żeńskich. Tematem — miłość stadowa i alkohol...

Student Głuchowcew utrzymuje stosunek wcale nie platoniczny z Olgą Mikołajówną, chociaż jak sam wyznaje, nie wie, co to jest miłość?... »Nie było jej — powiada — a tuż nagle zjawiła się; i sercu tak szeroko, tak przestronnie, tak słonecznie i swobodnie, jak gdyby skrzydła mu urosły«. Ale że obyczajem rosyjskim — niema miłości, ani nawet przyjaźni bodaj, bez alkoholu, więc towarzystwo całe zagląda ochoczo do butelek, klnąc zawzięcie i wcale niefamiljarnie. Wódka — to napój cudowny:

— »Zamieszkałem — opowiada Onufry — u jednego adwokata, takiego... wiecie... przyjemnego człowieka i cichego do tego stopnia, że gdy wesz w drzwi wchodzi — słychać, jak łapkami stuka o podłogę. Ale w ową noc tak się upiłem, żem wrócił do domu około szóstej godziny... Wszystko to byłoby niczem, ale mnie gubi miłość bliźniego. Nagle tak mi się zrobiło żal tego adwokata, żem nie wytrzymał, zalał się łzami i zaczął bębnić kułakami w drzwi, gdzie oni z żoną spali: wstawaj, mówię, adwokacie, zbudź żonę, pójdziemy na bulwar spacerować!«

Adwokat wypowiedział mu nazajutrz mieszkanie. Co za niedelikatny człowiek?!...

To też nie dziw, że imć pan Onufry wyrzeka na los przeklęty, że mu »lepsze porywy duszy gasną, nie dosięgając niebios. Całe życie moje — woła w rezygnacji pijackiej — szukam cichej rodziny i cóż, nieszczęsnyż mój los!« A któż temu winien jeśli nie pociąg do wódki przeklętej?...

W potokach wódki rodzi się też miłość Głuchowcewa do Olgi Mikołajównej, kiedy z ust studenta padają słowa pełne zaklęć serdecznych:

— »Miłości silniejszej niemasz. Widzisz przecież — że miłość prawdziwą można poznać po tem,

o ile czyni człowieka lepszym, o ile od niej dusza staje się jaśniejszą«...

Czar pryska niebawem, gdyż już w akcie następnym, rozgrywającym się na bulwarze miejskim, z chwilą, w której Olga Mikołajówna wyznaje bez żenady zakochanemu w niej po uszy Głuchowcewowi, iż matka zmusza ją do uprawiania prostytucji, iż miała już nawet dziecko, które umarło — na szczęście — w przytulisku, oraz cały szereg innych wyjawia szczegółów, które — wszelako — na razie przyjmuje Głuchowcew z pozorną obojętnością do wiadomości. Dopiero, kiedy przezacna matka Olgi zabiera przemocą córkę celem »zaznajomienia« jej z nowym »wielbicielem« — w studencie dokonuje się pewna przemiana w poglądach.

W Oldze rodzi się chwilowa myśl o samobójstwie, z którą zdradza się na początku aktu trzeciego. Znakomitem antidotum na myśli szalone okazuje się pospolita bajka zacnej matki, biegającej dzień cały po mieście w poszukiwaniu gościa dla córki. — A teraz właśnie trafia się pułkownik, obiecujący płacić sto rubli miesięcznie! Widząc wszelako przeszkodę w dalszem uprawianiu dotychczasowego procederu ze strony Głuchowcewa, zgadza się chętnie, iżby córka nawiązała z nim stosunek:

— »Ot, chłopczyna — powiada, litując się — bez rodziny, ty dasz jemu tak wiele miłości — wiem przecież, jakie masz serce, Ola. Cóż w tem złego? Czyliż będzie lepiej, jeżeli chłopczyna stanie się rozpustnikiem, jak oni wszyscy? Przecież to straszne!«...

Przed przyjęciem owego gościa zapowiedzianego przez matkę, Ola zaprasza do siebie Głuchowcewa, który jest już zdecydowany na zerwanie dalszej znajomości. Teraz bowiem dopiero przyszedł nieco do rozumu: »Istotnie — powiada zimno — należy

odnosić się do swoich postępków z pełną świadomością, zwłaszcza, kiedy wstępuje się w stosunek z niewiastą. Przecież zrozumiesz, Olgo: ani razu nie pomyślałem. że nasz s t o s u n e k może być nazwany — s t o s u n k i e m«.

Dalszy spór przerywa przybycie zacnej mamy z pułkownikiem von Rankenem. Zaczyna się pijatyka, przeplatana homarami, sardynkami i słodyczami, przy banalnej rozmowie. Wreszcie matka zostawia gościa z córką, sama zaś idzie na nocleg do znajomych.

W akcie czwartym ciąg dalszy orgji — ale z kim innym. Zanim zacna mamusia przyprowadzi córkę — na scenie odbywa się orgja pijacka gościa — oficera z Głuchowcewym i jego kolegą Onufrym, tym razem szklankami, bo, jak powiada przysłowie: »gdy dusza gorzeje, z naparstka jej nie zalejesz«. Oficer jest dobrze senny i podochocony, gdyż przez trzy noce ostatnie pijaczył, tak, że tylko w ten sposób »zauważał zmianę dnia, iż rankami mył się i pił wódkę, a pod noc pił likier i Chateau-Margot. I gdy mył się i wziął się do wódki — nazywał to — zaczęciem nowego życia«...

Obydwaj studenci zresztą są nazbyt dobrymi kompanionami, żeby nie podzielali poglądów oficerka prowincjonalnego, jak o tem zaświadcza Onufry:

— W mnie bardzo podobacie się. Z wami zapewne m[illegible] tego wypić! Ot, wielu nie rozumie tego, a według [illegible]ie dopiero trzeciego dnia zaczyna się przyjemne pijaństwo. Ażeby dusza zaczęła mówić, trzeba ją przygotować, a nie, iżby tak odrazu: Masz duszo wódki i gadaj!«...

To też wnet rozgadała się na dobre »dusza« Głuchowcewa, kiedy zaczął lżyć ostatniemi wyrazami Olgę, a nawet porwał się na oficera. I kto wie,

czem skończyłaby się ta awantura karczemna, gdyby nie przytomność umysłu Onufrego, »lubiącego ciszę, spokój i porządek, w niebie królestwo Boże, a na ziemi koniak z cukrem i z cytryną«... Czysto po azjatycku!...

I bodaj, czy nie największem ze wszystkich przykazań, o jakich słyszymy w »*Dniach naszego życia*«, niemal co stronę, jest aforyzm pijanego Onufrego:

— »Życie krótkie, a wódki wiele«...

Że po omówionym dramacie przyszła, a nawet musiała przyjść »*Anfisa*« to rzecz zrozumiała dla śledzących ewolucję najnowszych kierunków beletrystyki rosyjskiej i dla tych, którym wiadomo, jaką rolę odgrywają w niej utwory, przesiąknięte nawskroś cyniczną zmysłowością, tem więcej, ile że Andriejew jest kością z kości narodu, dla którego brutalność i ohyda zbrodni była zawsze czemś w rodzaju cnoty obywatelskiej.

Bo i jakiż przedmiot, godny opracowania obrał sobie autor, idący według swoich zapewnień ciągle w głąb duszy rosyjskiej?

Ogromne cztery akty tej tragedji budzą nie tyle grozę, ile wstręt na widok kompletnej degeneracji pokolenia współczesnego, skoro zarówno ono, jak i pisarze z jego łona wyszli, miłują się w najohydniejszych przejawach duszy splugawionej bezecnie do tła, tak dalece, że duszę tę badać jest już wstrętnem rzemiosłem.

W wigilję Nowego Roku odbywa się w domu adwokata Kostomarowa orgja pijacka. Do skromnej izdebki babki-starowiny dochodzi wrzawa głosów podochoconych, brzęk szkła, hałaśliwe granie na fortepianie. Babka, typ analogiczny z kreacjami Maeterlincka lub Przybyszewskiego, na wpół głucha i obojętna na wszystko, zda się nie słyszeć niczego. To też półsłówkami odpowiada na liczne zapytania

swojej wnuczki, Niny, rozumującej paradoksami na temat miłości:

— »Powiedz, babko, co to takiego jest miłość? Nie chcesz, więc ja tobie powiem: to straszne, męczące uczucie. Kiedy człowiek kocha, robi się od razu tak samo starym, jak i ty, i zaczyna pamiętać to, co było dziesięć lat temu. Myślisz, że ja mam siedmnaście lat? To ty masz siedmnaście, a ja dziesięć tysięcy lat. Szkoda, że nie mogę powiedzieć ci wszystkiego, a włosy twoje stanęłyby dęba«... filozofuje podlotek, zakochany po uszy we własnym szwagrze.

A szwagier Niny, adwokat Kostomarow, ma szalone szczęście do kobiet. Jedna po drugiej padają w jego objęcia, żądne nasycenia zmysłów. Serce jego, jak drzwi domu zajezdnego, zawsze otwarte na oścież. To też, chociaż ma urodziwą żonę, nie gardzi romansem z jakąś Żydówką, nie ukrywając się z nim wcale przed żoną. Na dobitek narzucają się mu obie siostry żonine — Nina i rozwiedziona z mężem Anfisa, typ samicy, możliwy tylko w stadzie pierwotnem.

Kostomarow jednak nie kryje się wcale ze swojem pożądaniem łask Anfisy, owszem wyznaje szwagierce zupełnie bez ogródek swoje uczucia. Anfisa, którą mąż wypędził z domu za romans z oficerem, umie grać kunsztownie na nerwach szwagra. To też początkowo odrzuca jego natrętne zaloty, nie w ten jednak sposób, iżby kochliwemu szwagrowi odebrać wszelką nadzieję. Wogóle Anfisa nosi w sobie zarodki demonizmu i zdeprawowania skrajnego, skoro taka młodziutka Nina nie waha się wyznać jej bez ogródek, wprost w oczy:

— »Nie rozumiem, dlaczego ty tak kłamiesz. Jakaż ja twoja siostra? Czyliż tak patrzą na siostrę, jak ty na mnie patrzysz bez ustanku? Ty, zapewne,

nie widzisz swoich oczu, ale ja je widzę. Boję się teraz ciemnych zakątków. Z każdego ciemnego kąta patrzą na mnie twoje oczy, patrzą z taką nienawiścią, z taką złością... Teraz, we śnie widzę twoje oczy i budzę się od ich spojrzenia z uczuciem, że ś t y m n i e j u ż... z a b i ł a«...

Rozpętanie zmysłowe trzech sióstr wzmaga się z dniem każdym. Kostomarow spostrzega walkę, którą one toczą dotychczas skrycie, półsłówkami, o niego, więc uderza kolejno w strunę drażliwą przed każdą z rozgorzałych żądzą posiadania jego. Anfisa zresztą należy już do niego. Traktuje ją zatem obojętniej, aniżeli Ninę, której chciałby »snami złotemi owiać serce, jak koroną uwieńczyć jej główkę...« Zmiana taka nagła nie uchodzi bacznego oka Anfisy, która nie cofa się przed wyprawieniem szwagrowi awantury o to, że nie jest zupełnie obojętny dla żony. Szał zmysłowy jednak opuścił już Kostomarowa, który bez ogródek oświadcza Anfisie, że jest mu już niepotrzebna, gdyż nie ma w sobie dumy kobiecej i jest dostępna dla każdego. »Chciałem, — konkluduje — żebyś stała się żoną, a tyś potrafiła stać się tylko kochanką...«

Ponad dom Kostomarowa nadciągają chmury gromowe, ażeby rozpętać burzę po akcie chrzcin nowonarodzonego synka.

Podczas uczty Anfisa wymawia szwagrowi brutalnie, z krańcowym cynizmem, stosunek, jaki wiąże ich oboje i tak wojowniczo usposabia rozdrażnionego Kostomarowa, że wypędza z domu żonę wraz z teściem i teściową, oświadczając zgromadzonym gościom, że odtąd będzie żył z Anfisą.

Po tak haniebnem zajściu Kostomarow rozumie trudności dalszego pobytu w mieście. Przekazuje tedy sprawy swojej kancelarji przyjacielowi, sam zaś postanawia wyjechać do Petersburga. Wpraw-

dzie jakieś przeczucie ostrzega go przed tym krokiem szalonym, więc zapytuje siebie samego:

— »Czy nie pomyliliśmy się z tobą, Anfiso? Byłem wczoraj w jakiejś gorączce i mało pamiętam, com mówił. Ale dzisiaj patrzę trzeźwo i widzę: omyliliśmy się, Anfiso... Dziś zrozumiałaś mnie jasno, że ja... w rzeczywistości nie kocham ciebie.«

W sercu Anfisy podnosi głowę wąż nienawiści tajonej. Jest niezdecydowana jeszcze, ale w jej umyśle rodzi się powoli plan zbrodniczy. Myśl ta możeby nie dojrzała, gdyby nie podsłuchana rozmowa Kostomarowa z przybyłą w odwiedziny Niną.

Nina ma dobre przeczucie, że szwagier wyjedzie razem z Anfisą, ale zarazem wie, że sama nie jest dlań obojętna. To też — to dziewczę wyznaje bez skrupułów swoją miłość: »Mnie jeszcze żaden mężczyzna nie pocałował« — powiada wahającemu się szwagrowi: »Nie mogę żyć bez ciebie«...

Naturalnie — Kostomarow, spragniony świeżych wrażeń, ulega namowom tej, która jest już dla niego »snem złotym«:

— »Weź mnie, — błaga go dziewczątko, — jeżeli chcesz. Jam czysta, przysięgam ci, mnie nie pocałował ani jeden mężczyzna — i ja ci oddam wszystko, co tylko może być w duszy. Ach, tyś jeszcze nie zaznał miłości, tyś jej nie znał nigdy! Weź mnie, Fedia!...«

Teraz stanął Kostomarow wobec dylematu: z którą z dwu sióstr pojechać? Najlepiej byłoby z obiema. Szkoda tylko, że taki wojaż jest niemożliwy do pomyślenia!

I kto wie z kim byłaby się odbyła ta przejażdżka, gdyby nie to, że Anfisa podsłuchała z sąsiedniego pokoju całą rozmową. Kiedy więc Kostomarow zażądał likieru, wsypuje do kieliszka cyankali i truje kochanka w mgnieniu oka.

W chwili, w której on pada trupem, zjawia się, jak widmo zagrobowe, babka-staruszka. I kiedy Anfisa drży całem ciałem z lęku, ona uspokaja ją słowami, pełnemi prostoty, ale zarazem brzmiącemi jakoś dziwnie tajemniczo:

— »Tak, tak. Niema już nic do czynienia, wszystko zrobione. Milcz!...«

Oto — krótka treść dramatu Andriejewa, dramatu, pełnego pożądań bydlęcych i instynktów zbrodniczych. Co krok tutaj kałuże brudu, ziejące woń gnojówki, zwłaszcza w akcesorjach, tem fatalniejszych, ile że zostały one niemal żywcem wzięte z życia codziennego rosyjskiego. Taki bowiem gimnazjalista Petia, który brata się z grajkiem najętym i pijaczy z nim do upadłego, — toć to typ co krok spotykany nie tylko w domach prywatnych, ale i na ulicy!

Albo teść Kostomarowa, stary Anosow, lubujący się w ustniku piankowym, wyobrażającym nagą kobietę, przedstawioną w takiej pozie, że żona jego nie chce patrzeć na taką obrzydliwość, chociaż rzeźba to — jego zdaniem — »w swoim sprawiedliwym fasonie«. Albo tenże stary Anosow, rozprawiający bez ceremonji z córką o jej brzemienności, czyliż jest do pomyślenia w społeczeństwie kulturalnem?

Wreszcie siostry, rozmawiające ze sobą najotwarciej o najdrażliwszych scenach ze stosunków swoich z mężami, — jakżeż wstrętne i ohydne one?!... A jeszcze potworniejsze w swojem zbydlęceniu, kiedy toczą pomiędzy sobą wojnę o posiadanie szwagra, o którego zmienności chyba im nie tajno?

Ile razy użyto w tym dramacie powabnego zwrotu »*sukinsyn*«, tego już nie wymieniam nawet.

Z całego dramatu przewiewa »*moral insanity*«, zakorzeniony głęboko w samych podstawach życia

rodzinnego rosyjskiego, które zawsze przypominało mocno epokę kamienia łupanego i hordy pierwotnej, kiedy to bezład płciowy stanowił dogmat.

O ile tedy dramat Andriejewa będziemy uważali jedynie ze strony obyczajowej, musimy mu przyznać wartość dokumentu historycznego, z którego kiedyś skorzysta skwapliwie przyszły historyk kultury rosyjskiej, zwłaszcza, że Andriejew bynajmniej nie ma zwyczaju koloryzowania, lecz reprodukuje życie codzienne takiem, jakiem ono jest w istocie.

Daleki jestem aż nazbyt od żądania puryzmu w sztuce. Ale jestem w prawie wymagać, iżby sztuka ta nie służyła rozbudzaniu instynktów bestjalskich i nie krzewiła zła. Boć zadaniem jej — pomiędzy innemi — służba dobru i pięknu. A skoro tutaj o dobru nie może być ani na chwilę mowy, — odsłanianie zaś ran, jątrzących społeczeństwo dane, ran cuchnących i obrzydliwych, nie da się w żaden sposób policzyć na karb służenia pięknu, — cóż przynosi Andriejew do gmachu ogólnoludzkiej sztuki, co dorzuca do jej ideałów, jakie ona — wyjąwszy literaturę rosyjską — głosi?...

Rozmaici ludzie mają rozmaite ideały. Ideałem złoczyńcy jest zbrodnia pospolita, ideałem deprawatora-artysty może być między innemi »*Anfisa*«, przerażająca swoją potwornością i cynizmem wyuzdanym.

* * *

A skoro przebrnęliśmy szczęśliwie przez bagno, pełne zarazków chorobotwórczych, jakiż sąd wydać o pisarzu, który poza błotem zmierzwionem, poza negacją krańcową życia, poza płaskiemi dowcipami ze spraw poważnych, nie przyniósł niczego, co serca kierowałoby ku słońcu?...

Otóż Andriejew jest obok Gorkiego najdowodniejszym przykładem różnicy, zachodzącej pomiędzy kulturą łacińską a bizantynizmem.

Tyle już powiedziano na wiatr i napisano o możliwości porozumienia pomiędzy nami a Rosją rdzenną, że chyba dziwnem wydać się łacnie może podjęcie raz jeszcze, i to pobieżne, tego samego problematu. Otóż, iżby nie wydawało się, iż przemawia przez usta moje szowinista narodowościowy, postaram się o przytoczenie dowodów wcale niemałoważnych.

Pominę nawet to, iż w przepaści, dzielącej nas od Rosjan, płyną dotąd rzeki krwi naszej serdecznej, rzucę sam zasłonę na nieprzeliczone szeregi zabatożonych na śmierć w pustoszach sybirskich, na tysiące szubienic, krzyżami narodowemi być godne, na kilka pokoleń, zmarnowanych nie z naszej winy. Pominę krzywoprzysięstwo głów ukoronowanych wobec nas nareszcie.

Ale muszę zaglądnąć w głębię przepastną zdeprawowanej duszy rosyjskiej, szerzącej wokół smród zgnilizny moralnej, o jakiej syfilidologja współczesna nie ma najmniejszego wyobrażenia.

Naród mój pracował wieki długie, zapatrzony cały nieustannie w przeszłość wspaniałą, chwalebną i zacną, ale też dbający o trwałość budowy, jaką wznosił własnemi rękoma, o trwałość jej w przyszłości najdalszej.

Rosja tymczasem ma przeszłość tak smutną, bolesną, a groźną, jak gdyby piekło ją stworzyło na postrach całej ludzkości!...

Naród rosyjski, nie wiedzący, skąd się wziął na świecie, nie wiedział też nigdy, dokąd skierować swoje kroki. To też został bez trudu ujarzmiony przez pierwiastek obcy, napływowy, który narzucił się mu zwycięsko, a zarazem stworzył władztwo i rabstwo, bo nie dał podstaw bodaj poczuciu prawa.

Stąd tedy, — podczas gdy Rosja rosła na posłuszeństwie, myśmy rośli na własnej woli. To też nasze rokosze były walką o rację prawną. W duszy rosyjskiej zaś, jeszcze od czasów Pugaczewskich i Chmielniczyzny aż po dni dzisiejsze protest każdy wymierzony jest nie — przeciwko argumentom prawa, ale przeciwko zasadzie samej! Wszelkie protesty, choćby nie wiem jak uświadomionych politycznie Rosjan, dalekie są naszego »*veta*«, gdyż idą znacznie dalej. Protest duszy rosyjskiej — to negacja krańcowa, to uczucie burzycielskie, nieznające granic, którego początków szukać należy w wiekach ucisku i poniżenia niewolniczego. Owa wiekowa niewola stworzyła w »narodzie« rosyjskim ferment, osławiony pod mianem anarchji bezwzględnej, zmierzającej poza zakres możliwości działania skutecznego.

Co więcej?!... — Naród polski nie szedł do uzyskania pełni praw swoich — zbrodnią nigdy, przenigdy! Dzieje nasze pouczają, że u nas król z własnej, a nieprzymuszonej woli, jeszcze w roku 1505, ustawą, znaną pod nazwaniem: »*Nihil novi*«, obowiązał się nie wydawać nowych praw, ani też nie pobierać podatków bez uzyskania na to uprzedniej zgody Sejmu walnego. Lat czterysta musiał czekać naród rosyjski, ażeby mu pod grozą rewolucji anarchistycznej monarcha zawarował podobny przywilej, i to raczej ustawowo, aniżeli praktycznie.

Napróżno traciłby czas ten, kto zająłby się poszukiwaniem uczucia godności duchowej u Rosjan! Naród, który sam stworzył sobie rząd, na jaki zasłużył, uprawiał przez swoich wybrańców pracę destrukcyjną w polityce wewnętrznej, jak gdyby ona była jednem z najważniejszych zadań państwowych.

Jakże inaczej działo się u nas, w Królestwie Polskiem!... A że działo się wprost inaczej, aniżeli w Rosji, to zawdzięczać mamy przeszłym wiekom i cywilizacji prastarej. Ona to sprawiła, że gdy Polakom pozwolono wypowiedzieć wolę swoją w czynie politycznym, nie przemówiliśmy, jak zwykli przemawiać niewolnicy, ale wystąpienie nasze było godne ludzi wolnych, nie r a b ó w! Więc, kiedy w r. 1905 popuszczono nam troszkę pręgierza, nie runęliśmy w ślepej pożądliwości ku anarchji, bo nas od kroku takiego wstrzymywała cywilizacja, co nie zezwoliła na powtórzenie się szaleństw »rewolucji« rosyjskiej.

Co prawda — nie umieliśmy wykształcić państwowości trwałej.

Ale też charakterów takich, jakiemi mogła chlubić się słusznie Rzeczpospolita w ostatnich chwilach, tuż przed swoim upadkiem, — Rosja nie wydała nigdy! Czuła to doskonale nawet Katarzyna II., kiedy z szczerością, właściwą umysłom pierwotnym, nie zawahała się wyznać w liście do uwielbiających ją encyklopedystów francuskich, że jest istotnie »Wielką«. Wielkość jej atoli została stworzona jedynie przez pustkę przeraźliwą, jaka otaczała zewsząd imperatorową.

I — jeżeli pomiędzy nami a plemieniem rosyjskiem toczyły się liczne walki, to pod względem znaczenia swego przewyższają one wszystkie walki krzyżowe, które były przecież walkami kulturalnemi! Pskow, Wielkie Łuki, Kłuszyn — to nie wspomnienia zapasów militarnych!

Kiedy zaś teraz uległy zmianom poważnym, zasadniczym, zarówno teren, jak nie mniej sposoby walki, której nic osłabić nie może, trzeba powiedzieć sobie zupełnie szczerze i otwarcie, że my i Rosjanie to — tragedja dwu kultur, dwu ras!

Niechaj słuszność wywodów polskich potwierdzi powaga Dymitra Mereżkowskiego, którego słowa, wyjęte z artykułu »*Swinja-matuszka*« (*Rjecz.* 1909. nr 300), przytoczę w przekładzie jak najwierniejszym:

— »Samobiczowanie i samooplucie w ogóle u Rosjan jest rzeczą zwyczajną... A Rosja-*matuszka* i Rosja-świnia... *Matuszka*-świnia. Pieśń zwycięskiej miłości dla Rosji — pieśń triumfującej świni!... I niema w tem szyderstwa, bo jest i śmiech i płacz zarazem... Ach! wy dziatki-prosięta! Jesteście wszystkie dziećmi jednej Świni-Mateczki!... Nam innej Rosji nie potrzeba... Niech żyje *Świnia-Matuszka!*«...

Koniec tomu pierwszego.

Spis treści tomu I.

Od autora VII
Dżingis-Chan zmartwychwstały 1
Literatura rosyjska a rewolucja pokonstytucyjna 23
1. Maksym Gorkij. 25
2. Leonidas Andriejew 137

Niektóre prace tegoż autora:

1. Seweryn Goszczyński, — rozwój jego talentu poetyckiego do r. 1827 (Ateneum 1899. IV.) i odbitka.
2. Przyczynek do etnografji górali tatrzańskich (Lud. 1899.)
3. Dotychczasowy stan badań nad etnografją polską. (Pamiętnik III Zjazdu historyków polskich. Kraków 1900.)
4. Goszczyńskiego »Król Zamczyska,« idea przewodnia utworu. (Dla powodzian, książka zbiorowa. Lwów 1900.)
5. Pierwiastek ludowy w poezji polskiej XIX. wieku; studja porównawczo-literackie. Warszawa. Nakładem księgarni E. Wende i Sp. 1901. 8-ka większa; str. VII i 590.
6. Bohdan Zaleski; studjum biograficzno-literackie. Lwów. Towarzystwo wydawnicze. 1902. 8-ka. str. XV i 420.
7. Garść baśni ludu ruskiego ze wsi Nałuża. Kraków. 1902. Nakł. Akademji Umiejętności. 8-ka str. 22.
8. Szkice literackie. Lwów. 1903. Księgarnia polska. 8-ka str. VII i 311.
9. Ludowość w poezji polskiej XIX. wieku; okruszyny badań. Lwów 1904. 8-ka str. 49.
10. Pokucie; uzupełnienie dawniej ogłoszonego dzieła śp. Oskara Kolberga, z rękopisów pozgonnych. Nakł. Akademji Umiejętności. 8-ka. str. 21.

W przygotowaniu:

Panmongolizm duszy rosyjskiej w historji, obyczajach, języku i literaturze.

»Genjusz« poezji ukraińskiej (Taras Szewczenko); przyczynek do psychopatologji małoruskiej.

Biblioteka Wojsk. Akad. Techn.
im. F. Dzierżyńskiego

BIBLIOTEKA WAP WAŁUKOWA
t.1
47415
II.b.2